

Grażyna Jeromin - Gałuszka

Oczy Marzanny M.

Każdy z nas jest aniołem z jednym skrzydłem...
Jeśli chcemy pofrunąć, musimy mocno się objąć.
Luciano de Crescenzo

Cztery kobiety na werandzie w sierpniowy pogodny wieczór... Jakby pozowały do obrazu. Gdyby umiał malować, zamknąłby je w obraz w tym jednym momencie i w tych samych pozycjach jak pięć, jak dziesięć, jak piętnaście lat temu. Zawsze było tak samo: siedziały przy owalnym stole w wyłożonych miękkimi poduchami fotelach, lekko nachylone do siebie lub wygodnie rozparte, mówiły jedna przez drugą, podchmielone winem, w ten jeden wieczór wszystkie bez dwóch zdań szczęśliwe.

Kiedy wrócił trzy godziny później (nie, nigdy dotąd nie wracał), siedziały tak, jak je zostawił kilka godzin, pięć, dziesięć, piętnaście lat temu, w tych samych miejscach i z tym samym pochyleniem głowy lub niedbałym rozrzuceniem ręki na oparciu fotela. Z radia stojącego na stoliku za nimi cicho sączyła się muzyka. Nie wszedł nawet do ogrodu, tylko zerknął na werandę znad furtki, potem zrobił nad stawami jeszcze jeden obchód i położył się w domku letnim razem z psem, postanawiając w jednej chwili już nie wracać do siebie, lecz doczekać świtu, aż nagadają się wreszcie i pójdą spać. Nim wstaną przed południem i pojedą jak zawsze do kościoła - planował, uspokajając głaskaniem cicho skamlącego psa - wyprowadzi konie ze stajni i połązi z psem nad stawami, póki nie odjadą.

Coś mu nie dawało spokoju i co chwila odnajdywał w pamięci postać Julii; widział, jak wstaje, gdy odchodził, i woła za nim: „Borys może być dziś...”. Może co? - zapytał, a ona jeszcze raz powiedziała: „Może być dziś nie...” i nie dokończyła znowu, tylko machnęła ręką jakoś tak niby bez troski, a niby trochę ze zniecierpliwieniem i usiadła, w jednej chwili wracając do przerwanej rozmowy z pozostałymi. Stał przez chwilę, czekając, zastanawiając się, co mu chciała powiedzieć, ale cokolwiek to było, zmałało w sekundzie do rangi szybko zaniechanego kaprysu.

Za którymś razem, kiedy znowu zobaczył ją, jak stoi na werandzie, a potem siada z tym niedokończonym zdaniem i gestem, w pewnym momencie poczuł ją blisko siebie. Zbyt blisko, jakby była z nim tu, w domku letnim, i usłyszał, jak mówi od początku do końca: „Borys, może byś dziś nie odchodził”. Zerwał się i stał chwilę nieruchomy, sparaliżowany strachem. Jego podświadomość o długie sekundy wcześniej zrozumiała coś, czego zrozumieć się nie da.

I wtedy usłyszał strzał.

*

To ciekawe, zauważył potem w oficjalnym przesłuchaniu detektyw Andrzej Leski, który w swoim życiu już wiele widział i mało co robiło na nim wrażenie, że akurat tym razem wrócił. Skoro nigdy dotąd nie wracał.

- Czy po to - dodał po chwili jakby od niechcienia - żeby oddać ten strzał?

Borysa nie zdziwiło, nie przstraszyło, nawet nie rozbawiło to pytanie.

Zaprzeczył ruchem głowy, ale jakoś tak obojętnie, jakby mu już na niczym nie zależało - ani na tym, co było, ani na tym, co jeszcze będzie. Słowa są tylko słowami. I tak powiedział za dużo. Jego komunikacja ze światem nie wymagała wielu słów. Taki był jego świat. Odtąd dotąd. Ta sama, niezmienna od lat prosta rzeczywistość.

Teraz zdawała się nie mieć granic.

Nie chciało mu się już mówić. Ani słuchać, ani patrzeć. Zamknąć się w małej przestrzeni odtąd dotąd - żeby tak było można - i udawać, że złe rzeczy dzieją się gdzie indziej.

Nic z tego. Tamten siedział naprzeciw, patrzył i chciał wiedzieć. Jego ponura twarz i nieulegający emocjom głos ani na moment nie pozwalały zapomnieć, że znajdują się w konkretnym miejscu i w określonym czasie, w rzeczywistości

po, a nie przed i nawet nie w trakcie, a co już się zdarzyło, to się zdarzyło. I koniec.

Wszystko byłoby dobrze, mówił detektyw, gdyby nie pewien szczegół, który nie daje mu spokoju i, delikatnie rzecz ujmując, wprowadza pewien dysonans w obraz rzeczywistości opisaną tu przed chwilą, a konkretnie ma na myśli ten strzał. Borys nie bardzo wiedział, o co chodzi, i dał temu wyraz, szeroko otwierając oczy, w których wielki znak zapytania był skierowany prosto w oczy Leskiego.

Leski zakręcił się po pokoju, przewrócił niedbale jakieś papiery na biurku, po czym oparł się o nie rękoma i pochylił nad Borysem.

- Panie Berg... - Wbił przenikliwy wzrok w Borysa, jakby chciał go na coś przyłapać. - Żadna z nich nie słyszała strzału.

Na twarzy Borysa nie pojawił się nawet grymas, nic, co by świadczyło, że słowa Leskiego dotarły do niego w jakikolwiek sposób. Patrzył mu pozbawionym emocji wzrokiem w oczy. Zdawało się, że nawet nie słucha.

- Jak dotąd nie powiedziały nic znaczącego. Są w szoku. Jednak to jedno wypowiedziała każda z nich, jak w transie, kilka razy. „Nie było słyszać strzału”. Więc gdyby pan był tak uprzejmy, panie Berg...

- Sam nie słyszałem własnych myśli - przerwał mu Borys - gdy tam dobiegłem. To radio...

- ...i spróbował sobie przypomnieć, gdzie pan dokładnie w tym momencie był.

- Tak jak mówiłem.

- A może bliżej, tuż za płotem, skąd strzelano. Skoro tak dobrze słyszał pan...

Chciał odpowiedzieć, że woda niesie dalekie odgłosy. Zamiast tego lekceważąco machnął ręką. Gesty są cichsze i

mniej ostateczne. Może czasem o wiele bardziej dwuznaczne, ale co złego jest w prostej dwuznaczności.

Nie chciało mu się nawet otworzyć ust. Ale tamten patrzył i patrzył. Mijały sekundy, każda dłuższa od poprzedniej. Borys pomyślał: Jak długo można tak patrzeć, czekać... Chciał już wyjść i mieć z głowy te wszystkie słowa. Powiedział więc, bez zająknięcia, powtórzył po raz drugi lub trzeci, że w sobotę około ósmej, jak każdego innego dnia, skończył pracę i oddalił się do swego domu, kilometr wzdłuż rzeki. One siedziały na werandzie w ogrodzie i piły wino. Jak zawsze, kiedy spotykały się tu co pięć lat. Jak zawsze były rozbawione i głośne, jak zawsze pomachał im ręką, a one jak zawsze ledwo to dostrzegły. Tylko Julia tym razem wstała, gdy odchodził, i powiedziała to, co powiedziała, a on, nie doczekawszy się tego, co właściwie chciała powiedzieć, skierował się ku grobli między rzeką a stawami.

W domu kręcił się z kąta w kąt, pies tak samo. Pies wyczuwał jego niepokój, a on niepokój psa. W końcu wrócili obaj. Obszedł dom od strony wejścia - w salonie paliło się światło, więc uznał, że przeniosły się już tam z dworu. Nie zdziwiło go to, specjalnie się zresztą nie zastanawiał. Wieczór nie był zbyt ciepły, chociaż znacznie cieplejszy niż ostatnie. Poszedł za dom, od strony ogrodu, by stamtąd groblą wrócić do siebie. I wtedy zdziwiony dostrzegł, że wciąż jakby nigdy nic, jakby nie chłód wieczoru i palące się w salonie światło, siedzą wciąż na werandzie. Grało radio, usłyszał głos podający godzinę... Nie, nie sygnał - głos, to musiało być podczas jakiejś audycji. „Dwudziesta trzecia piętnaście”, wołał spiker takim tonem, jakby przypominał wszystkim, że gdzieś się zasiedzieli.

Wtedy postanowił, że nie wróci do siebie, tylko przeczeka w domku letnim do świtu. Tak też zrobił. Około dwunastej zdrzemnął się chyba na chwilę i we śnie usłyszał Julię, jak

mówi, że może by tym razem nie odchodził. Wtedy zerwał się, pies tak samo, i w minutę byli pod domem.

Borys przerwał w jednej chwili, uznając, że już właściwie skończył.

- To wszystko - mruknął pod nosem dla pewności, żeby tamten zrozumiał. Patrzył teraz na przekrzywioną lekko w lewo martwą naturę, usiłując wyodrębnić wszystkie znajdujące się w niej elementy, chociaż w gruncie rzeczy nie obchodziła go martwa natura ani jej detale. Coś było tylko czymś i niczym więcej. Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy ozdabiać swój świat rzeczami, które nic nie znaczą.

Mężczyzna siedzący naprzeciw, na wyciągnięcie ręki, zamarł na długą chwilę w swej nieprzystępnej chropowatości i Borys po raz pierwszy, odkąd się tu znalazł, albo może i od samej północy, która obudziła go paraliżującym przeczuciem, pomyślał: Co właściwie tu robię? Na tym świecie, w tym pokoju, pełnym niczego. Czego chce ode mnie ten człowiek i kim on właściwie jest?

*

Andrzej Leski był zmęczonym człowiekiem. Jestem zmęczony - mówił każdego ranka do czterech ścian, nim je opuścił. - Nie chce mi się ani wstać, ani wyjść, ani jechać gdziekolwiek rozkopanymi ulicami, marnując cenny czas, którego nikt mi nie odda, w korkach, a potem tłumaczyć się różnym ludziom, że były korki.

Obnosił się ze swym zmęczeniem i ponurą apatią człowieka, który jest zmęczony życiem, następowaniem dnia po nocy i godziny za godziną, drażniąc wszystkich naokoło, irytując niezmiennym wyrazem twarzy i brakiem emocji w głosie. Ludzie go nie lubili. On też nie przepadał za ludźmi. W najlepszym wypadku byli mu obojętni. Męczyli go. W równym stopniu jak ranne wstawanie i korki na przypominających pole walki ulicach. Jednak najbardziej

męczyły go zbrodnie. Bezsensowne i niepotrzebne. Gówniarz zadźgał nożem gówniarza, koleżanka zatłukła koleżankę, ojciec dziecko, syn matkę... Zdawało mu się, że nie widać końca nasilającej się z roku na rok, z miesiąca na miesiąc nieprawdopodobnej agresji, nienawiści i wściekłości, które znajdowały ujście w rozwiązaniu ostatecznym. Zadanie śmierci stało się niczym. Dla niektórych jak splunięcie albo trzaśnięcie drzwiami. A potem ani żalu, ani skruchy. Ani chyba nawet ulgi.

Kiedy zatęsknił za normalną (normalną?!), prawdziwą (prawdziwą?!) zbrodnią z premedytacją, pomyślał, że nie ma już czego szukać w tym zawodzie. Sto razy rzuciłby to wszystko, gdyby tylko umiał robić cokolwiek innego, a w mózgu nie pulsowała natrętnie jedna myśl: No i co będziesz robił, człowieku? Nie miał pojęcia, więc z tym większą niechęcią i apatią odnosił się do świata, a świat odwdzięczał mu się tym samym.

Kiedy więc przybył w tę cichą, sierpniową noc do N., miejsciny, o której nigdy nie słyszał, choć oddalona była od jego miasta o trzydzieści kilometrów zaledwie, i pobieżnie rozejrzał się w sytuacji, wiedział, że kolejne dni, a może i tygodnie nie przyniosą żadnej ulgi ani nie pozwolą spojrzeć na świat jaśniejszym wzrokiem. Dwa dni, pomyślał z miejsca (jakie tam tygodnie!), i będzie po wszystkim. Zamknięty świat, zamknięty krąg podejrzanych, banalny motyw... Proste.

Dwie minuty później, gdy zobaczył ponurą (prawie tak ponurą jak jego własna) i nieodgadnioną twarz Berga, zmienił zdanie. Może tym razem będzie coś więcej. Więcej niż prymitywna wściekłość, infantylna zazdrość, więcej niż sekunda namysłu...

- Kto to? - zapytał pierwszego z brzegu policjanta, wskazując wzrokiem trzy przerażone kobiety siedzące na schodach werandy. Jedna koło drugiej.

- Koleżanki - odpowiedział policjant i zaraz dodał nadgorliwie: - Ze szkoły.

Leski skrzywił się i mruknął pod nosem, że jeszcze mu tylko tego brakowało. Trzech koleżanek. Przesłuchał je szybko, nerwowo, nie dając im czasu ani na zastanowienie się nad tym, co mówią, ani na łyzy.

Mówiły jedna przez drugą, przeszkadzając sobie wzajemnie i tak naprawdę w rezultacie nie mówiąc nic. Że było jak zawsze: wieczór taki spokojny, muzyka z radia i nawet to samo wino. Nie było nic, co by je zaniepokoiło. Nic. Nawet nie słyszały strzału.

Zostawił je w pewnym momencie, zniecierpliwiony, zły, że nie może nimi potrząsnąć i doprowadzić do jakiegoś porządku ich myśli. Bez przerwy któraś z nich chwyciła telefon i wystukawszy nerwowo numer izby przyjęć szpitala wojewódzkiego, dopytywała, czy przywieziono już Julię Dunin. Na pewno nie? Proszę sprawdzić! Proszę jeszcze raz sprawdzić. I jeszcze raz. Za którymś razem usłyszały, że Julia Dunin zmarła w drodze do szpitala.

- Pani żartuje... - powiedziała któraś z nich niskim głosem, odrzucając w sekundę później telefon z obrzydzeniem, by za moment spojrzeć pozostałym bezradnie w oczy.

Znieruchomiały wszystkie w identycznej pozie lodowatego przerażenia, a jedna z nich wydusiła:

- To niemożliwe... Były oznaki życia... Tak powiedział... ten lekarz.

Po chwili bez słowa zerwały się ze schodów i w sekundę dotarły do samochodu.

Trzydziestosześcioletni Borys Berg, dryblas metr dziewięćdziesiąt pięć, blady jak ściana, zaczął Leskiemu działać na nerwy. Z odległości zobaczył twardego i konkretnego faceta. Z bliska ten obraz nie był tak

jednoznaczny. Biorąc nawet poprawkę na okoliczności, coś było w nim nie tak. Niepotrzebne słowa i za mało słów, jeden gest przeczący drugiemu, rozpacz i wściekłość w oczach, a w tym wszystkim niedająca się, mimo wyraźnych wysiłków, opanować bezradność. I ten jego upór.

Facet, który tak wygląda, powinien powiedzieć tak i tak, wróciłem, zobaczyłem, co się stało, z przerywnikiem ma się rozumieć, i to nie jednym, powinien walnąć łapą w mur, a potem odejść (jeśli mu na to pozwolili), a nie mamrotać pod nosem o jakichś przeczuciach... Pieprzyć przeczucia.

Wcześniej, tuż przed świtem w niedzielny poranek (a może tuż po) policjant z miejscowego posterunku, Dariusz Jakiśtam, który znalazł się na miejscu zdarzenia parę minut po dwunastej, powiedział mu, że się wcale nie dziwi (Leskiego akurat guzik obchodziło, co posterunkowego dziwi, a co nie), że chłopak tak siedzi na grobli od dwunastej i nawet nie chce się ruszyć, bo spędził tu, z małym wyjątkiem, całe życie. Najpierw pomagał ojcu, który pracował u rodziców Julii, a potem po ich i swego ojca śmierci sam był tu pierwszym gospodarzem i lepiej się na wszystkim znał niż mąż Julii. Albo nawet i sama Julia. - Z jakim wyjątkiem? - zapytał zniechęcony Leski.

- Co? - Posterunkowy nie zrozumiał.

- Mówił pan, że spędził tu całe życie...

- A... Zniknął na kilka lat, jak Julia wróciła ze studiów z mężem. Ludzie różnie gadali, że był tu, że tam, niektórzy nawet, że w Jugosławii, ale ja tam nie wiem. Z nikim się nie zadawał, nigdzie nie bywał. Nawet w sobotnie wieczory.

- A więc ustalenie, gdzie był i co robił w tym czasie, będzie można oprzeć jedynie na podstawie jego własnych zeznań.

Posterunkowy przytaknął.

- A gdzie mógł być? Kończył robotę, zamykał konie, obchodził stawy i szedł nad rzeką kilometr do siebie. Teoretycznie. Bo praktycznie nie było nocy, żeby nie zaszedł i nie sprawdził, czy coś się nie dzieje. Wiem, bo Julia nieraz mnie prosiła, żebym się od czasu do czasu przejechał nad stawami radiowozem, jak mam służbę. Nieraz się na niego natknąłem w środku nocy. Łaził nad rzeką z psem. Pies taki sam byk jak i on. Kto by do nich podszedł. Jak mówiłem, że się tu trochę pokręcę i może wracać do siebie, mrucał, że jak sam wszystkiego nie dojrzy, nie będzie pewien, czy jest w porządku, czy nie.

- Niedowiarek - wyrwało się Andrzejowi. Nie oczekiwał potwierdzenia. Zamyślił się na chwilę, zerkając na prawie dwumetrowego faceta na grobli, przybitego i nieprzytomnego z bólu, mimo tej kamiennej twarzy, niereagującego na nic.

- Nie o to chodzi - odpowiedział posterunkowy. - Było czego pilnować. Różne rzeczy się słyszy, a tu jeszcze takie odludzie. Zdarzały się incydenty...

- Będę potrzebował w swoim czasie więcej informacji na ten temat - zareagował natychmiast Leski.

- Nie ma sprawy.

- To być może z miejsca ustawi wszystko w odpowiednim świetle.

- Może - przytaknął apatycznie posterunkowy. - Mieścina jest mała - dodał. - Wszyscy się tu znają, ja też znam wszystkich. Jakby co...

- Mógłby mi pan przygotować listę, kto i w jakich relacjach pozostawał z Julią Dunin? Tak pi razy drzwi.

- Żaden problem.

- Na początek najbardziej zależy mi na wczorajszym dniu, tak na gorąco; z kim się widziała, kto miał z nią jakiś kontakt...

- Zrobi się. Julia była wczoraj w mieście. Widziałem ją, jak taskała do samochodu wielkie zakupy na to spotkanie. Zagadnęliśmy do siebie, widziałem, jak rozmawiała z Gabrysią... To właścicielka kwiaciarni... Julia, jak się już pokazała w mieście, nie stroniła od ludzi. Nie to co Borys. Ale z Gabryską chyba znały się najlepiej. Jeszcze ze szkoły.

- Dzięki, to będzie dobry początek.

- No - mruknął policjant. - A jeśli chodzi o wczorajszy dzień, to i tak najwięcej wie Berg.

Ekipa techniczna skończyła pracę nad ranem. Od piątej było widno. Kilku ludzi zostało, by metr po metrze przetrząsnąć wszystko dookoła w poszukiwaniu tego co najważniejsze. Nic jednak nie znaleźli. Ani broni, ani łuski, ani pocisku. Nie było żadnych śladów buta na wyschniętej ziemi i ani jednej świeżo złamanej gałązki. Brak łuski określał w przybliżeniu rodzaj broni - Leski od razu odrzucił pomysł, by sprawcy po ciemku i w krzakach udało się ją zabrać. Choćby tylko ze względu na czas. Pocisk spodziewał się znaleźć gdzie indziej, dlatego umówił się telefonicznie z patologiem na zapoznanie z wynikami sekcji. Wiele razy to robił i nie bardzo rozumiał, czemu tamten z miejsca zaczął się pieklić. Nikt prócz Leskiego - grzmiał w słuchawce zachrypnięty głos - nie dzwoni o piątej rano z żądaniem natychmiastowej autopsji i nawet by się nie zdziwił, bo nie od wczoraj się znają, gdyby nie to, że jest niedziela. A on od poniedziałku jest na urlopie.

- Jesteś od jutra na urlopie! - wrzasnął do telefonu Leski. - Tym bardziej idź tam zaraz i zrób tę cholerną sekcję! Nie mam zamiaru chodzić tydzień za twoim napuszczonym kolesiem i prosić, by łaskawie udostępnił raport do wglądu. Zwłaszcza po tej ostatniej awanturze. Wiesz, jak ten pajac potrafi mi zepsuć humor.

- Którym i tak nigdy nie tryskasz, narwańcu! - wrzasnął równie głośno patolog.

- Zrób to dla mnie. - Leski spuścił z tonu.

Schował telefon do kieszeni i dopiero wtedy odezwał się do stojącego na tarasie Borysa, że może, a właściwie to powinien już odejść. Tak jak się spodziewał, mężczyzna w milczeniu zszedł powoli z tarasu i skierował się w stronę grobli przy pierwszym stawie, na której leżał pies. Andrzej był pewien, że usiadzie przy swoim psie i żadna siła nie zmusi go do tego, żeby się stamtąd ruszył.

Kilkadziesiąt minut później dowiedział się, że żadnej sekcji nie będzie, bo niedoszła denatka znajduje się na stole, ale już nie w prosektorium, tylko w sali operacyjnej. Nie pierwszy raz, grzmiał w słuchawce głos patologa, podsyła mu się do krojenia zwłoki, które zwłokami jeszcze nie są, i coś z tym należałoby wreszcie zrobić. Na przykład z takim jednym czy drugim kretynem psującym nie najlepszą już i tak opinię pogotowiu, skoro taki jeden czy drugi kretyn nie potrafi rozpoznać oznak życia u postrzelonej młodej kobiety. Której pewnie jeszcze na czymś na tym świecie zależy, skoro tak się broni przed jego opuszczeniem. Ale ocena tego nie leży chyba w gestii patologa.

- No nie - zgodził się Leski. - Nie wrzeszcz mi tak do ucha.

A jak ma, kurwa, nie wrzeszczeć, kiedy już drugi raz w ostatnim czasie robi mu się taki numer, a jeszcze jest niedziela, pewnie ostatnia taka ładna tego lata, miał się wybrać z Maryską na grzyby, podobno się pokazały, i tylko dla niego zgodził się zjawić skoro świt w kostnicy, i spaprał sobie niedzielę, bo Maryśka powiedziała, że ona w południe na grzyby nie jedzie.

- Dobra - złościł się Leski. - Nie nakręcaj się sam, jest dopiero siódma, zdążysz jeszcze dziesięć razy wybrać się na te...

- Chcesz usłyszeć, gdzie mam teraz grzyby?

- Jest sucho jak na Saharze - dorzucił Leski. - Gdzie niby są te grzyby?

- Maryśka - usłyszał - zna takie miejsce, gdzie są. Jesteś mi winien dobrą wódkę.

Dobłą wódkę z dobrym kumplem zawsze można wypić. Leski wzruszył ramionami i pomyślał o Borysie Bergu, którego zostawił skamieniałego na grobli; ciekawe, czy ciągle jeszcze tam siedzi.

*

Teraz, widząc, że skupił całą uwagę na kiczowatym obrazku na ścianie, przesunął otwartą dłoń przed jego oczyma.

- Gdzie pan jest?

Borys w jednej chwili spojrzał mu niespodziewanie przytomnie w oczy.

- Jestem w domku letnim - odpowiedział. - W tym samym, który zbudowali dla nas mój i Julii ojciec, gdy byliśmy dziećmi. Zaraz się obudzę.

Nie było w jego głosie krzty sentymentalizmu, tylko senna, klócaąca się w jakimś sensie z treścią słów, obojętność. Leski spojrzał na zegarek.

- Nie wiem, gdzie ona była, panie Berg, ale też powinna się już budzić. Minęły cztery godziny od operacji.

- Więc ją operowano... - nie wiadomo, czy stwierdzał, czy pytał pozbawionym emocji głosem Borys.

Leski przytaknął.

- Żyje...

- Tak, panie Berg.

Borys wstał i ruszył do drzwi. Leski odprowadził go zdziwionym wzrokiem.

- Nie pyta pan, od jak dawna o tym wiem i dlaczego panu nie powiedziałem od razu?

Borys przystanął na chwilę.

- Niewiele mnie to, prawdę mówiąc, obchodzi.

Kiedy już wychodził, Leski zawołał za nim:

- A mnie tak, panie Berg. Dla mnie niestety niewiele ten skądinąd pozytywny fakt zmienia. Nadal będę chciał się dowiedzieć, kto strzelał...

Borys wyszedł.

- ...i dlaczego. .

*

Najpierw były niekończące się godziny pod drzwiami korytarza prowadzącego do prosektorium. Usiadły tam, mimo zakazów i upomnień, i powiedziały, że nie ruszą się stamtąd, nie zostawią jej samej. Im samym w pewnym momencie wydało się to absurdalne, ale nie miały pojęcia, co innego w tamtych chwilach mogłyby robić.

Nic nie mówiły. Czekały. Nawet kiedy zjawił się patolog i powiedział, że i tak już ma zmarnowaną niedzielę, więc mogą sobie spokojnie siedzieć. Co mu tam! Nie obchodziło ich nic: ani to, co się działo tu, ani to, co mogło dziać się gdzie indziej. Czas stanął w miejscu. Potem zrobił się jakiś ruch w korytarzu, zjawił się lekarz i pielęgniarce z łóżkiem. Rozwarły się, jak bramy piekieł, drzwi prosektorium i wywieźli ją stamtąd w masce tlenowej na twarzy. Powoli dotarło do nich, że umarłym nie zakłada się maski i nie ma przy nich takiego pośpiechu. Zamknęły się bramy piekła.

Potem były niekończące się godziny pod salą operacyjną, choć w rzeczywistości nie trwało to chyba aż tak długo. Usiadły na plastikowych krzesłach wzdłuż ściany i powiedziały, że nie ruszą się stamtąd, nie zostawią jej samej. Ktoś powiedział: „Jak panie uważają, ale to może potrwać”. Kamila w pewnym momencie odważyła się wyjść na

papierosa - nie paliła od północy - nie miały jej tego za złe. Wróciła zaraz (pomyślały, że nigdy w życiu nie wypaliła papierosa w takim tempie) i zapytała wzrokiem, czy coś się działo. Odpowiedziały wzrokiem, że nie.

Kiedy po jakimś czasie z sali operacyjnej wyszedł lekarz, nawet nie miały odwagi zapytać. Po chwili wyszedł drugi i sam powiedział, że wszystko w porządku, a przynajmniej taką można mieć nadzieję. Wszystko będzie wiadomo, jak się wybudzi.

Powoli zaczęły im wracać zmysły i mowa, mijał szok. Z każdą chwilą było coraz lepiej. W końcu odważyły się zejść na dół na kawę. Tylko na kawę, o żadnym jedzeniu nie chciały słyszeć.

- Cała się trzęsiesz - powiedziała w windzie Ramona do Magdy.

- Ty też - odpowiedziała Magda i spojrzały na Kamilę. Kamila też się trzęsła.

Usiadły w najdalszym kącie ciemnego pomieszczenia, żeby nikt nie widział, jak się trzęsą. Zamówiły kawę, mocną i czarną. Potem sączyły ją małymi łykami. W pewnym momencie Kamila wyjęła małe lusterko z torebki i zaczęła się w nim krytycznie przeglądać.

- No tak - powiedziała. - Jak ja wyglądam.

- A jak masz wyglądać - Magda na to - w kilka godzin po tym, jak ktoś do nas strzelał.

Kamila znieruchomiała z lusterkiem na wysokości twarzy, ale zaraz, poprawiając wytrenowanym gestem włosy, schowała je z powrotem. Ramona odstawiła kubek z kawą, schowała twarz w dłoniach.

- To mógł być przecież - zaczęła z nadzieją w głosie - jakiś przypadek.

- Może taki, że przez przypadek nie oberwała żadna z nas.
- Magda była bezlitosna.

Magda zawsze była szczera. Mówiła to, co czuła, bez owijania w bawełnę. Kamila mimo to ze zdumieniem patrzyła na koleżankę, bo jak dotąd takie racjonalne czy nawet wyprane z emocji podejście do pewnych spraw było jej, Kamili, domeną. Magda długo nie pograła obcej sobie roli. Pochyliła głowę i poprosiła cicho, aby nim Julia się nie obudzi, spróbowały sobie cokolwiek z tamtych ostatnich chwil przypomnieć. Może coś zrozumieć, żeby mogły potem powiedzieć Julii - jak tylko się obudzi - coś sensownego, cokolwiek... Było tak i tak, Julia, jakiś kretyń strzelał do kaczek, oberwałaś, bo siedziałaś najbliżej...

- Najbliżej czego? - przerwała Kamila.

- Nie wiem! - Magda podniosła głos. - Najbliżej strzału!

Kiedy chwilę później Kamila odezwała się, że żaden kretyń nie strzelał do kaczek o dwunastej w nocy, Magda odruchowo wyciągnęła rękę do jej szyi. Kamila odruchowo się cofnęła.

- Spróbujmy coś z tego zrozumieć, zgoda? - warknęła Magda, pochylając głowę nad blatem stolika.

Tylko że tej ostatniej chwili nie dało się w żaden sposób zrozumieć. W niepojęty sposób pozostawała wciąż za zasłoną koszmarnej nierealności. Jak nakładające się na siebie sny. Jeden bardziej nierealny od drugiego.

Gdyby chociaż można było powiedzieć, że wypity za dużo wina, urwał im się film i zaczęły zachowywać się inaczej. Inaczej niż zwykle. Nie, do pewnego momentu było tak samo. Tak samo jak zawsze. Koło jedenastej były w domu, rozsiadły się w salonie i Magda, pocierając odwiecznym gestem rękę powyżej łokci, stwierdziła, jak pięć, dziesięć czy nawet piętnaście lat temu, że sierpniowe wieczory, niestety, są już zimne. Spojrzały na nią, jakby powiedziała coś zaskakującego, a po chwili stwierdziły jedna w drugą, że Magda, nie wiedząc czemu, zwróciła po prostu tylko uwagę na powtarzalność ich

zachowań i truizm niektórych słów czy nawet całych wypowiedzi. I to je w jakiś sposób podniosło na duchu, bo przed chwilą - przyznawały jedna za drugą - wszystkie odniosły wrażenie, że nic już nie jest takie, jakie miało być.

Czy dlatego wyszły znowu na werandę? Nie, wyszły za Julią, która w pewnym momencie powiedziała, że ten dom, ten salon, że to wszystko ją przygniata. Chodźmy na powietrze, powiedziała i wyszła, a one za nią. Zrzuciły coś na siebie i siadając znowu przy stole, uznały, że rzeczywiście, na powietrzu jest jakoś inaczej, łatwiej.

- A poza tym wcale nie jest zimno - orzekła z niejakim zaskoczeniem Kamila. Zrzuciła eleganckim gestem nogę na nogę, a jej idealnie skrojona spódnica z idealnie dobranego materiału zafalowała za tym gestem. - Wyjątkowo.

- No właśnie - przytaknęła Ramona. - Pięknie jest.

Znieruchomiały na chwilę, bo Kamili zdawało się, że słyszy czyjeś kroki w ogrodzie, wtedy Magda powiedziała, że to pewnie Borys wrócił z psem. Julia pokręciła głową. Borys nigdy nie wraca, przynajmniej nie wtedy, gdy mają swoje spotkania. Odchodzi koło ósmej i przychodzi dopiero nad ranem, kiedy jeszcze śpią. Potem pyta, gdy budzą się i wybierają do kościoła w południe, czy nagadały się już dość, a one odpowiadają, że było za mało czasu.

- Zawsze jest za mało czasu - szepnęła w zamyśleniu Julia. Koleżanki zerknęły na nią z uwagą, wtedy ona dodała: - Właściwie nie chce mi się już gadać o tym, co jest, co nam się nie spełniło...

Zwłaszcza że po raz pierwszy uczciwie podsumowały swoje życie. Po raz pierwszy od dwudziestu lat - zgodziły się z Julią - uczciwie przyznały, że nie wszystko tak miało być.

- Nieważne. Miałyśmy nie mówić już o tym, co jest, o tym, co było. - Julia objęła niespodziewanie koleżanki czułym spojrzeniem, przypieczętowała to swym zniewalającym

uśmiechem (zaskoczone pomyślały, patrząc na nią, że wygląda jak dwadzieścia lat temu), na koniec bardzo cicho dodała: - I jak do tego wszystkiego doszło.

- Do czego jak doszło? - zapytała któraś.

Julia potrząsnęła głową, jakby nagle chciała się z czegoś wycofać lub o czymś zapomnieć.

- Nieważne - powiedziała. - Posiedźmy tu po prostu... Posiedźmy jak najdłużej.

I siedziały w milczeniu, słuchając muzyki, pół godziny, a może nawet dłużej. Noc była cieplejsza niż ostatnie, bez wiatru i bez żadnych odgłosów. Dobrze było tak siedzieć, słuchać muzyki i dziwić się, że po tym, co sobie powiedziały, ta noc jest taka cicha. Były wdzięczne Ramonie, że pierwsza miała odwagę powiedzieć słowa, których nigdy nie mówiła, ośmielając je, a właściwie zmuszając, by zrobiły to samo.

Czuły spokój i ulgę. Ta noc mogła sobie jeszcze trwać. Mogły tak siedzieć do rana i może nawet by siedziały, gdyby nie to, że stało się to, co się stało. Julia w pewnym momencie odezwała się, że nazajutrz chce je gdzieś zabrać.

- Wszystkie? - wyrwało się jakoś tak bez sensu Ramonie. Julia kiwnęła głową.

- To każdej z nas w pewnym sensie dotyczy. Chociaż może mnie najbardziej.

W tym momencie z radia, stojącego parę metrów za nimi, popłynęła stara melodia, bliska wszystkim i ulubiona, zakołysały się w jej rytm, a Ramona podkręciła głośność do oporu.

- Ale najpierw - przekrzykiwała radio Julia - chcę wam coś pokazać!

Potem był tylko jakiś chrzęst w radiu, głośniejszy od gwaru ich rozmowy (zgoda, może to żaden chrzęst, tylko strzał) i w tym samym momencie Julia, która przed chwilą wstała i zrobiła dwa kroki w stronę radia - pomyślały, że chce

je ściszyć, bo grało za głośno - znieruchomiła z wyrazem zdumienia na twarzy i upadła w sekundzie, tak jak stała, a jej głowa - patrzyły z przerażeniem - uderzyła o kant wyłożonego terakotą schodka. Odbiła się od niego jak piłka i znieruchomiła.

Wtedy na werandę wpadł Borys, zdyszany tak, jakby biegł od wczoraj. Chwycił Julię w ramiona, poderwał z ziemi, od razu, w ułamku sekundy, jakby nic nie ważyła. Z jego gardła wyrwał się jakiś skowyt - zrozumiały tylko tyle, że usłyszał strzał, a one, że to niemożliwe, i wtedy zobaczyły lewe ramię Julii - to, na które opadła jej głowa - całe we krwi.

*

Wszystkie dowody zabezpieczone na miejscu zdarzenia i wywiad mówiły tylko to, że w dniu tym i tym, w takich to a takich godzinach cztery koleżanki brały udział w kolejnym, cyklicznym - jak się dowiedział - spotkaniu.

Na cholerę mi to wszystko, mamrotał pod nosem Leski, tylko jakieś zwyczajne duperele, psu na budę, jedna duperela, druga i następna. Nic konkretnego. Zawsze było tak samo - przypominał sobie słowa Berga i kobiet - ten sam, niezmienny od lat rytuał. Za nic w świecie nie chciałoby mu się jechać na spotkanie z takim czy innym kumplem, które miałyby być takie samo jak zawsze. Właściwie po co? Niedobrze mu się robiło od samych tych stwierdzeń, powtórzeń: jak pięć, jak dziesięć, jak piętnaście lat temu... Co za nuda! Ha! zaśmiał się w duchu, nawet nuda kiedyś się kończy. I nie to, żeby komuś życzył podobnych atrakcji (Chyba jeszcze nie jestem takim sukinsynem), ale fakt pozostaje faktem: tym razem ktoś zjawił się w ciemności jak duch, jak echo, zmaterializowany kaprys i nienawiść. Ktoś zjawił się po prostu i oddał strzał. Bez ostrzeżenia. Nie dając żadnej szansy.

Nie było śladów walki: wywróconych doniczek, szkła, połamanych krzesel, nic, z czego dałoby się wyciągnąć jakieś

choćby przypuszczenia. Zasnęta krew na płytkach werandy to jedyne potwierdzenie, że w ogóle do czegoś w tym miejscu doszło.

W niedzielne przedpołudnie, kilkanaście godzin po zdarzeniu, Leski nie wiedział nic. Do zakończenia sprawy - wszystko jedno: wyjaśnionej czy nie - przydałoby się trochę faktów. Potrzebny był mu jakikolwiek punkt zaczepienia, konkret byle jaki, wszystko jedno co, byle miało ręce i nogi i można było od tego zacząć. Dlatego od razu po przesłuchaniu Berga na miejscowym posterunku udał się do kwaciarni, wyjątkowo w tym dniu otwartej, by przy pomocy kolejnej osoby, bliżej od innych znającej Julię Dunin, ustalić cokolwiek. Cokolwiek.

Na pytanie, czy domyśla się, kto mógłby to zrobić, Gabriela Zając, farbowana blondynka o błękitnych oczach, gwałtownie potrząsnęła głową. Nie i nie sądzi, by ktokolwiek miał odpowiedzieć na podobne pytanie. Całe N. jest w szoku, nikomu w głowie się nie mieści, niektórzy wręcz nie wierzą. Takie rzeczy dotąd działy się w wielkich miastach. Albo w filmach. W N. nie działo się nic.

Istotnie, idąc tu główną uliczką, Leski dostrzegł na twarzach ludzi ciekawość pomieszaną ze strachem, trwogą, niezrozumieniem... Dopiero w tej chwili to sobie uświadomił. Skąd zwykli ludzie, w zwykłej, nudnej miejscinie, może nawet nudniejszej niż inne, znajdują w sobie tyle emocji? Czy nie czytają prasy, nie oglądają telewizji? Skąd biorą siły, żeby się jeszcze tak dziwić?

Cztery kobiety spotykały się od lat na tej werandzie w sierpniowy wieczór i wszyscy o tym wiedzieli. W takich miejscinach wszyscy wiedzą o sobie wszystko. Tylko co to właściwie znaczy?

Poprosił Gabrielę Zając, by mu powiedziała wszystko, co wie na ich temat.

Sprawa jest tak niepojęta, zauważyła, że nawet nie wiadomo, od czego zacząć...

Najlepiej od wczorajszego dnia, doradził, bo z tego, co wie, wynika, że była być może jedną z ostatnich osób, które mogły rozmawiać z Julią Dunin, a z drugiej strony najlepiej znała nie tylko Julię, ale i pozostałą trójkę. Czy tak?

Gabriela przytaknęła. To akurat się zgadza. Julia często zaglądała do kwiaciarni, jak wpadała do miasta. Wczoraj tuż przed zakupami w markecie za stacją benzynową. Właściwie żaden tam market. Taki większy sklep samoobsługowy, wie pan, na miarę N. Cieszyła się, bo dziewczyny znowu miały przyjechać... Dziewczyny! Czterdziestoletnie kobiety, jak ona, ale nigdy inaczej się o nich nie mówiło. Zdziwiła się: To już pięć lat? Spotykały się co pięć lat od matury, zawsze u Julii i zawsze to było jakieś wydarzenie w N., bo na drugi dzień, w niedzielę, przychodziły do kościoła, a potem szwendały się po mieście, zaglądały tu, tam... Odwiedzały wszystkie znajome miejsca, wszędzie ich było pełno. Ludzie uśmiechali się do nich... Chociaż niektórych mogło denerwować całe to zamieszanie, wie pan, różni są ludzie. Większość jednak, tak jej się wydaje, patrzyła na nie z życzliwością. Bo takie były piękne, jakby dopiero co wyszły ze szkoły. Przebojowe i tak pełne życia, że pozazdrościć.

Może tylko Ramona, już przedostatnim razem, jakby trochę przywiedła... Dziwne, że akurat ona, bo była z nich najsubtelniejsza, taka mimoza, romantyczka i w ogóle. Ale nie malowała się i może dlatego. A może jeszcze coś, kto to wie. W każdym razie te niedziele, na drugi dzień po spotkaniu, należały do nich.

Dlaczego? Takie były. Takie od zawsze robiły wrażenie i być może na tej zasadzie się dobrały. Nie było za jej pamięci grupy, która skupiałaby na sobie tyle uwagi. Pozytywnej, tak, tak, zdecydowanie pozytywnej, chociaż byli pewnie tacy, co

im zazdrościli... Ona sama zazdrościła im, że są takie zgrane i taką piękną grupę tworzą i wizualnie, i wie pan. Każda miała jakiś wewnętrzny, dodatkowy atut.

Julia wspaniałe ciało i proste zasady, niesamowitą prostolinijność w zachowaniu, w życiu... Ramona zniewalające, romantyczne spojrzenie, trochę bujała w obłokach. Wszystkie kochały ją za to. Kamila posiadała rzadki dar: elegancję, niesamowite wyczucie smaku, nie tylko w ubiorze, ale tak w ogóle na każdym kroku. Magda... Magda była taka miła dla oka, zawsze uśmiechnięta. Chociaż trochę klęła i do wielu spraw podchodziła zbyt bezpośrednio. To mogło kogoś razić, prawda? Choć z drugiej strony może lepiej nie owijać w bawełnę. Może niektórym to pasuje.

W sumie gdyby z ich walorów i zalet ulepić jedną osobę, byłaby to piękna, elegancka, pewna siebie, ale i romantyczna, ciesząca się życiem kobieta.

Dlaczego miała im nie zazdrościć? Wszyscy im zazdrościli. Nie uwierzy, jeśli ktoś powie co innego. Ona dodatkowo, nie ma co ukrywać, miała specjalny powód, bo przyjaźniła się z Julią w podstawówce. Pozostałe przyszły do liceum z innych szkół i tak się jakoś dobrały z miejsca. Czasem było jej żal, ale była w innej klasie, miała swoje towarzystwo. Poza tym Julia nigdy o niej nie zapomniała. Ich kontakty, oczywiście, były powierzchowne, ale to już inna sprawa. Nigdy nie narzucała się ze swym towarzystwem, nie rozdzierała szat, kiedy już w pierwszych miesiącach szkoły zaczęły ją stopniowo ze swego towarzystwa wykluczać. Wręcz odwrotnie - sama zaczęła się odsuwać, gdy tylko się zorientowała, że jakoś do tej grupy nie pasuje.

Nie, nie wydaje się jej, żeby jako grupa miały jakichś specjalnych wrogów. Chyba wszyscy im zazdrościli na tej samej zasadzie, że nie są wśród nich. Nie były dumne czy aroganckie z powodu swej wyjątkowości. Chociaż... może

kiedyś, ktoś... Różni są ludzie, prawda? Ale tak z ręką na sercu, nie ma pojęcia, kto mógł ich nie lubić. Aż tak.

Pamięta ten dzień, po maturze, jak przemaszerowały przez miasto w białych bluzkach i czarnych spódnicach. Wspaniałe, pewne siebie... Zdawało się, że cały świat należy do nich. Wybranki losu...

Wybranki losu?!

Tak je nazywano. Takie były fakty.

Nie o takie fakty chodziło Leskiemu.

Nie, zdecydowanie nie miały wrogów. Były uczynne, bezpośrednie, pochodziły z normalnych domów, ani bogatych, ani biednych... Julia może miała trochę więcej, ale jej rodzice ciężko pracowali przy tym gospodarstwie, Julia razem z nimi od dziecka. Wie, bo widziała na własne oczy. Nie malowała pazurków, wie pan, jak to niektóre, tylko zabierała się do roboty, kiedy było trzeba. Zresztą ona chyba nie wyobrażała sobie, że może być inaczej. Chyba nigdy nie planowała życia poza tym miejscem. Nieraz powtarzała, że nigdy go nie opuści. I nie opuściła.

Potem poszły na studia i paczka się, naturalnie, siłą rzeczy rozsypała, ale co pięć lat były razem, to o czymś świadczy.

Jakieś wpadki? Pewnie miały. Aż tak nie były idealne, bo wtedy nie byłyby prawdziwe. Ramona raz zakochała się w żonatym facecie. Nie wie, gdzie go poznała. W sumie co za różnica. Nie miała pojęcia, że jest żonaty, dopóki żona nie zrobiła draki w szkole. Dziewczyny później wykreciły mu jakiś numer, nie wie dokładnie, zemściły się za Ramonę. Z żadną inną temu gogusiowi by taki numer nie przeszedł. Ramona w tych sprawach była ślepa.

Julia z kolei raz upiła się delikatnie na szkolnej wycieczce. Wszyscy się w takim stopniu upili, tylko że ona akurat nie potrafiła tego ukryć. Kamile dość regularnie nauczyciele nakrywali na fajkach. Wie pan, w tamtych czasach to było

wykroczenie. Gdyby im ktoś wtedy powiedział, że za kilkanaście lat szczeniaki będą się upominać o specjalne miejsca do palenia, cha, cha - kto by w to uwierzył?

Magda, o ile dobrze pamięta, miała jakąś poważną scysję z matematykiem. Ona miała zawsze jakieś swoje widzimisie, niektórych to mogło drażnić. Coś mu powiedziała bez ogródek, on jej obniżył stopień... Nie pamięta już, o co chodziło.

To tyle, co jej przychodzi do głowy. Pewnie było tego więcej, po prostu akurat o tym się wiedziało. Takie tam. Nic szczególnego w sumie, ale zawsze coś. Nieźle się z tego pewnie potem śmiały. Każdy ma takie grzeszki na sumieniu.

Możliwe, że cała ta przyjaźń rozpadłaby się wcześniej czy później. Gdyby wszystkie mieszkały w N., mogłoby się tak stać. Co innego szkolna paczka, a co innego dorosłe życie. Może nawet nie mogłyby na siebie patrzeć. Ile się zna takich przyjaźni, co nie przetrwały dwóch lat od opuszczenia szkolnych murów.

Najpierw wyjechała Ramona. Jeszcze na studiach. Jej ojciec był kierownikiem w jedynej księgarni w N. Gdzie? Chyba do Lublina... Albo do Łodzi. Tam sam otworzył jakąś księgarnię, to były już inne czasy. Kamila zaraz potem. Skończyła dobre studia, wyszła za mąż za jakiegoś ważniaka. Nie wie dokładnie, Julia aż tak szczegółowo nie opowiadała. A może zapomniała po prostu... Ale w rezultacie Kamila trafiła też do jakiejś małej miejsciny, trochę większej od N., nawet nie wie jakiej. Magda już rok po maturze była mężatką i urodziła pierwsze dziecko, i nie dlatego, że wpadła. Dzieci były jej żywiołem. Zdaje się, że doszła do czwórki. Mąż był z Warszawy i tam zostali. Trudno wymagać, żeby chciał zamieszkać z Magdą w N.

W ten sposób rozeszły się ich drogi. Julia sama została w N., właściwie za N., ale to już drobiazg, wiadomo, o co chodzi.

Pewnie, że Julia mogła się czuć osamotniona. Po bliskich były najważniejszymi osobami w jej życiu. Zwłaszcza że konsekwentnie i uparcie realizowała swój życiowy plan: zostać tu, prowadzić gospodarstwo. Taka dziewczyna jak ona wszędzie dałaby sobie radę, może nawet zrobiłaby karierę... Ale to było jej miejsce. Przywiozła sobie ze studiów męża, też po Akademii Rolniczej, zaczęli to razem ciągnąć.

Nie, Julia nie starała się zacieśnić dawnej przyjaźni. Wpadała jak wcześniej, jeszcze w szkole, do domu, potem do kwiaciarni na zwykłe babskie pogawędki. I Gabriela to szanowała, zdając sobie sprawę, że najważniejsze osoby w jej życiu już były i, tak jej się wydaje, organizując co pięć lat te spotkania, starała się to jakoś zatrzymać.

Nie, na pewno nie można powiedzieć, że ich całe życie to idylla. I w szkole, i potem każda miała swoje problemy czy nawet małe dramaty. Choćby Julia - śmierć rodziców, potem męża... Rodzice? W wypadku, razem z ojcem Borysa, tego wie pan... Mąż Julii... No cóż, w ostatnim czasie popijał ostro... Mieli chyba jakieś problemy finansowe. Wpadł na drzewo autem po pijanemu i tyle. Też żadna idylla, prawda? Chodzi o to, że razem tworzyły jakąś pozytywną czy też optymistyczną siłę, razem były wielkie, ale to chyba zasługa ich przyjaźni. Zresztą, to co się stało...

Możliwe, że przyczyn należy szukać w przeszłości, nie wie tylko w jak dalekiej. Nie ma pojęcia, nie ona w tych sprawach jest ekspertem. Po prostu włos jej się jeży na głowie, jak o tym pomyśli, nie wydaje się to w ogóle realne. Różne rzeczy dzieją się teraz na świecie, ale nie tu... Całe N. zamarło. Ludzie boją się ruszać, chyba nawet oddychać. Każdy jest w ogromnym szoku. Sama nie zamierzała wytykać nosa z domu,

ale zadzwonił Darek... No z komisariatu, policjant... Powiedział, że będzie chciał pan pogadać. Wolą wyść z domu. Matka bardzo to przeżywa. Mąż? Nie, nie są już razem, od wielu lat.

Jeśli to, co powiedziała, do czegoś się przyda... Sama nie wie. Wczorajszy dzień? Postały parę minut przed kwiaciarnią, pośmiały się, potem Julia odjechała. Z Borysem można jeszcze pogadać, on pewnie wie więcej. No i chyba był nawet wczoraj, prawda? Jemu z pewnych rzeczy Julia mogła się nie zwierzać, ale był tam, może widział coś... Nie to, żeby nie miała zaufania. Musiała chyba mieć jakieś zaufanie do faceta, któremu powierzyła całe to swoje gospodarstwo. Ale zdaje się zbytnej wylewności nigdy między nimi nie było. Borys po prostu taki jest. Szkoda trochę, z drugiej strony, tego Borysa. Całe swoje życie związał z domem Julii i co z tego ma. Jeśli o nią chodzi, potrafiłaby docenić takiego faceta. Swojego czasu nawet... No, ale nieważne.

Oprócz niego? No nie wie... Nie chciałyby nikogo, wie pan... Może Wiktor Tański... Akurat jest w N. Od piątku, o ile się nie myli, przyjechał na wesele swojej chrześnicy. Ona też na nim była. Włos się jeży, jak się pomyśli, że akurat w sobotnią noc bawili się na weselu, podczas kiedy... Tak, ten Tański! Mało kto wie, że pochodzi z N. Najpierw był z niego lekarz, potem się zrobił polityk; zawsze miał ambicje. Całe N. jest z niego dumne, w końcu tylko N. Czy było coś między nimi? O tak! Inaczej by nie wspominała. Chodzili ze sobą, Julia była w nim naprawdę zakochana. Nie zwracała uwagi na żadnego innego. Dla niej istniał zawsze tylko jeden mężczyzna. Czy to coś niezwykłego? Dla dziewczyny takiej jak Julia? Zawsze miała adoratorów na pęczki. I Borys... Cały czas pod ręką, trochę szkoda faceta.

No i to chyba tyle. Aż dziwne, jak się tak teraz zastanowić. Niby była tu całe życie, a z nikim tak naprawdę.

Człowiek do pewnego momentu nie zastanawia się nad pewnymi sprawami, dopóki coś się nie wydarzy.

Filozoficzny ton w głosie Gabrieli był tak sztuczny, jak połowa kwiatów w jej kwiaciarni, więc Leski przerwał, pytając, z kim Julia mogła tego dnia się spotkać. Z paragonu fiskalnego, jednego z dowodów, jakie technicy zabezpieczyli, wiedział, że wszystkie zakupy zrobiła w sklepie za stacją benzynową, co Gabriela już wcześniej potwierdziła. Ale może jeszcze coś? Może widziała ją z kimś?

Nie, z nikim jej nie widziała. Postały trochę pod kwiaciarnią, pogadały... W jakim była humorze? No chyba jak zwykle. Trochę zbyt poważna, jak to Julia. Smutna? Zaniepokojona? Nie wydaje jej się. Chociaż, może. Widywały się rzadko, więc mogła po prostu nie dostrzec, że coś z nią nie tak. Chyba nie ma w tym nic dziwnego.

Leski zgodził się, że nie.

W takim razie to ona nic więcej nie wie. Julia pożegnała się i odjechała, a ona wróciła do pracy. Miała jeszcze przygotować wiązanki ślubne dla druhny i dla panny młodej, więc za bardzo nie zatrzymywała Julii. Sama też jeszcze musiała wyszykować się na wesele, ale to już chyba niewiele ma wspólnego ze sprawą, prawda?

Prawda. Ale tak dla porządku - Leski postarał się o jak najbardziej obojętny głos - każdego musi o to zapytać:

- Co pani robiła wczoraj około dwunastej? Mam na myśli północ oczywiście.

- Wczoraj byłam na weselu. Mówiłam już - odparła Gabriela Zając naturalnym głosem.

- Nie wychodziła pani? W ogóle? Na przykład, żeby się odświeżyć, złapać powietrza... Ale skoro pani mówi, że nie... Tylu świadków... Ktoś to, rzecz jasna, potwierdzi.

- Chociaż... - Gabriela Zając podniosła rękę do ucha i zaczęła je delikatnie skubać. - Ma pan rację, wyszłam na

chwile... Nie sądziłam, że to akurat, wie pan... zajrzeć do matki. Została sama w domu, a trochę choruje... - I szybko dodała: - Spała, więc jej nawet nie budziłam.

- O której to mogło być?

Gabriela, wciąż skubiąc ucho, zastanawiała się głośno:

- A wie pan... To tak mogło być koło północy. Jak wróciłam, było już po oczepinach. Nie przyszło mi to od razu do głowy, bo wie pan...

Wiedział. Chora matka i tak dalej. Szkoda, że akurat spała i nie może potwierdzić wersji córki. Ale starzy ludzie mają prawo spać o północy. Nie ma w tym nic złego. Ani dziwnego tym bardziej.

*

Wiktor Tański zatrzymał się w hotelu Arkadia, parę kilometrów od miasta, w tej samej linii co posiadłość Julii, tylko nieco dalej od rzeki. Był to zresztą jedyny hotel w tej okolicy. Leski postanowił wykorzystać okazję. Wiele się po spotkaniu ze znanym posłem nie spodziewał. Z drugiej strony jako jedna z niewielu osób blisko związana w przeszłości z jedną z nich mógł oczywiście wnieść jakiś obiecujący szczegół do sprawy.

Wrażenie, że zdarzenie z sobotniej nocy wiąże się w jakiś mniej lub bardziej pogmatwany sposób z przeszłością, nie odstępowało Leskiego na moment. Ponieważ nie wiedział nic, nie miał pojęcia również z jak daleką.

Wiktor Tański, jak można się było tego spodziewać, był równie zaskoczony, jak niezadowolony z wizyty. Odsypiał huczne wesele chrześnicy, przy okazji wiele innych zarwanych nocy, do czego ma zasłużone prawo. Leski nie zamierzał prawa do wypoczynku posła kwestionować. Zwłaszcza po hucznym weselu. Zaczął więc od soboty: o której przyjechał, czy od razu zjawił się w hotelu, czy u rodziny, czy może spacerował po mieście?

- Dzień był taki piękny - zaczął nieco melodramatycznym tonem poseł. - Chyba najpiękniejszy tego lata. I... taki cichy.

- W sierpniu tak bywa - uciał Leski, bo nie spodobał mu się ten melodramatyczny ton i natychmiast przeszedł do konkretnego: - Pana coś łączyło z Julią... Coś poważniejszego.

- Dwadzieścia lat temu. - Tym razem głos posła zabrzmiał prawie nieprzyjemnie.

- Nie mówię, że teraz.

- Kochałem ją - wyznał Tański - ale mnie rzuciła. I to z dnia na dzień. Uwierzy pan?

Leski potraktował to pytanie jako retoryczne. Patrząc Tańskiemu bez wyrazu w oczy, czekał na odpowiedź na swoje, wcześniej zadane pytania. Poseł okazał się człowiekiem bystrym, co akurat Leskiemu zawsze imponowało, z miejsca przeszedł do rzeczy.

Nie, nie miał okazji spotkać się z Julią przypadkiem, bo od dwudziestu lat tylko takie spotkania między nimi wchodziły ewentualnie w rachubę. Przyjechał do N. przed południem i od razu zameldował się w hotelu. Dlaczego nie u rodziny? No cóż, on ma swoje wymagania, swoje telefony, które dzwonią bez względu na porę i okoliczności, a w domu rodzinnym ciasno. Nie spacerował po mieście, nie widział takiej potrzeby, prawdę mówiąc, to nie przepada za N. Do czasu udania się na ceremonię ślubną do maksimum wykorzystał rzadką okazję prawdziwego wypoczynku, z dala od wszystkiego, przed ślubem nawet wyłączył telefon.

Leski nie miał podstaw do zadawania dalszych pytań. Ani, prawdę mówiąc, pomysłu na nie. Podziękował i skierował się do drzwi. Wychodząc, zwrócił uwagę na trzy puste butelki po wodzie mineralnej przy łóżku. Poseł jeszcze raz wykazał swą bystrość:

- Alkoholu na weselu nie pożałowali.

- A politykowi, chcąc nie chcąc, formę wypadu trzymać - podsunął jowialnie Leski.

- Zgadza się. Grunt to wycucie, kiedy należy odpocząć.

- Odpoczywał pan? - rzucił już w drzwiach niewinne pytanie Leski.

- Taaa.. Ale krótko. Z godzinę... w samochodzie...

- W samochodzie... O której tak mniej więcej?

- Nie mam pojęcia. - Wiktor Tański nie zastanawiał się ni sekundy - Był pan na oczepinach? Tański czujnie ściągnął brwi.

- Nie bardzo rozumiem...

- To taki zwyczaj weselny, wie pan, koło północy...

- Oczywiście, że byłem, ale... Leski parsknął śmiechem.

- Pytam, bo wie pan... Rozmawiałem przed godziną z Gabriellą Zając, właścicielką kwaciarni. Mówiła, że złapała wiązanek ślubną na tych oczepinach i to mnie trochę rozśmieszyło, bo zdawało mi się, że...

- Tak - przerwał, parskając nerwowym śmiechem, Tański.

- Dość śmiesznie to wyglądało.

- Widział pan?

- Widziałem.

- Zabawne... - Leski w jednej chwili przestał się śmiać.

Powtórzył: - Naprawdę zabawnie musiało to wyglądać.

Podziękował i wyszedł.

*

Nie miały pojęcia, jak długo można spać po operacji i z czym to jest związane. Nic do nich nie docierało: ani słowa pielęgniarki, która z uśmiechem zasugerowała, że w sąsiednim skrzydle jest pokój dla rodzin chorych z bardzo wygodnymi fotelami, gdzie mogą odpocząć, ani niewyraźny pomruk zmęczonego lekarza, który wspomniął coś o krwiaku śródczaszkowym. Podtwardówkowym, jeśli chodzi o ścisłość.

- Krwiak - zaskrzeczała Magda. - Jaki krwiak? Kamila? Kamila spojrzała na Magdę jak na zjawę, gdy zorientowała się, że ta ją o coś pyta.

- A skąd ja mam to wiedzieć! Nie kończyłam medycyny, tylko architekturę.

- Jeden z moich chłopaków - zaczęła nieśmiało Ramona - był chirurgiem.

Spojrzały na nią w jednej chwili. Ramona pożałowała natychmiast. Zaraz powiedzą: Daj spokój, Ramona, chodziłaś z nim miesiąc lub dwa...

- Mówił ci coś o krwiakach śródczaszkowych? - zapytała Magda.

- Podtwardówkowych - uściśliła Kamila. - Nie.

- To po co zaczynasz? Ile z nim chodziłaś! Dwa, trzy miesiące?

Ramona odwróciła głowę. No właśnie.

- Miesiąc - odpowiedziała cicho.

Magda z Kamilą wymieniły spojrzenia. Nie, nie miały zamiaru jej dokuczać. Magda prychnęła pogardliwie:

- No i dobrze. Zobacz, jak wyglądają ci... ci chirurdzy.

- No jak wyglądają? - zdumiała się Kamila. - Jeden przystojniejszy od drugiego.

- No... Jak który. Ale zobacz, jakie mają ręce.

- Czyste. Przecież myją je bezustannie.

- Myją... myją - złościła się Magda. - Ale grzebią nimi najpierw...

- Przestańcie - przerwała Ramona. - Wszystko jest i tak dostatecznie makabryczne.

Zamilkły. Ale tylko na chwilę.

- Sama zaczęłaś - zakończyła Kamila. Zerwała się, widząc lekarza wychodzącego z pokoju pielęgniarek. - Panie doktorze...!

Zrobił zniecierpliwiony ruch ręką w powietrzu.

- Nie teraz - uciał. - Jestem zajęty.
- Wszyscy są zajęci - mruknęła pod nosem Magda - a Julia tam śpi. I nie ma komu jej obudzić.

*

Leski jeszcze w nocy skontaktował się z okolicznymi posterunkami, prosząc, by zwrócono uwagę na dziwnie zachowujących się nieznajomych w najbliższej okolicy. Wydał polecenie, by każdego, kto nie potrafi w racjonalny sposób wytłumaczyć swej obecności w danym miejscu, doprowadzać na komendę i przesłuchać. Ostrożnie.

Schwytano dwóch złodziei i trzech wymykających się cichaczem niedzielnym świtem kochanków.

Przetrzęsanie okolic N., które część jego ludzi rozpoczęła w godzinę po zdarzeniu, nie przyniosło nawet tego. Tu nikt nic nie słyszał, nikt nikogo nie widział, a ktokolwiek to był, nigdzie nie zostawił za sobą najmniejszego śladu.

- Tu ludzie są spokojni - posterunkowy z N. sprawiał wrażenie, jakby się tłumaczył - wcześniej chodzą spać...

- Rzeczywiście - mruknął Leski. - Ktoś tu jednak o północy nie spał.

Wszelkie informacje o podobnych przypadkach tajemniczych, niezrozumiałych bądź niewytłumaczalnych na pierwszy rzut oka miały spływać do niego z komendy wojewódzkiej w telegraficznym tempie. Wersja o przypadkowym strzale oddanym z ręki szaleńca była tak mało prawdopodobna, że już w kilka chwil po wydaniu wszystkich powyższych poleceń przestał o niej myśleć. Zrobił tylko to, co zawodowy detektyw powinien w tej sytuacji zrobić, i niemalże w tym samym momencie zapomniał.

Na sugestię Dariusza Jakiegoś tam z posterunku w N., czy nie dałoby się może wydobyć czegoś więcej od dziewczyn (od dziewczyn!), odpowiedział, że o samym wieczorze

powiedziały mu (mniej lub bardziej chaotycznie) wszystko. Resztę, jeśli jest jakaś reszta, niech same z siebie wydobędą.

- Liczy pan na to? - zapytał tamten.

- Liczę - powiedział Leski w zamyśleniu - na pewną logikę wydarzeń.

Posterunkowego zatkało. Leski poprawił się natychmiast:

- Ale to tylko pobożne życzenie.

Zdaje sobie sprawę, kontynuował po chwili, że to tylko tak naprawdę ładnie brzmiąca formułka. Logika wydarzeń! Kiedyś to się sprawdzało. Kiedy przemoc była wyjątkiem, a nie normą. To jeszcze tylko w takich miejscach jak N. ludzie dziwią się i są przerażeni. Być może nawet autentycznie.

Na słowa posterunkowego, że chyba jest jeszcze sporo takich miejsc, nie zareagował.

*

Koło południa wiedziały już, że kolejne godziny dalej będą się ciągnąć w nieskończoność. Właśnie wtedy wywieziono Julię z sali operacyjnej na Oddział Intensywnej Terapii. Był krótki moment, w którym odetchnęły z ulgą, bo sądziły, że to dobrze, ale kiedy za chwilę patrzyły, jak spowita w biel i blada jak widmo, z zamkniętymi powiekami, ledwo widocznymi wśród bandaży, znika wraz z pielęgniarzkami za drzwiami oddziału, wiedziały, że coś jest nie tak. Stały przerażone na środku korytarza, nie wiedząc, co dalej robić i jak się zachować. Wtedy jakiś młody lekarz litościwie im objaśnił, że rokowania były naprawdę dobre. I są nadal, tylko należy czekać.

Czekać. Znowu czekać.

- Pacjenci nie zawsze wybudzają się od razu po zabiegu...

- dodał uspokajająco, widząc ich niepokój.

- Więc ona śpi? - wpadła mu w ton Ramona.

- Taaak... - zaczął ostrożnie. - To znaczy niezupełnie. Nie może się wybudzić.

- To znaczy, że co?

- To znaczy, że nie reaguje. Nie może otworzyć oczu, nie może ruszyć ręką ani nogą... Niczym. Może tylko słyszeć i czuć...

- Nie może pan - przerwała Magda - powiedzieć, że jest po prostu w śpiączce? Szybciej to do nas dotrze.

- Minęło dopiero parę godzin... - Rozłożył ręce. - Skrzep, wywołany krwawieniem, bezpośrednia przyczyna śpiączki, został usunięty. Poczekajmy.

Kiedy odchodził, Ramona zawołała za nim:

- Czy dziś się obudzi?

Odwrócił się zdziwiony. Jakie uparte.

- Czy panie są z rodziny? Siostry? Siostry, przyjaciółki - co za różnica. ,

- Poczekajmy - powiedział i odszedł.

Magda postanowiła, że muszą coś zjeść i się umyć. Spojrzały na nią tak, jakby powiedziała coś od rzeczy. Ale za chwilę przyznały jej rację. Muszą zapanować nad emocjami - długo na nich nie pociągną. Jeśli to ma jeszcze potrwać wiele godzin. .. Pielęgniarka, która przewracała oczami z niezadowoleniem, że kręcą się pod oddziałem, oznajmiły, że ich koleżanka być może tego właśnie potrzebuje. Nie zrozumiała, nie starały się tłumaczyć. Nie musiały. Kamila przeprowadziła minutową rozmowę z ordynatorem. Powiedziała, że będą niewidoczne, ale bardzo zależy im na tym, żeby przyjaciółka, jeśli się obudzi, nie była sama. Był zmęczony, więc kiwnął tylko głową. Nie wiadomo: czy na tak, czy na nie.

Wynajęły pokój w hotelu naprzeciw szpitala. Wykąpały się. Kamila zeszła na dół i kupiła dla każdej zmianę bielizny. Kiedy chciały jej oddać pieniądze, powiedziała, że gdzieś ma pieniądze, które z taką lekkością zarabia jej mąż, i to jest

jedyna rzecz, którą od niego bierze. Potem ubrała się, umalowała bardzo starannie i zapaliła papierosa.

- Wszystko tak niewiele znaczy... - odezwała się. - W jednej sekundzie może wszystko szlag trafić, a ja się będę zastanawiać nad jakimiś pierdołami, jak to czy tamto.

- Wszystko - przytaknęła Magda. - Kiedy wydaje ci się, że doszłaś do jakiegoś momentu, w którym nic złego nie może cię już spotkać, bo swoje przeszłaś, i to by przynajmniej na jakiś czas wystarczyło, ktoś staje w krzakach i strzela do ciebie jak do tarczy na strzelnicy.

- Żeby wygrać pluszowego słonia - dokończyła Kamila.

- Albo zająca - dodała Magda. Ramona zatkała uszy dłońmi i krzyknęła:

- Przestańcie! Nikt do nas nie strzelał!

- Jak to nie? - zdziwiła się Magda.

- Nie do mnie. Nie do ciebie, nie do. Kamili. Coś się stało, coś, czego nie potrafimy zrozumieć...

- Ale chyba nie tego, że padł strzał? To jedno chyba jest jasne.

- Ktoś się może wygłupiał...

- Ramona! - ostrzegła Magda.

- Komuś coś się poplątało. To nie miałyśmy być my. Ktoś pomylił miejsca, domy...

- Akurat!

- Kto mógłby wiedzieć, że my tam jesteśmy?!

- Ramona, do ciężkiej cholery! Pół świata wiedziało, że spotykamy się co pięć lat u Julii. Od dwudziestu lat.

Ramona za nic nie dała się przekonać. Kręciła bezradnie głową, przemierzała pokój hotelowy w tę i z powrotem, stawiała przy oknie i odchodziła od niego.

- Dlaczego właśnie Julia była celem?

Magdzie opadły ręce. Jedną z nich podniosła do czoła i przez chwilę masowała delikatnie jego prawą część.

- Tego nie wiemy na pewno. Julia mogła być celem sto razy, o dowolnej porze dnia i w dowolnym miejscu. Dlaczego o dwunastej w nocy i akurat wtedy, gdy my tam byliśmy? - Zrobiła krótką pauzę, zerkając na Ramonę. - Usiądź, pomyśl i przekonaj samą siebie, że nie zrobiłaś w życiu nic, co by się komuś nie spodobało.

- Nie spodobało? - wydusiła Ramona. - Zrobiłam tysiące takich rzeczy!

- Na tyle, żeby można... No wiesz.

- Nie wiem.

- To pomyśl.

- Nie chcę o tym myśleć.

- Więc nie myśl. Idę do Julii.

Magda wyszła z pokoju. Przez chwilę wsłuchiwały się w cichnący odgłos jej kroków w hotelowym korytarzu, wreszcie Ramona oderwała dłonie od uszu i powiedziała, podchodząc do okna:

- Było tak pięknie.

RAMONA 1992

Kamila opowiadała kiedyś o kotce sąsiadów, która miała delikatną, falującą sierść, prawie aksamitną, tak że nawet jak na kota wydawała się zbyt miękka i w jakimś sensie efemeryczna. Ulubionym zajęciem kotki było przesiadywanie w ogródku w słoneczne dni. Przymrużonymi ślepkami patrzyła na kwiaty i motyle i zdawało się, że jedno i drugie istnieje tylko i wyłącznie dla jej kociej przyjemności. Nie ganiała po płotach, drzewach, nie obchodziły jej inne koty. Jej świat to był słoneczny ogród, w którym wszystko wprawiało ją w ekstatyczny zachwyty.

- To tak jak Ramona - powiedziała wtedy Magda, a Julia z Kamilą natychmiast przytaknęły.

Dla Ramony istniał tylko świat, którym mogła się bezustannie zachwycać. Zdawało im się nieraz, że nosi jakieś

niewidzialne magiczne okulary, które pozwalają widzieć tylko to, co jest piękne. Inna sprawa, że w najdrobniejszej rzeczy Ramona potrafiła piękno dostrzec. Jeśli lało posepnie od trzech dni i świat zaczął upodabniać się do wilgotnego, oślizłego grobowca, ona ni stąd, ni zowąd dostrzegła nagle kroplę ześlizgującą się leniwie po liściu mieczyka i zachwycała się tym, jakby to była lśniąca perła spadająca z kwiatu orchidei.

No i bujała w obłokach. Bezustannie. I snuła dziwne opowieści o życiu jak z bajki i królewiczu czy też księciu, który zjawi się pewnego dnia i to będzie ponad wszelką wątpliwość jej książę. Kiedy tak mówiła, jej długie rzęsy opadały i unosiły się z tak zniewalającą subtelnością, że każdy mijany mężczyzna stawał jak wryty i oglądał się za Ramoną jak za zjawiskiem zbyt pięknym, żeby w nie uwierzyć. Wtedy koleżanki sprowadzały ją na ziemię, mówiąc po prostu:

- Ramona, zamknij się.

Magda nie bawiła się w subtelności:

- Właśnie wlaźłaś w zdechłego ptaka.

Ramona przenosiła na nie swe zniewalające spojrzenie nimfy i uśmiechała się pięknie.

Kiedy Julia zadzwoniła z informacją, że organizuje u siebie spotkanie czwórki, odrobinę zdziwiona zapytała, czy coś się stało.

- . A co się miało stać? Obiecałyśmy sobie przecież, że co pięć lat...

- Pięć lat! - wykrzyknęła. - O kurczę, to już minęło pięć lat?

- Tak jakby - Julia na to. - Szykuj się, pierwsza romantyczko rocznika osiemdziesiąt siedem na ostatnią sobotę sierpnia.

Ramona uwielbiała ostatnie soboty sierpnia, więc przytaknęła ochoczo, w międzyczasie przeprowadzając w

myślach proste działanie matematyczne: 92 - 87... Wszystko się zgadzało. Minęło pięć lat. Naprawdę nie wiedziała kiedy.

Potem, głębiej się nad tym zastanawiając, doszła do wniosku, że z całej czwórki to ona przez te lata najmniej osiągnęła. W kategoriach wykształcenia - pocieszyła się natychmiast - bo tak się złożyło. Nie robiła sobie najmniejszych wyrzutów z tego powodu. W tamtym czasie akurat zadowolona była ze swego życia, a to chyba najważniejsze.

Wszystkie w tym roku pokończyły studia. Kamila robiła jeszcze jakieś dodatkowe kursy (Kamila zawsze stawiała sobie wyższe cele), Magda już na pierwszym roku wyszła za mąż i urodziła córkę, na trzecim - drugą. Poradziła sobie.

Ramona z ledwością przebrnęła przez dwuletnie kulturoznawstwo w miejscinie oddalonej o trzydzieści kilometrów, niewiele większej od N., tak że nie mieszkała nawet poza domem, nie poznała co to akademik ani życie w innym mieście. Ani na chwilę nie oderwała się od domu, rodziny. Nie brała takiej opcji w ogóle pod uwagę. Matka zawsze wymagała jakiejś specjalnej opieki, choć udawała, że żadnej opieki nie potrzebuje. Z tego powodu Ramona, między innymi, myśląc o swoim wykształceniu, z góry założyła sobie jakieś w maksymalnym stopniu zadowalające ją minimum.

Taki był jej wybór. Wtedy o nic innego nie chodziło jej w życiu.

No, może jeszcze tylko o wielką miłość. Nie miała pojęcia, skąd przekonanie, że zjawi się właśnie w N. Czekwała na nią o każdej porze i w każdym miejscu. Popołudniami pałętała się w księgarni ojca aż do zamknięcia, przeglądając książki, ucząc się, a przede wszystkim zerkając na drzwi za każdym razem, kiedy ktoś wchodził. Może to on? Zjawi się tu z innego miasta, z innego świata. Specjalnie dla niej.

Kilka razy uwierzyła, że to on. Za każdym był to sporo starszy, doświadczony mężczyzna, który - zdawało się jej - gotowy był rzucić jej cały świat do stóp, bo całego świata była warta. Wierzyła im, kiedy mówili, że jest stworzona do kochania, uwielbiania, noszenia na rękach.

Nie miała pojęcia, czemu zawsze kochało się ją tak krótko. Ledwo przyszli, już odchodzili. Żeby nie cierpieć, prawie natychmiast uruchamiała maszynę wyobraźni i śniła o kolejnym księciu. Tym razem miał to być już ten prawdziwy. W końcu musiał się pojawić.

- Jesteś taka naiwna... - odezwała się kiedyś matka, która zaczęła poważnie chorować i już nie starała się tego ukrywać. Przez to zrobiła się bardzo wyczulona na wszystko, co wiązało się z przyszłością córki. Bliższą lub dalszą. Ani jeden zawód miłosny nie uszedł jej uwadze. - Tak się boję.

- Czego, mamo?

- Że kiedyś w końcu trafisz na tego jednego.

- Przecież o nic innego mi nie chodzi! - zawołała. Chciała dodać: Po to się urodziłam, ale matce nie trzeba było mówić pewnych rzeczy.

Umarła w dziewięćdziesiątym. Ramona myślała wcześniej, że czegoś takiego nie przeżyje. Ale przeżyła. Chyba tylko dlatego, że ojciec był w o wiele gorszym stanie. Jedno z nich musiało myśleć i żyć za drugie. Po roku zdecydował się wreszcie na wyjazd do Łodzi, gdzie mieszkała jego jedyna, samotna siostra. Ciotka Lukrecja była właścicielką niewielkiej kamienicy w jednej z bocznych uliczek centrum. Po śmierci matki Ramony dzwoniła codziennie, w końcu przyjechała i sama zaczęła ich pakować.

- Zostało nas troje na świecie - mówiła, zdejmując zdjęcia rodzinne ze ścian. - Myślałby kto, że trzeba było śmierci Iriny, żebyśmy się zesłi w jedno miejsce.

- Ale jak... - próbował protestować ojciec. - Jak ona tu sama...

Wtedy zdjęcie ślubne rodziców Ramony samo spadło ze ściany. Uznali to za znak: matka zdecydowała, że mają jechać.

Ramona pożegnała swoje małe N. bez wielkiego żalu. Zdała się na wybór matki i po raz pierwszy w życiu zapragnęła jakiejś zmiany. To znamienne, że właśnie w dniu wyjazdu też po raz pierwszy od czasów liceum spotkała swego pierwszego nietrafionego księcia. Żona nie wybaczyła mu przygody z licealistką i mimo jego szczerych zaklęć, że to była tylko przygoda, odeszła. Teraz stał pod barem za cmentarzem z jakimiś żułami. Nie mogła uwierzyć, że on i ci ludzie mają ze sobą coś wspólnego. Choćby to było tylko piwo wypijane pod barem. Przez chwilę patrzyli na siebie. Ramonie zdawało się, że ją zawoła. Ale nie zawołał. Może gdyby to zrobił, czegoś by żałowała.

W nowym miejscu ojciec Ramony odnalazł się szybciej niż ona. Zapaliło się właśnie zielone światło dla prywatnej inicjatywy, więc na dole kamienicy otworzył księgarnię. Prawdziwą księgarnię, nie sklepik z książkami jak w N. Chodził po niej, zacierał ręce i cieszył się jak dziecko. Nawet o tym nie marzył, nie wierzył, że nadejdą jeszcze takie czasy.

Z miejsca stało się jasne, że Ramona będzie prowadzić interes razem z nim. Nawet jej się to spodobało. Zaczęła serio interesować się literaturą współczesną. Chodziła na spotkania z pisarzami, poetami, potem sama zaczęła organizować spotkania autorskie u siebie. Co jakiś czas zakochiwała się bez pamięci i jej życie zaczynało być naprawdę piękne. Przyzwyczaiała się do kolejnych miłosnych zawodów, przestała je za każdym razem tak dramatycznie przeżywać. Wręcz odwrotnie: każdą uczuciową porażkę zaczęła traktować jako naturalną kolej rzeczy. Było jej dobrze. Kwitła, spełniała się w tym, co robiła. Czego można więcej chcieć od życia.

Taka właśnie, szczęśliwa i spełniona, pokazała się koleżankom w ostatni weekend sierpnia 1992 roku, pięć lat od chwili, kiedy przestały tworzyć nierozdzielny kwartet.

Poza wszystkim miała jeszcze jeden powód do pełni szczęścia. Wiosną tego roku spełniła się przepowiednia matki: Ramona spotkała miłość swego życia. Tę jedyną. Wiedziała, że bez względu na wszystko więcej kochać już nie będzie. Obiekt tego szaleństwa: trzydziestodwuletni zblazowany poeta Aurelian, któremu na potężnym kacu od czasu do czasu rzeczywiście udawało się stworzyć prawdziwą perełkę, dzięki czemu popadał w coraz większą dumę i arogancję, postawił sprawę jasno:

- Ze mnie aniele, pożytku mieć nie będziesz. Z natury nie jestem wierny, z zasady nie angażuję się uczuciowo. Chcesz, to cierp.

Od pół roku byli razem i jak przystało na prawdziwą pijawkę, poeta ani razu nie zainteresował się jej uczuciami. Od czasu do czasu natomiast interesował się bliżej jakąś wpatrzoną w niego młodą poetką czy wielbicielką i przez tydzień lub dwa one były jego muzami albo, używając jego terminologii, paliwem. Ale to do Ramony wracał za każdym razem, chociaż ona za każdym razem zalewała się łzami i groziła, że to już ostatni raz, że nigdy więcej, nigdy...

- Och, aniele - wyrzucał ze zniecierpliwieniem, bo łzy Ramony po piętnastu minutach zaczynały go zwyczajnie drażnić - przecież wiesz, że potrzebuję paliwa, rozruchu. Tyle razy ci to tłumaczyłem, a ty ciągle swoje. Powinnaś się już przyzwyczaić.

- Przyzwyczaiłam się - łkała Ramona - ale pamiętaj, że już nigdy... nigdy więcej.

- Postaram się, tylko już nie rycz - deklarował łaskawie, kiedy był w dobrym humorze, bo kiedy był w złym, potrafił zwięźle, czyli w kilku słowach, doprowadzić do sytuacji, w

której to Ramona zaczynała się czuć wszystkiemu winna i to ona przepraszała, że stało się, jak się stało i że w ogóle żyje.

Potem bez słowa skargi opiekowała się nim, kiedy pił ostro i do niczego się przez wiele dni nie nadawał, sprzątała jego brudną kawalerkę i robiła mu pranie. A jemu z tym wszystkim było wygodnie. Jeśli był z nią tak długo (o wiele dłużej niż wszyscy przed nim), to tylko dlatego, że był upośledzonym uczuciowo draniem, który od czasu do czasu potrzebuje konkretnej opieki i, biorąc wszystko inne pod uwagę, cały czas bezwarunkowej miłości.

Ramona kochała go i była szczęśliwa.

On też był szczęśliwy. Szczęśliwie i beztrosko żył sobie w aureoli modnego poety, uwielbianego przez młode panienki, wyrywające sobie w nocnych kawiarniach serwetki z nabazgranymi naprędce wersami (prawda była taka, że wcześniej te wersy wymyślał i uczył się ich na pamięć), mdlejące prawie na jego widok. No, takiego kultowego poety - zwykł się chełpić przed kim i gdzie się dało - już dawno nie było. Pozwalał się podziwiać, wielbić, dbając przy tym starannie o wykreowany tak ciężką pracą (no i co tu dużo mówić: talentem) wizerunek, nie tylko upijając się i awanturując po nocnych knajpach. Przede wszystkim bardzo starannie dbał o garderobę. Głównie o jej styl, bo o czystość od pewnego momentu dbała już tylko Ramona.

Wszystko ma swoje granice i nie chodzi tu o granice cierpliwości Ramony, bo ta akurat zdawała się nie mieć żadnych. Natomiast co niektórym bufonada Aureliana zaczęła działać na nerwy. Pierwsza nie wytrzymała znana z ostrego pióra krytyczka, burząc bez ceregieli z takim namaszczeniem wykreowany wizerunek uwielbianego poety w sobotnim dodatku kulturalnym poczytnego i prestiżowego dziennika.

Nie mam pojęcia, dziwiła się, skąd ten cały szum wokół poety Aureliana Kenta (a raczej Zygmunta Kalbarczyka),

bufona i aroganta, bo jakim trzeba być bufonem i arogantem, żeby w wierszu pod tytułem: „Pieprzone miasto” (nie, nawet nie zszokował jej tytuł, wszak nie od wczoraj zajmuje się poezją, siłą rzeczy więc i poetami), każąc pewnym instytucjom zrobić pewne mało przyjemne rzeczy, przywłaszczyć sobie tak bezczelnie Ginsbergowskie „Ameryko, wyjeb się swoją bombą atomową”. I o ile u Ginsberga można to nazwać czystą poezją, u „poety” Aureliana K. to czysty bełkot. Oczywiście można by ów nieszczęsny prawie cytat uznać za przypadek, gdyby nie to, że Aurelian K. Ginsberga (i nie tylko jego) już nieraz „cytował”.

Aurelian K. podszedł do sprawy z właściwą sobie nonszalancją - z Ginsberga nie miał zamiaru się tłumaczyć. Natomiast bardzo go zabolął ten Kalbarczyk. Co to, żeby poeta nie miał prawa przybrać sobie pseudonimu takiego, jaki mu się podoba, grzmiał, przypominając jednocześnie Ramonie o konieczności oddania jego ulubionego płaszcza do pralni. Nie on pierwszy i nie ostatni. No pewnie, jak się już nie ma czego czepić, to się czepia takich rzeczy.

Nie ma się czym przejmować, uspokajała go pięć razy Ramona, a wielbicielki, hojnie obdarowywane kawiarnianymi serwetkami, szybko zapominały o pospolitości prawdziwego imienia i nazwiska poety. Krytycy, w tym autorka „paszkwilu” zamieszczonego w sobotnim dodatku, nie zamierzali drażnić tematu. Ten temat nie był tego wart. Ale Aurelian K. wytłumaczył to sobie na swoją korzyść: „Ha! Poddali się”.

Życie poety wróciło na utarty tor. Może tylko trochę złagodniał. Już nie za każdym razem przypominał Ramonie, kiedy stała przy desce do prasowania: „Tylko mi dobrze wyprasuj koszulę”, a jeśli już, to za każdym razem dodawał: „kochanie”.

Warto było żyć.

- Pięknie jest - powiedziała więc Ramona koleżankom na powitanie.

Czego innego mogły się spodziewać.

Dzień był przepiękny. Ciepły, spokojny, bez wiatru: takie potrafią być tylko ostatnie dni sierpnia.

Jakie było to pierwsze spotkanie? Na pewno radosne i beztroskie, choć Magda była już matką dwóch córek: cztero - i dwuletniej. Ale do Magdy to pasowało. Kochała dzieci i marzyła o wielkiej rodzinie. Dla reszty w tamtym czasie mąż i dwie córki to już była wielka rodzina, ale Magda nie miała zamiaru na tym poprzestać. Zaokrągliła się odrobinę, choć zawsze miała trochę więcej ciała od innych, ale nie była gruba. Właściwie nic się nie zmieniła. Zawsze, a zwłaszcza teraz, była to przede wszystkim roztaczająca wokół siebie aureę miłości, radości i bezpieczeństwa mamusia. Chociaż klęła jak dawniej.

- Mój Grześ - piała - też jest zdania, że duża rodzina to skarb. Na dwójce się nie skończy, o nie! Troje to też za mało... Wyobrażacie mnie sobie za kilka, kilkanaście lat w wigilijny wieczór przy stole...

Wyobrażały sobie. Nawet Kamila, której wyobraźnia zaczynała się na sprawach związanych z dobrym smakiem i elegancją i na nich się kończyła. Owszem, jej też zdarzało się pomyśleć o rodzinie, ale na razie nie ma pośpiechu. Najważniejsze, że ma już konkretny plan: przede wszystkim określony standard życia, mąż o ustalonych poglądach i sposobie na życie, twardo stąpający po ziemi, pewną ścieżką, żadne tam boki. Właściwie to nawet już dokładnie wie, jaki ma być. Może nawet już jest, chociaż, rzecz jasna, on jeszcze nic o tym nie wie. Dziecko? Jedno. Ono wszystko otrzyma (i nie ma tu na myśli, oczywiście, wyłącznie spraw materialnych) i wszystkie oczekiwania spełni. Po co się rozdrabniać.

Ani Magda nie skrzywiła się na deklaracje Kamili, ani Kamila na „osiągnięcia” Magdy. Zawsze tolerowały różnice w swych charakterach, poglądach i zachowaniach - chociaż potrafiły się o nie godzinami spierać - nie było powodu, by nie robiły tego nadal.

Wciąż były wybrankami losu - zauważyły koło wieczora - a wybrankom losu wszystko musi się udać. Na potwierdzenie tego Julia przedstawiła wysokiego przystojniaka, który przyjechał wieczorem (ale tylko na chwałę, bo nie chce przeszkadzać), budzącego całą swą aparycją, zachowaniem i czymś jeszcze, czego nie udało im się określić, niesamowite zaufanie.

- To mój przyszły mąż - powiedziała Julia, czerwieniąc się nie wiadomo czemu.

Tak właśnie wyobrażały sobie męża Julii. Skończyli razem Akademię Rolniczą (były pewne, że to pierwszy i ostatni chłopak Julii na studiach), we wrześniu ślub, potem rodzice jadą na jakiś czas do Szwecji do brata, a oni zamierzają zająć się gospodarstwem.

- Chcesz tu zostać? - Kamile udało się czymś jednak zaskoczyć.

- Nigdy nie brałam pod uwagę innej opcji - odpowiedziała Julia z takim przekonaniem, że nie było właściwie sensu o nic więcej pytać.

Znały oczywiście jej miłość i przywiązanie do ziemi, ale widok dwudziestopięcioletniej Julii zapierał dech w piersiach. Rzadko, nawet w wielkim mieście, widziało się tak naturalnie atrakcyjną dziewczynę. Biorąc pod uwagę poziom jej rozsądku, układności i mądrości życiowej, mogła szukać swojego miejsca na ziemi gdziekolwiek. Tylko że jej miejsce na ziemi było tu - nawet jej do głowy nie przyszło, żeby go gdziekolwiek szukać. Z drugiej strony zdziwiłyby się również, gdyby Julia czegoś takiego w ogóle próbowała.

Julia była sprzecznością samą w sobie, powinny o tym wiedzieć i przyzwyczać się przez tyle lat, że nie robi nic, co byłoby niezgodne z jej poukładanym sumieniem.

Przyszły mąż Julii wyniósł się zaraz dyskretnie, pozostawiając je samym sobie, z krzątającym się przy gospodarstwie Borysem w tle. Ale Borys, odkąd pamiętały, zawsze kręcił się gdzieś w tle, nawet go się nie dostrzegało. Tylko Magda zauważyła w pewnym momencie:

- Patrzcie, jak to wyrósł ten Borys. Powiem, że nawet, nawet... Niczego sobie mężczyzna.

- Mężczyzna? - Kamila odwróciła się, próbując namierzyć go gdzieś wzrokiem. - Przecież to szczeniak.

Borys miał dwadzieścia jeden lat i był potężnej budowy. Kilkudniowy zarost na nieodgadnionej twarzy dodawał mu kilka lat. Teraz. Ale po maturze, kiedy widziały go po raz ostatni, był rzeczywiście szesnastoletnim - wprawdzie wyrosniętym, ale jednak - szczeniakiem.

Ramony, poza jej poetą, nie obchodził żaden osobnik płci męskiej na świecie. Julia skwitowała uwagę Magdy i chwilowe zainteresowanie Kamili milczeniem.

Zrobiły kolację i zasiadły z nią na rozległej werandzie, otoczonej z trzech stron wszelkiego rodzaju roślinnością. W pewnym momencie Julia wyszła z domu z tajemniczą miną, trzymając coś za sobą.

- Pamiętacie wino, którym upiliśmy się pierwszy raz w życiu?

- Pamiętam, że to było w drugiej klasie. Na jakiejś wycieczce. - Magda parsknęła śmiechem.

- Ale było pięknie - rozmarzyła się dalekim wspomnieniem Ramona. - Smakowało nam nieziemsko. Zdaje się, że Kamila podwędziła je rodzicom. Kamila przytaknęła.

- Przywieźli je z Francji. Trochę mi się wtedy oberwało. - Uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Ale warto było.

Julia wyciągnęła zza pleców butelkę wina.

- Takie samo.

Uwierzyły na słowo. Żadna nie pamiętała marki. Zdziwiły się, że Julia pamięta takie rzeczy.

- Zostawiłam butelkę na pamiątkę - wyjaśniła. - Niedawno znalazłam ją przy porządkach w piwnicy i kupiłam taką samą.

Wszystko jasne - Julia zawsze zbierała dziwaczne pamiątki. Takie na przykład jak bilety z kina z pierwszej randki z Wiktorem. Wszystko, co wiązało się z pierwszym razem czegoś, miało zawsze dla Julii specjalne znaczenie i z takich właśnie sytuacji, zdarzeń skrupulatnie gromadziła pamiątki. Przed maturą - Ramona przypomniawszy sobie nagle, pijąc wino, którym się pierwszy raz delikatnie upiły - żartowały z Julii, co też zachowa z pierwszego razu z Wiktorem.

- Na pewno nie to, co myślicie - zezłościła się Julia.

Ale pierwszego razu nie było. Nie było, mimo że Julia przygotowywała się do tego przez długi czas. Od pierwszej klasy chodziła z Wiktorem i mimo że adorowało ją na każdym kroku pół miasteczka i okolicznych miścin, zawsze powtarzała, że chodzi z Wiktorem i nie widzi powodu, by przeżyć swój pierwszy raz z kimś innym. Nie była pod tym względem pruderyjna, nie gorszyło jej, że koleżanki miały te sprawy dawno za sobą, kiedy więc dziwiły się, czemu do tej pory nie wylądowała z najprzystojniejszym chłopakiem ze szkoły w łóżku, wzruszała ramionami.

- Możecie sobie wyobrazić, że chciałabym wyjść za swojego chłopaka za mąż?

- Możemy - przytakiwały zgodnie.

- No to chyba właśnie dlatego.

- Nie wierzysz mi? - zapytała Kamila.

- Nie dał mi nigdy powodu.

- No więc dlaczego?

Potem, w dniu rozdania matur, w chwilę po tym, jak nakryły go z prymuską i chlubą liceum, Marzanną M., Julia wydusiła z siebie:

- To chyba była intuicja.

Ramona, patrząc na plecy oddalającego się do samochodu przyszłego męża Julii, pomyślała, że Wiktor nie dorastał mu do pięt. Nigdy nie lubiła upajających się swą urodą mężczyzn. Wiktor pod tym względem był mistrzem. Zawsze z głupawym uśmiechem na ustach, otoczony bandą głupawych i zadufanych w sobie kumpli; przyprawiał ją o mdłości. Zawsze miał na boku pełno panienek. Wszystkie o tym wiedziały. Wszystkie oprócz Julii. Do każdej z nich się dostawiał. Próbowaly wiele razy otworzyć oczy Julii na pewne sprawy, ale ona wierzyła w jego miłość. Nie wierzyła natomiast w to, że można kochać i zdradzać. W głowie jej się to nie mieściło. Wiktor nie kochał Julii, bo nie był do miłości zdolny. Chodził z nią, bo była najładniejszą dziewczyną w szkole. Najładniejsza dziewczyna musiała należeć do niego.

W dwa dni po tym zdarzeniu podszedł do niej na ulicy jakby nigdy nic i próbował objąć. Julia plunęła mu w twarz. Wtedy - widziały to wszystko z tarasu cukierni - jakiś diabeł w niego wstąpił. Wściekł się. Gdyby nie Rysiek Jakimowski, który jak zwykle plątał się gdzieś w pobliżu, chybaby ją zabił. Jak śmiała plunąć w twarz jemu, Wiktorowi Tańskiemu! Co ona sobie wyobraża?! Za kogo się ma?! Jakimowski siłą oderwał go od Julii. Julia, wycierając krwawiącą wargę, splunęła na chodnik.

W pewnym stopniu były wdzięczne Marzannie M. za to, że otworzyła Julii oczy, chociaż były w wielkim szoku, Julia też, że to właśnie Marzanna M., erudytką, laureatką wszystkich możliwych olimpiad z fizyki, biologii i chemii, Marzanna, o której dyrektor liceum mówił z dumą, że nie było

jeszcze w N. tak chłonnego umysłu i chyba już nie będzie. Wszystkie uczelnie stały przed nią otworem. Marzanna nie wybrała żadnej. Zaraz po tym fakcie zniknęła gdzieś tajemniczo. Ramona, która jako jedyna z paczki została po maturze przez jakiś czas w N., dowiedziała się skądś, że przez jakiś czas przebywała w szpitalu (nie ma pojęcia w jakim i dlaczego), potem chyba wyjechała do Chicago do wujka. Słyszały wiele razy, jak mówiła, że wujek namawia ją na studia w Stanach. Pomyślały, że po prostu się zgodziła. Od tamtej pory nie miały żadnej wiadomości o Marzannie M. Wiktor poszedł na medycynę. Nikt nie wyobrażał sobie, że może być inaczej.

- Nie wiadomo dlaczego - powiedziała kiedyś przy okazji jakiegoś spotkania Ramona do Gabrieli. - Przecież to był w sumie głąb.

Podczas tego pierwszego spotkania Ramona miała wiele razy ochotę zapytać, czy ten głąb nadal studiuje medycynę, ale musiałyby o to zapytać Julię, bo ona jako jedyna, która wróciła do N., mogła mieć na ten temat jakieś wiadomości, a tego wołała uniknąć.

Nie było sensu psuć atmosfery tak błahymi tematami. Wieczór był piękny, a dziewczyny szczęśliwe. Znowu, jak pięć lat temu, świat stał przed nimi otworem, zaczynały kolejny etap, który nie mógł być gorszy. Mógł być tylko lepszy. Dotąd miały swoje plany, marzenia. Teraz zaczynały je spełniać i samo to było już piękne.

- Ciekawe - odezwała się w pewnej chwili Ramona - dokąd nas zaprowadzi życie...

Nie podjęły tematu, słusznie i jednogłośnie uznając tę ciekawość Ramony za do głębi retoryczną. Popatrzyły tylko przed siebie, w przyjazną, letnią ciemność, z której w pewnej chwili wyłonił się Borys i powiedział, że on już zrobił wszystko, co miał do zrobienia, i jeśli Julia ma jakieś

życzenie, to niech mówi, bo jutro go nie ma. Wtedy Julia, beztrąsko wzruszając ramionami, odparła, że to może i lepiej. Wstaną rano, albo koło południa, nie ma nic pilnego. Unikając ponurego wzroku Borysa, zaczęła trąkotać - jak nie Julia - że pojutrze zastanowią się, czy wziąć się najpierw za kopanie nowego stawu czy za ogrodzenie pod stadninę, wtedy on uciał nagle to trąkotanie krótkim:

- Wyjeżdżam.

Wstała bez namysłu, odeszli kilka kroków w stronę bramy, a dziewczyny, chcąc nie chcąc, patrzyły w ich stronę i widziały, jak ręka Julii powędrowała nagle w stronę twarzy Borysa, a on w ostatniej chwili chwycił ją i przytrzymał mocno, nie pozwalając się uderzyć ani przez jakieś kilka sekund zrobić żadnego innego ruchu Julii. Wyrwała się w końcu i wróciła wściekła, a on tak samo wściekły odszedł w ciemność.

- Gówniarz! - rzuciła Julia, siadając przy stoliku. I krzyknęła w jego stronę: - Pakuj się i zjeżdżaj!

Potem wypła jednym haustem zawartość kieliszka i wytłumaczyła się przed koleżankami:

- Za bardzo chce gówniarz rządzić.

Nie skomentowały. Złość w głosie Julii wydała się trochę dziwna - zawsze traktowała Borysa z wypraną z wszelkich uczuć rezerwą.

Ramona tylko cztery razy próbowała się tego wieczora dodzwonić do swego poety i za każdym razem z wypiekami na twarzy wracała do stolika na tarasie; miał wybrać wiersze do nowego tomiku, nawet się ucieszył, że wyjeżdża, będzie miał spokój.

- Jak on ma na imię? - spytała za czwartym razem Julia.

- Aurelian - Ramona na to, dodając z dumą: - Jesteśmy ze sobą pół roku.

Była pewna, że to bardzo zdziwi koleżanki, dobrze pamiętała ich docinki na temat jej kolejnej, zawsze wielkiej miłości, a zwłaszcza to dosadne, wypowiedziane kiedyś bez ogródek przez Magdę: „Przecież ty nawet nie jesteś idiotką. Dlaczego oni cię traktują tak, jakbyś nią była?”. Ale je zdziwiło co innego.

- Aurelian?! - Kamila zrobiła wielkie oczy.

- Aurelian Kent - dodała niepewnie Ramona, sądząc, że to zrobi lepsze wrażenie.

Oczy Kamili ani na chwilę nie zrobiły się mniejsze. Magda zawsze wszystko potrafiła zwięźle wytłumaczyć.

- Wszyscy w jej rodzinie mają porąbane imiona. Ramona, Lukrecja...

- Mama miała na imię Irmina. Nie mów, że to znowu jakaś wielka ekstrawagancja.

- A ojciec?

- Hiacynt - wyrzuciła jednym tchem Ramona. - No i co z tego! Chcesz mi wmówić, że wybrałam sobie chłopaka ze względu na imię?

- Nie... - Magda zrobiła niewinną minę, po czym dodała bezlitośnie: - Ale coś w tym jest.

Popatrzyły na siebie i parsknęły śmiechem. Ramona roześmiała się pierwsza.

Potem Julia zaprowadziła je nad rzekę, dalej stawy, pokazała im swoje włości. Rodzice wykupili od sąsiadów kilka hektarów łąk, o tam, dostaną je z Piotrem w prezencie ślubnym. Mają zamiar założyć stadninę. Piotr ma wielkie plany.

- Na razie - tłumaczyła Julia - są problemy z wąskim paskiem przebiegającym prawie pośrodku. Należy do starego kawalera, takiego tam moczymordy, który i tak już dawno nie robi nic na ziemi.

- Czemu nie chce sprzedać? - zapytała z grzeczności Kamila, a Ramona i Magda udawały, że też są tym zainteresowane. Wiedziały, że jeśli Julia zacznie mówić o ziemi, tak szybko nie skończy.

- Tata widzi w tym robotę Jakimowskiego, z którym teraz już graniczymy. Zdaje się, że miał podobne plany, teraz się wścieka, że ktoś go ubiegł, i poi tamtego od rana do nocy, żeby nam pewne sprawy zablokować.

Dziewczynom wymienione nazwisko natychmiast skojarzyło się z najlepszym kumplem Wiktora, Ryszardem.

- To jego ojciec. Obaj tak samo narwani.

Ryszarda Jakimowskiego spotkały następnego dnia pod kościołem. Zajechał luksusowym jak na tamte czasy samochodem, rozejrzał się, czy wszyscy widzą, z czego wysiada, a kiedy je zobaczył, parsknął krótkim, złym śmiechem.

- Papużki nierozłączki wróciły do klatki? - zagadał, mijając się z nimi na wielkich betonowych schodach.

Nie skomentowały, przyjechały do kościoła. Potem też, spacerując po mieście, nawet o nim nie wspomniały. Wspominały wszystko, co wiązało się z miejscami, które odwiedzały. Na koniec usiadły w rynku na tarasie małej kawiarenki, w której Magda w liceum topiła większą część swojego kieszonkowego, i wypily kawę.

W pewnym momencie Ramona bardzo zatęskniła za swoim niepokornym poetą i pomyślała, że pora wracać.

*

Po południu wyjechał z N. Zamierzał porozmawiać jeszcze z właścicielem sklepu za stacją benzynową, ale uznał, że nie da rady. Musiał się wreszcie wyspać. Po drodze jednak nie mógł się powstrzymać - zjechał kilka kilometrów z trasy i zajechał pod dom Julii.

Borys Berg czyścił na podwórku młodą, ładną klacz. Jakby nigdy nic. Wszystko dookoła było w idealnym porządku, stajnie pootwierane na oścież, wokół nich najmniejszej słomki, nic, co by świadczyło, że hoduje się tu całe stado koni.

Leski obszedł dom dookoła. Salon był także otwarty na oścież, jak stajnie, firanki tańczyły delikatnie z wiatrem. Wszedł do środka; niesamowity ład i świeżość uderzały od samego wejścia. Tak samo było w ogrodzie i na werandzie. Nigdzie najmniejszego śladu pogotowia, policji, ekipy techników. Wszystko wyglądało tak, jakby Julia właśnie przygotowała dom na przyjęcie gości i teraz, siedząc na werandzie, piła wino i czekała na nich. Wszystko wyglądało tak, jakby nic tu się nie zdarzyło.

- Szybko pan tu posprzątał - powiedział do Borysa. - Szybko i dokładnie.

Nie dojrzał na jego twarzy żadnej reakcji, więc dodał z lekką złością:

- Coś z tym będziemy musieli chyba zrobić.
- Będę czekał - odpowiedział Borys.
- Pan w ogóle - wpadł mu w słowo Leski - sprawia wrażenie człowieka, który na coś czeka.
- Mam to skomentować? - burknął Borys, puszczając klacz wolno.

Oddaliła się bez pośpiechu w stronę stajni. Patrzył za nią chwilę, po czym zbliżył się do Leskiego i spojrzał mu otwarcie w oczy.

- Jeszcze sporo pracy przede mną - powiedział. - Jeśli ma pan jakieś konkretne pytanie...

- W zasadzie jedno. Wiem, że całe pana życie związane jest z tym miejscem. Poza krótkim okresem... Początek lat dziewięćdziesiątych, dziewięćdziesiąt dwa - dziewięćdziesiąt cztery, o ile się nie mylę.

- Chyba się pan nie myli - odparł Borys po krótkim namyśle.

- Mam informację, że był pan w Jugosławii.

- Wpadłem tam na chwilę.

- Po co?

- Początek lat pięćdziesiątych... Jak pan myśli? - I co?

Borys wzruszył ramionami.

- Chyba mi się nie spodobało.

- Dali broń i kazali strzelać? Czego pan się spodziewał?

- Z bliska to trochę inaczej wyglądało.

- Czego pan się spodziewał?

Borys nie odpowiedział. Patrzył Leskiemu prosto w oczy. Otwarcie, jakby nie miał nic do ukrycia.

- Co pana w ogóle skłoniło - zaczął Leski mniej konkretnym tonem - do wyjazdu stąd?

Borys odpowiedział bez namysłu:

- To samo, co dwa lata później kazało tu wrócić.

- Czyli?

- Mam robotę w stajni - powiedział Borys.

- Prosta, męska odpowiedź, panie Berg. Julia Dunin?

Borys odszedł bez słowa.

- Albo pan ją bardzo kocha - powiedział za nim Leski - albo to pan do niej strzelał.

*

Ramona pierwsza zadzwoniła do domu. Magda z Kamilą powiedziały, że jeszcze nie pora, nikt nie ma prawa się niepokoić - zwykle wracały od Julii dopiero wieczorem.

- Tato - powiedziała Ramona, starając się bardzo, by jej głos zabrzmiał naturalnie, ale chyba nie zabrzmiał, bo ojciec od razu zapytał, co się stało. - Z Julią jest źle... Jest w szpitalu. Musimy poczekać, aż się obudzi. Dajesz sobie radę?

Odpowiedział, żeby się o nic nie martwiła, jeszcze nie jest skończonym kaleką, potrafi wstać dwa razy na dzień i dojść do łazienki, a to wystarczy. Są zakupy na telefon, a pani Ela z góry dokucza mu nadmierną troskliwością, wchodząc dziesięć razy na dzień jak do siebie i pytając, czy mu nie zrobić kanapki. Albo herbaty. Jak zechce mu poprawić łóżko, to jej po prostu powie coś przykrego. Ramona pobłogosławiła w duchu panią Elę.

Kiedy zaczął wypytywać, co jest z Julią złego, odpowiedziała, że zdarzył jej się mały wypadek, są problemy, bo nie może dojść do siebie po zwykłej, rutynowej operacji, dlatego muszą poczekać.

- Nie kłam! - przerwał jej ojciec. - Nigdy w życiu nie kłamałaś.

- Ktoś nas próbował zabić, tato - wyrzuciła jednym tchem, w tej samej chwili nie wierząc, że to zrobiła.

Przez chwilę panowała w słuchawce cisza, długa i bolesna, a potem ojciec zapytał, czy jest bezpieczna. Pokiwała głową, a ojciec, jakby to widział, poprosił, aby uważała na siebie. O niego niech się nie martwi.

Ramona miała wielką ochotę się rozpłakać. Głośno, najgłośniej jak potrafiła. W tej chwili weszła do pokoju Kamila, z tobołami, więc zrezygnowała z płaczu.

- Dzwoniłam do ojca - powiedziała szybko.

- To dobrze - Kamila na to. - Przywiozłam nasze rzeczy od Julii.

- Był Borys?

- Był.

- Mówił coś? Dopytywał?

- Ja mu powiedziałam. Wiesz, jaki jest Borys.

- Wiem.

- Borys jest stuprocentowym facetem - wtrąciła Magda, wychodząca z mokrą głową z łazienki. - Podchodzi do tego inaczej niż my.

Kamila skrzywiła się.

- Odniosłam wrażenie, że w ogóle do tego nie podchodzi. Jakby nic się nie stało.

- Jeszcze raz ci powtarzam. - Magda upierała się przy swoim. - On inaczej okazuje uczucia.

- Uczucia?! - Kamila potrząsnęła głową, zamknęła i zaraz szeroko otworzyła oczy. - Jakie uczucia? Gdybym nie miała pewnej wiedzy, pomyślałabym, że to obcy człowiek. Obcy człowiek w domu Julii...

- Nie przyszło ci do głowy, że jest przerażony? - przerwała Magda z irytacją, ale zaraz dodała spokojniej: - Prawie tak jak my.

Kamila położyła ręce na biodrach, stanęła naprzeciw Magdy, rozczesującej włosy.

- Ach tak, więc jednym z przerażenia odejmuje mowę, innych natomiast skłania do wygłaszania pseudopsychologicznych wywodów...

- Zamknij się! - Podniesiony głos Magdy w jednej chwili ostudził emocje Kamili.

Usiadła na brzegu łóżka i zakładając nogę na nogę, zaczęła z uwagą oglądać swoje nieskazitelnie czyste i eleganckie pantofle. Ramona i Magda wymieniły za jej plecami uśmiechy. Po chwili Kamila powiedziała bardzo cicho:

- Masz rację.

- Z czym?

- Z tym przerażeniem.

- Może trochę przesadziłam...

- Nie. Masz rację. Ja jestem przerażona. Magda zrobiła lekceważący gest dłonią.

- Tak tylko, chciałam...

Kamila nie pozwoliła sobie przerwać:

- Jestem przerażona! - powtórzyła. - Tak bardzo, że... - wyjęła papierosa z paczki i zaczęła się rozglądać wokół - że po drodze nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko... tylko...

Ramona znalazła zapalniczkę. Przypaliła Kamili papierosa.

- Tylko o czym? - spytała.

- O tym, że ten strzał... że akurat wtedy... - zawahała się na moment, po chwili wyrzuciła jednym tchem: - Że to nasza przeszłość.

- Dlaczego? - zdziwiła się Ramona. Kamila wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Takie wrażenie... To jedno nas łączy: przeszłość, której co pięć lat nadajemy jakiś dalszy ciąg. Wszyscy o tym wiedzą. Ktoś coś do nas ma... Komuś coś zrobiliśmy albo możemy zrobić... Komu?

- Komu mogliśmy coś zrobić? - zdziwiła się Ramona.

Kamila spojrzała na nią ze zniecierpliwieniem.

- Nie wiem! - warknęła. - Nie mam pojęcia. Może tylko któraś z nas, może wszystkie razem, może zupełnie nieświadomie... Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem, co myśleć. Nie mam pojęcia, jak mamy się dalej zachowywać.

Magda zaczęła chaotycznie przeszukiwać swoją torebkę. Widać było, że nie ma najmniejszego zamiaru niczego konkretnego tam znaleźć. Rzeczywiście: po chwili wyjęła z niej szminkę do ust, obejrzała ją i schowała z powrotem.

- A jak mamy się zachowywać? Przecież nie zaczniemy prowadzić swojego prywatnego śledztwa, bo nawet nie wiedziałybyśmy, od czego zacząć.

- Nie - zgodziła się Kamila - ale musimy się nad pewnymi sprawami zastanowić.

- Ja się cały czas zastanawiam - powiedziała Magda.

- Obyśmy tylko nie zabrnęły w ślepią uliczkę - odezwała się niespodziewanie przytomnym głosem Ramona. - W jedną czy drugą.

- A gdzie my teraz jesteśmy? - wpadła jej w słowo Magda. Ramona przez chwilę patrzyła w okno, jakby za nim usiłowała znaleźć odpowiedź.

- Czekajmy na Julię - zdecydowała. - To jedno chyba możemy bez żadnego zastanawiania się zrobić. Nie wiem, czy wszystko inne w tej sytuacji ma jakikolwiek sens.

Kamila podłożyła sobie pod plecy poduszkę, oparła się o ścianę i zdejmując ze stóp nieskazitelnie czyste pantofle, powiedziała, że zawsze starała się, by wszystko w jej życiu działało się według jakiegoś sensownego planu. Dobrze byłoby, gdyby teraz też spróbowały...

- Kamila - przerwała jej Magda. - Daj spokój. Znalazłyśmy się w samym centrum wielkiego chaosu. Bez względu na to, jak bardzo się starałaś. Dobrze o tym wiesz.

Ręka Kamili z papierosem zamarła na wysokości prawej skroni. Rzeczywiście, starała się.

KAMILA 1997

Kamila zawsze kazała na siebie czekać. Nie wyszła z domu, jeśli wszystko na niej nie było dopięte na ostatni guzik. Każda część ubrania musiała idealnie pasować do siebie. Bluzka do spódnicy, żakiet do sukienki... Do tego wszystkiego musiały pasować buty. No i makijaż. Ubrana, gotowa do wyjścia, nagle na pięcie lub pod kolanem dostrzegała w rajstopach leciutkie zaciągnięcie. Tak leciutkie, że nikt by go nie dostrzegł. Wtedy ubierała się od początku, bo nie znalazła drugich takich w odpowiednim odcieniu.

Tak było, odkąd się znały. Pozostałe dziewczyny najpierw to bawiło. Potem były wściekłe. Wściekały się, a ona ze stoickim spokojem przeglądała szafy i szuflady z butami. Sama ich przepastna zawartość przyprawiała je o mdłości.

Kiedy Kamila zaczynała to wszystko na sobie mierzyć, dostawały szału.

Raz chciały ją zabić.

Było to wtedy, kiedy spóźniła się na pociąg, którym miały odjechać na swe pierwsze wspólne, wysnione od miesięcy i obgadane wakacje. Można było do niego wsiąść tylko z miejscówką.

Kamila spóźniła się dwadzieścia dwie minuty. Perspektywa sześćsetkilometrowej jazdy następnym pociągiem bez możliwości wywalczenia chociażby jednego wolnego miejsca (sezon był w pełni) nie bardzo im się uśmiechała, więc w ostatniej chwili postanowiły wskoczyć do ruszającego już z peronu pociągu, dając tym samym zasłużoną nauczkę Kamili. Wtedy któraś przypomniała sobie, że miejscówki ma właśnie Kamila.

- Zabiję ją - zadeklarowała Julia.

- A ja zedrę z niej skórę - dorzuciła Magda. - Zedrę z niej skórę i zrobię sobie z tej skóry buty. Eleganckie.

- Może jeszcze starczy na torebkę... - Julia opadła na wypchaną do granic możliwości torbę i rozejrzała się po peronie. - Jak mogła nam to zrobić?

- Mogło być tak pięknie - rozmarzyła się Ramona, która nawet w trudnych sytuacjach nie traciła nic a nic na subtelności.

Cały tłum odjechał pociągiem, do którego nie wsiadły, i zrobiło się pusto. Wiedziały, że lada moment zaczną ściągać kolejny.

Kiedy zobaczyły ją, jak wchodzi na peron w ślicznych sandałkach na lekkim obcasiku, idealnie dobranych do koloru przewiewnej letniej spódniczki, z gustowną torbą przerzuconą przez ramię, zamilkły. Magda, która lubiła dosadne wyrażenia, pierwsza odzyskała mowę.

- Powiedz mi, do ciężkiej cholery, ile razy tym razem się przebierałaś?

- Ani razu! - zawołała triumfalnie Kamila. - Wyobraźcie sobie! Tylko...

- Tylko co?!

- Nie mogłam znaleźć torby podróżnej.

- Masz, cholera, dziesięć toreb podróżnych. - Magdzie wyraźnie coś nie pasowało.

Kamili również. Z bezgranicznym zdumieniem odpowiedziała:

- No ale tylko tę jedną w odcieniu zakiecika.

Kiedy do granic możliwości rozszerzyły im się gałki oczne, dodała tonem wyjaśnienia:

- W przeciwnym wypadku musiałabym się przebrać.

Po czymś takim żadna nie znalazła słów, które mogłyby wyrazić cokolwiek. Nawet Magda.

Wtedy jeszcze nie chciały jej zabić. W milczeniu wsiadły do następnego pociągu. Tłok był taki, że w wąziutkim przejściu nawet nie stały, lecz wisiały między podłogą a sufitem z twarzami przyciśniętymi do szyby. Kiedy jakiś starszy pan z wnuczkiem wychylił się z przedziału i sadzając wnuczka na kolanach, zaprosił Kamilę na wolne miejsce, bo co taka elegancka panienska będzie się gmiotła z "jakimiś tam", ta z gracją przedarła się przez tłum i, siadając, wyszukanym gestem poprawiła spódnice.

Wtedy chciały ją zabić. Ale im nigdy w życiu nie udało się z taką gracją przedrzeć przez coraz bardziej sfrustrowany tłum, a nie chciały wyjść na zwykłe chamki. Magda, której chudy łokieć Ramony wbijał się w bok, zdołała tylko wydusić:

- Mogła przecież zdjąć ten pieprzony zakiecik.

Oprócz notorycznych spóźnień życie Kamili przebiegało według ściśle określonego planu.

Przyszła we wrześniu do szkoły i oznajmiła:

- W tym roku będę mieć średnią cztery i pół. I miała.

Lub:

- Zimą przybyło mi cztery kilogramy. Do kwietnia muszę to zrzucić.

Zrzuciła. Ani deka mniej, ani więcej. Albo:

- W przyszłym miesiącu pozbywam się dziewictwa.

- Dlaczego w przyszłym? - wpadła któraś w słowo.

- Bo w tym maluję pokój.

Nieraz zdawało im się, że te spóźnienia też jakimś niepojętym cudem mieszczą się w ramach jej życiowych planów, bo jak inaczej wytłumaczyć, że tylko innym - nigdy jej - utrudniały egzystencję, wywracając wiele razy wszystko do góry nogami. Pewnym krokiem stąpała po ziemi, przez życie. Kamila miała zawsze to, co chciała, czyli swoje.

Dziesięć lat po maturze, w 1997 roku, to była pięcioletnia córka i mąż robiący karierę w lokalnych władzach. Wybrała go sobie starannie spośród innych, wpięrcw testując na wszelkie możliwe, ale tylko sobie znane, sposoby. Sprawdził się nawet w roli ojca. Potem wiele razy tłumaczyła koleżankom, że to wyszło tak tylko, przy okazji.

- Nie mów tylko - przerywała jej za każdym razem Magda - że spontanicznie. Bo i tak ci nikt nie uwierzy.

Na pierwszym od matury spotkaniu była już w piątym miesiącu. Wtedy nie przyznała się, więc kiedy w grudniu tego samego roku wysłała im zawiadomienie o narodzinach pięknej i zdrowej córki, a zaraz potem zaproszenie na kameralną uroczystość weselną, zareagowały podobnie. Ogólnie rzecz ujmując, zwymyślały ją listownie lub telefonicznie. Dobrze - pisała Magda - że nie zawiadamiasz nas o istnieniu córki, zapraszając na jej pierwszą komunię. Ty, która zawsze informowałaś nas o najdrobniejszej pierdole, jaką zamierzałaś zrobić, przynajmniej z miesięcznym wyprzedzeniem. Czy tego chcieliśmy czy nie... Ale przyjechały wszystkie: Julia z

Piotrem, Ramona z Aurelianem (tak, tak, to ciągle ten sam Aurelian), Magda ze swoimi córkami. Mąż od rana do nocy na uczelni, musiał odpocząć, tłumaczyła zawiedzionym koleżankom, bo miały nadzieję go poznać; ktoś musi pracować na rodzinę.

Wtedy Magda miała już cztery córki, w tym najmłodsze bliźniaczki, Kamila natomiast nadal jedną córkę i nie zamierzała mieć więcej. Od samego początku w życiu jej małej Izabeli wszystko było zaplanowane: wtedy pójdzie do przedszkola, do tej a nie innej szkoły, tak i tak będzie się ubierać, dobrze uczyć, czytać dobre książki i tak dalej. Jej córka budziła się i zasypiała codziennie z niezmiennym przekonaniem, że jutro obudzi się i zaśnie tak samo.

Wspominając swoje dzieciństwo w domu, w którym panował wieczny chaos i bałagan, Kamila niezmiennie dochodziła do wniosku, że jej córka ma szczęście.

Rodzice Kamili, zawodowi tancerze, dla których istniał tylko i wyłącznie taniec, pewnymi drobiazgami w ogóle się nie przejmowali. Tylko że dla Kamili to nie były drobiazgi. Od początku swego istnienia, odkąd pamięta, sama wszelkimi siłami starała się zaprowadzić w swoim życiu jaki taki porządek. Na początku były to starannie przygotowane i ułożone ubrania na następny dzień, starannie odrobione lekcje z tygodniowym wyprzedzeniem, jedna i ta sama godzina, o której codziennie kładła się spać i natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki zasypiała. W jej życiu od początku panował idealny porządek i nie zdołały go zburzyć nawet nieprzemyślane i nieskoordynowane z niczym zachowania rodziców. Oni po prostu wpadali do domu, rzucali jedne walizki, cmok cmok, jak się czujesz, kochanie, brali drugie, cmok cmok, zaraz tu przyjdzie ciocia do ciebie, cmok, musimy lecieć - i lecieli. I nie rozumiała zachwyty koleżanek: Julii, Magdy i Ramony, które w pierwszej klasie

liceum wpadały do niej na weekendy. Ale ma fajnie! I taką śliczną, miłą mamę, i tata boski, i w ogóle takie luzy, żyć nie umierać. W drugiej klasie liceum Kamila sama zaproponowała rodzicom, że przeniesie się do ciotki do N., bo po co właściwie ciotka ma tu ciągle przyjeżdżać, jak ich wiecznie nie ma, i zostawiać swój dom na łasce losu. „Ależ ze mnie idiotka, kochanie - ucałowała ją z wdzięcznością (i czułością, nie ma co ukrywać) matka tancerka - że też sama wcześniej na to nie wpadłam. Ty jesteś taka mądra i rozsądna, że aż się nieraz boję”.

Kamila przeniosła się do ciotki i od tej pory jej życie nabrało ładu. Rodzice mniej więcej w tym okresie pojechali na jakiś turniej do Paryża i tak się tam roztańczyli, że zapomnieli z niego wrócić. Zostali w Paryżu na stałe. Odwiedzali N. raz, dwa razy w roku i zasypywali córkę nieskończoną ilością prezentów i czułości. Kamila znosiła to dzielnie i bez irytacji, bo wiedziała, że zaraz odjadą i w jej życiu znowu zapanuje porządek. Nie to, żeby ich nie kochała. Kochała i tęskniła, bo to byli jej rodzice.

Tak samo jak zaczęła kochać własnego męża z chwilą, gdy wyszła za niego za mąż. Bo to był jej mąż. Pewne sprawy dla Kamili rozumiały się same przez się i nie podlegały dyskusji.

Ciotka była trochę ospała, niezbyt lotna, a jej życiowe osiągnięcie to mała cieplarnia na tyłach domu, gdzie hodowała pelargonie do upiększania balkonów, a potem chryzantemy na Święto Zmarłych. Kamila, patrząc na jej powolne ruchy i brak organizacji we wszystkim, co nie dotyczyło hodowli kwiatów, nieraz się zastanawiała, jakim cudem opiekowała się nią, gdy była jeszcze bardzo małym dzieckiem, nie ugotowała we wrzątku z bielizną pościelową albo nie przypaliła żelazkiem, którym później tę bieliznę bardzo skrupulatnie, powoli prasowała. I za każdym razem dochodziła do wniosku, że to

ona opiekowała się ciotką, obserwując niezdarne ruchy i ostrzegając przed niebezpieczeństwem tego czy tamtego.

Kamila skończyła architekturę prawie jednocześnie z pogłębiającymi praktyczną wiedzę z tej dziedziny różnymi kursami związanymi głównie z dekorowaniem wnętrz. Jeszcze na studiach zarobiła pierwsze pieniądze, projektując bogatemu tatusiowi jednej ze swych koleżanek wystrój dużego domu za miastem. Tatuś koleżanki miał sporo bogatych znajomych, których często gościł w przestronnym nowym domu, więc kolejne zlecenia pozwalały Kamili utrzymać się na powierzchni. Z chwilą jednak, kiedy wyszła za mąż, tylko od czasu do czasu brała się za niewielkie projekty, całą resztę energii angażując w realizację wszystkich aspektów związanych ze skrupulatnie zaplanowaną przyszłością, w której to kariera męża, a nie jej, stała na pierwszym miejscu.

W swoim czasie wytłumaczyła mu, że skoro polityka, delikatnie mówiąc, go mierzi, niech spróbuje do czegoś dojść na szczeblu samorządowym. Przenieśli się do jego rodzinnego pięćdziesięcioletniego miasta, gdzie zaczął się w urzędzie miejskim i w najbliższych wyborach zamierzał startować na burmistrza. Nie było powodu przypuszczać, że nim nie zostanie - mąż Kamili miał pewne spojrzenie, określone poglądy i nieprawdopodobną umiejętność nawiązywania kontaktów i współpracy z innymi ludźmi. Poza doskonałym przygotowaniem administracyjnym, ma się rozumieć. Oprócz tego jego rodzina cieszyła się w mieście wielkim szacunkiem, a to już coś znaczyło.

Wizja spokojnego życia w spokojnym mieście u boku męża na solidnym stanowisku bardzo Kamili odpowiadała. Odtąd wszystko miało być pewne i przewidywalne. W jej życiu nie było miejsca na eksperymenty. Spontaniczność? Nie było takiego słowa w jej słowniku.

Wstawiała rano i przygotowywała mężowi solidne śniadanie. Kiedy jadł, przeglądała jego garderobę.

- Pamiętaj - mówiła każdego ranka - że twój ubiór jest twoją wizytówką. Tak na dzień dobry - dodawała - dla pierwszego wrażenia. Ale chyba wiesz, jak ważne jest pierwsze wrażenie.

- Wiem - przytakiwał zgodnie, aczkolwiek z pewną domieszką obojętności, przeżuając starannie każdy kawałek jedzenia. Wiedział już, odkąd został mężem Kamili, jak ważne jest staranne przeżuwanie jedzenia.

Kiedy solidnie ubrany i najedzony wychodził do pracy, zostawała sama z córką w domu, w którym zawsze wszystko było na bieżąco odkładane na swoje miejsce, tak że nigdy nie traciła czasu na walkę z jakimś nieokiełznanym bałaganem. Mogła go za to maksymalnie poświęcić córce, czuwając nad każdą minutą jej fizycznego i umysłowego rozwoju. W międzyczasie, niejako już dla odprężenia i tylko trochę z tęsknoty, realizowała swoje zawodowe talenty w skali, można tak powiedzieć, mikro, czyli na domowym gruncie. Dotąd przestawiała meble, upinała na najrozmaitsze sposoby zasłony, wyrzucała jedne dodatki, kupowała inne, zmieniała obicia, lampy i żyrandole, aż osiągnęła harmonię wszystkiego ze wszystkim. Wtedy nie było już czego zmieniać, więc przez jakiś czas z pewnym rozczarowaniem przyglądała się wszystkiemu naraz i wszystkiemu z osobna - czy naprawdę, naprawdę nie da się już nic zmienić? Potem ktoś z gości męża, rozglądając się z uznaniem dookoła, powiedział, że w tym domu wszystko pasuje do wszystkiego. Dodając jakby z niedowierzaniem, ale i podziwem: „Niesamowite!”. Uznała, że to wystarczający certyfikat jej dekoratorskich dokonań, poświęcając odtąd jeszcze więcej czasu mężowi i córce.

W sierpniu 1997 roku, jadąc na spotkanie z koleżankami, Kamila mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że wszystko,

cokolwiek sobie zaplanowała, właśnie jej się spełnia. I tak właśnie powiedziała. Przywiozła setki zdjęć córki, która jest cudowną, bystrą pięciolatką, a w przyszłości będzie piękną, mądrą i rozsądną dziewczyną, dla której nie ma rzeczy niemożliwych.

Mijały trzy lata od śmierci rodziców Julii. Nie były pewne, czy Julia doszła już do siebie, ale w pewnym momencie sama, jakby wyczuwając ich myśli, czy też dostrzegając niepewne spojrzenia, powiedziała, że czas jest najlepszym lekarzem. Jeśli wydaje nam się, że czegoś nie wytrzymamy, nie zniesiemy i nie otrząśniemy się już nigdy, mylimy się. Każdy ból maleje z upływem kolejnej godziny, kolejnego dnia, roku... W pewnym momencie stabilizuje się na poziomie, który jesteśmy w stanie znieść i żyć z nim. U niej tak właśnie się stało. Poza tym zawsze jest łatwiej, kiedy w takich momentach ktoś przy nas jest, ktoś za nas myśli i wykonuje pewne czynności, które sprawiają, że życie toczy się dalej.

Przy niej był oczywiście mąż. To on wtedy żył za nią. No i Borys, który wrócił nie wiadomo skąd i na pogrzebie, podczas którego chowano również jego ojca, stał nad grobem tak samo jak ona blady i niezdolny do jakichkolwiek ludzkich czynności, ale już wkrótce pozbierał się i przejął wszystkie obowiązki, które dotąd należały do jego ojca. Przychodził codziennie rano i ze swą kamienną twarzą, bez zbędnych słów, jak to Borys, brał się do roboty. Bez niego, oczywiście, nie poradziłiby sobie, bo ona nie była wtedy zdolna z czymkolwiek sobie radzić, a Piotr, aczkolwiek bardzo się starał, miewał i miewa dotąd pomysły, które nie wypalają, delikatnie mówiąc, robiąc więcej szkód niż pożytku. Jest niecierpliwy, co tu dużo mówić, czasem wręcz nieprzewidywalny. Jeśli czegoś się podejmuje, chciałby natychmiast mieć efekty, a tu tak się nie da. Ona o tym wie,

Borys o tym wie. Piotr nie ma tej wrodzonej czy też nabywanej krok po kroku od dzieciństwa wiedzy. Pracuje się, żeby mieć zyski, ale w tego rodzaju przedsięwzięciu trzeba się liczyć również ze stratami i być na nie przygotowanym. Jak teraz na przykład, kiedy lipcowa powódź tyle im zabrała. Puściły groble w kilku miejscach i połowę ryb szlag trafił, ale kto się spodziewał takiej powodzi. Robili z Borysem, co mogli, w strugach deszczu i po pas w wodzie, ale co można było zrobić. Piotr? Piotr finalizował, zdaje się już bardziej towarzysko, nową transakcję zakupu kilku rasowych klaczy do stadniny, nieprzemyślaną, jak się teraz wydaje, bo woda stała na łąkach przez miesiąc, więc drugi pokos szlag trafił i teraz to trzeba pomyśleć o sprzedaży większości koni, żeby te, co zostaną, mogły przetrwać zimę.

- No, ale nic! - Julia klasnęła w dłonie i gestem zaprosiła koleżanki do ogrodu. - To są normalne sprawy i myśmy do tego przywykli. Wszystko da się nadrobić.

Uwierzyły na słowo, chociaż w tamtym momencie każda z nich, nie po raz pierwszy zresztą, pomyślała, że Julia wybrała sobie naprawdę ciężki kawałek chleba, a przecież nie musiała, i po raz któryś już podziwiała ją za to, bo było za co podziwiać. Żeby zamknąć temat, Magda zapytała, bez udawanego zainteresowania zresztą, jak skończyła się sprawa z klanem Jakimowskich, i w tym momencie Julii wyraźnie poprawił się humor.

To rzeczywiście klan. Ryszard jest pazerny jak jego ojciec, a może i bardziej. Wykupił połowę ziemi w okolicy, same najładniejsze tereny ma się rozumieć, i teraz wszystko sprzedaje z ogromnym zyskiem na działki. Bogaci ludzie, którzy robią pieniądze w mieście, stawiają tu sobie naprawdę ładne domki. Te jej łąki ciągle mu stoją kością w gardle, bo przez nie miałby dostęp do rzeki. Marzył mu się ośrodek wypoczynkowy z hotelem, gdzie mógłby robić prawdziwą

kasę, bo ziemię, wiadomo, sprzedaje i to jest jednorazowy zysk. Ale sam sobie jest winien, pazerność nie popłaca.

Ten pijak, którego poił na umór i umacniał w uporze, żeby im nie sprzedawał łąki, którejś pięknej niedzieli po pijaku zsunął się z wysokiego brzegu do rzeki. Borys na szczęście był tego świadkiem i wyciągnął nieszczęśnika w ostatniej chwili. Śmierć chyba nieźle zajrzała mu w oczy, bo kiedy na niego przejrzał, powiedział, że więcej alkoholu do ust nie weźmie i więcej poić się jak jakaś świnia nie da. I już na drugi dzień podpisał akt sprzedaży, a Jakimowskiego wtedy szlag trafił. Zdaje się, że do tej pory nie może tego ścierpieć, ale to już jego sprawa.

- Dość tego - powiedziała Julia, przynosząc takie samo wino, które piły ostatnim razem i z którym miały swe pierwsze przykre doświadczenie w liceum. - Zejdźmy na inne tematy. Opowiadajcie co tam w wielkim świecie.

W wielkim świecie tak naprawdę żyła tylko Magda, ale dla Magdy akurat życie w wielkim mieście to nie był wyznacznik czegokolwiek. Co tam, machnęła ręką, ona uroku w stolicy nie widzi żadnego, chociaż już się przyzwyczaiła. Wszystko ją podwójnie kosztuje, a mając czwórkę dzieci, z kosztami niestety trzeba się liczyć. Mąż zrezygnował z pracy na uczelni, założył firmę transportową, żeby im na nic nie brakowało, ale prawie wcale go nie ma. W sumie to właśnie ze względu na jego etat na uczelni zostali w Warszawie i teraz właściwie mogliby przenieść się w jakieś spokojne, ładne miejsce, ale już chyba wrosli w ten tłum, ten ciągły ruch, dziewczynki mają wszystko pod nosem: i szkoły, i sklepy, i dostęp do każdej placówki doksztalczącej. To języki, to kursy komputerowe, plastyczne... W tych czasach o takich sprawach trzeba myśleć, kiedy się ma dzieci. Ale dzieci to szczęście, więc ona jest szczęśliwa. Od rana do nocy jest co robić: tej wyprasować bluzkę, drugiej sprawdzić matematykę,

naszykować obiad, sprzątnąć po obiedzie, pomyśleć, co zrobić na kolację, żeby było co innego niż wczoraj. Bliźniaczki cały czas się kłóca, choć są takie małe, dwie starsze...

Kamila, słuchając Magdy, z wypiekami na twarzy opowiadającej o swojej rodzinie, nie mogła pozbyć się wrażenia, że to jakaś trauma, a nie szczęście rodzinne. Chciała jej to wielokrotnie powiedzieć, ale wystarczyło na nią spojrzeć, by w to wszystko uwierzyć i Kamila uwierzyła.

- Podziwiam cię - powiedziała w pewnym momencie. - Ja bym już dawno zwariowała na twoim miejscu.

- Ja na twoim też - odwdzięczyła się Magda, ale bez złośliwości, tylko tak sobie, jakby od niechcienia.

Rozpierając się wygodnie w fotelach, pijąc wino, które jakimś cudem i nie wiadomo skąd sprowadzała dla nich Julia, uśmiechały się do siebie, patrząc jedna na drugą w całkowitym milczeniu, ale nie za długo, jakby wszystkie naraz chciały powiedzieć: to już dziesięć lat, a my ciągle jesteśmy takie same, jakbyśmy dopiero co wyszły ze szkoły, tylko życie wokół nas trochę się zmienia, uwikłało nas w swoje sprawy, jakby bez nas czegoś mogło nie być albo jakby coś się nie zdarzyło. ..

- Śniła mi się niedawno Marzanna M. - odezwała się niespodziewanie Julia.

Spojrzały na nią niepewnie, nie bardzo wiedząc, czy Julia czeka na jakiś komentarz, czy nie. Od tamtego pamiętnego dnia nie komentowały tego tematu. Ucięły go w jednej chwili, kilkadziesiąt metrów od domu Wiktora i w pięć minut od zdarzenia, nie pozwalając Julii wrócić, kiedy zaczęła mówić, że coś jej w tym wszystkim nie pasuje. I nie chodziło tylko o sam fakt, ale... Sama nie wie o co, może o Marzannę M. Daj spokój - powiedziały wtedy i odeszły, ciągnąc ją za sobą. Teraz pomyślały: minęło tyle lat, to nie jest już bolesny temat ani dla Julii, ani dla nich tym bardziej.

Julia nie czekała na żaden komentarz.

- Zupełnie nie pamiętam tego snu - dokończyła. - Tylko to, że mi się śniła. Ostatnio - dodała już na koniec z nutką smutku w głosie - wcale nie pamiętam snów.

W tym momencie zobaczyły Borysa za ogrodzeniem, szedł w stronę grobli nad stawem, pomachały do niego, on tak samo do nich pomachał i dopóki nie zniknął im z oczu, patrzyły za nim jak urzeczone. Nawet Ramona powiedziała, że niezły facet z tego Borysa, prawdziwy mężczyzna, a Magda aż wstała i podeszła do płotu, by jeszcze popatrzeć.

- No, no... Julia... Gdybyś nie miała męża...

- Ale mam męża! - urwała zapędy Magdy Julia i zaraz sprowadziła je na ziemię: - Dajcie spokój, to tylko Borys.

- Rzeczywiście - odezwała się Kamila, strzepując nieistniejący pyłek lub cokolwiek innego z ramienia. - Jak dla mnie, to on jest taki... Jak by tu powiedzieć... za mało estetyczny.

- Co?! - Magda nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- Taki jakiś niedogolony, niedostrzyżony... Rozwleczona koszula... - kontynuowała z najwyższym przekonaniem Kamila. - I chyba ręce ma za długie.

- Chodzi ci o całe ręce - dopytywała Ramona - czy o dłonie? Bo dłonie, rzeczywiście, dawno zauważyłam, ma ogromne. Ale on zawsze milczy, a to takie romantyczne.

- Borys by w tym momencie wpadł do stawu, gdyby usłyszał, że ktoś go posądza o takie rzeczy - upierała się przy swoim Magda. - Stuprocentowy facet i tyle.

- Jesteście stuknięte - zakończyła temat Julia. - Pijcie wino, bo jeszcze jest. Na razie tylko Ramona docenia trud, jaki sobie zadaję, żeby was nim uraczyć.

Rzeczywiście, Ramona dopijała już trzecią lampkę. Po czwartej - pomyślały - zacznie być nieznośnie sentymentalna, nigdy w życiu nie wypila więcej niż dwie. Przezornie, łudząc

się, że to coś da, nie pytały o Aureliana, ale wiedziały, że i tak Ramona zaraz zacznie o nim mówić. Mając nadzieję jeszcze temu zapobiec, Kamila zapytała:

- A jak tam ciotka Aureliana... Tfu! Lukrecja, ma się rozumieć.

- Spadła ze schodów dwa miesiące temu, jak schodziła do księgarni, i złamała sobie nogę.

Magda zakrzuszyła się winem, Kamila dymem z papierosa, Julia własną śliną.

- A ojciec umarł tydzień temu... Aurelian przy nim siedzi.

- Żartujesz?!

- Nie. - Ramona w tym momencie sama dołała sobie wina. - Aurelian nie jest takim egocentrykiem, za jakiego wszyscy go mają. Ma naprawdę dobre serce... Naprawdę. To znaczy, sorry, co ja powiedziałam? Oczywiście, ciocia Lukrecja umarła dwa miesiące temu, a tata złamał sobie tydzień temu nogę. No.

- Upiłaś się. - Kamila, która lubiła umiar we wszystkim, przynajmniej do pewnego momentu, wyglądała na zgorszona.

- Żeby było jeszcze piękniej. - Ramona wypięła duszkiem czwartą lampkę i rozplakała się. - Tak bardzo brakuje mi ciotki Lukrecji - łkała. - Zostaliśmy z ojcem sami na świecie, jak sieroty.

Objęły Ramonę. Żadna z nich nigdy nie zostanie sama na świecie, bo zawsze będą mieć siebie. Cokolwiek się zdarzy. Szkoda, że nie zawiadomiła ich o śmierci ciotki, bo przecież byłyby z nią na pogrzebie. Tak jak były z Julią, kiedy zginęli jej rodzice.

- Popłacz sobie, popłacz... - Kamila zaczęła wycierać twarz Ramony z łez. - Widać nie miałaś na to czasu wcześniej.

Ramona skwapliwie przytaknęła, pociągając nosem.

- No właśnie że nie miałam. Ojciec w ogóle nie chciał zejść do księgarni, więc musiałam sama... A jak już zszedł, to

sobie złamał nogę. W jego wieku to nie wygląda ciekawie, powiedział lekarz. Poza tym Aurelian... Przygotowuje tomik...

- Znowu? - jęknęła Magda.

O, Aurelian jest bardzo płodnym poetą (dziewczyny w tym momencie wzniosły oczy w górę). Coś mu tam nie wychodzi, ona nie ma czasu się tym zająć, nawet zajrzeć do niego, a jak już zajrzy, to ją głowa boli, taki tam chaos, że nie wiadomo gdzie stanąć ani w którą stronę się obrócić, to jak on ma znaleźć jakiś wiersz o topoli, której notabene w życiu na oczy nie widział, bo on na takie rzeczy nie patrzy, i kiedy ją pyta, to ona nic nie wie, wtedy on mówi, no właśnie, cała ty, nawet nie wiesz, gdzie są moje wiersze, inne by wiedziały. Sto razy mu powtarzała, żeby sobie kupić komputer, w którym miałyby wszystkie swoje wiersze i na każde zawołanie, to on jej na to, że prawdziwy poeta pisze na kartce.

Już myślała, że nie przyjedzie na to spotkanie, bo jak zostawić ojca na dwa dni bez opieki, ale ojciec powiedział: „Jedź. Jak możesz nie jechać? Ja będę miał opiekę”. Nie zdążyła zapytać, o czym mówi, kiedy w drzwiach stanął Aurelian, uśmiechnięty, jej boski poeta, któremu skrzydła wciąż podcinają jakieś kretyнки, pisząc jedna z drugą, że poeta Kent już od dawna niczym nie szokuje, jeśli się ma na myśli oczywiście poezję, bo inne rzeczy no to owszem, jeszcze czasami. Ale to wszystko nieprawda, nieprawda...

Kamila delikatnie wyjęła z ręki Ramony butelkę, z której chciała nalać sobie kolejną lampkę. Ramona bez pretensji zakończyła:

- I powiedział: „Jedź, kochanie, ja zostanę z twoim ojcem”.

- Niemożliwe! - Magda zagrała prawdziwe zdumienie.

- Ależ tak! Tak właśnie powiedział... Egoista?! To nie jest słowo na określenie Aureliana. Na pewno nie.

- Rzeczywiście - mruknęła pod nosem Magda. - Zbyt eleganckie. Ja bym go nazwała debilem, zwyczajnie. Pierwsze co mi przychodzi do głowy.

- Mnie też - zgodziła się natychmiast Kamila.

Wzięły ją pod ramiona i zaprowadziły do salonu. Prześpij się, kochanie, to ci dobrze zrobi, chociaż godzinę, odpocznij... Ułożyła się jak mała dziewczynka, która jeszcze nie przeżyła w życiu nic złego, i tak zasnęła. Musiała mieć piękny sen, bo uśmiechała się kilka razy. Kotka znalazła się w swoim słonecznym ogrodzie, skwitowała Magda, która siedziała chwilę przy śpiącej Ramonie.

Kamila natychmiast zadzwoniła do ojca Ramony i tak jak się spodziewała, usłyszała, że żadnego Aureliana tam nie ma. Był, owszem, przez jakiś czas, ale po dziesiątym telefonie od jakiegoś „kwiatuszka” ojciec Ramony powiedział mu, że zaraz przyjdzie sąsiadka, więc może sobie iść, i tamten poszedł. Nie, żadnej sąsiadki też nie ma, ale Ramona nie powinna o tym wiedzieć. Ona przesadza. Tak naprawdę sam doskonale daje sobie radę, jak mu wcześniej wszystko naszykuje, a tak właśnie zrobiła. Zgodził się z Kamilą, że ten poeta Ramony diabła wart, ale nie ma sensu jej o tym mówić, bo to nic nie da, sam już wiele razy próbował. Można liczyć tylko na to, że w pewnym momencie sama się otrząśnie i coś do niej dotrze, chociaż właściwie już przestał w to wierzyć, bo tyle lat...

Po godzinie Ramona obudziła się i była jak nowo narodzona. Radosna i szczęśliwa. Przeprosiła za łyzy i w ogóle za wszystko.

- Jakbym rzeczywiście miała jakiś powód do płaczu - mówiła. - Mam was, ojca i Aureliana. Pięknie jest.

Nazajutrz obudziły się w doskonałych nastrojach. Wypiły kawę na werandzie, obserwując krzątającego się po obejściu Borysa, i pojechały do kościoła. Potem spacerowały po miasteczku, zjadły po ciastku w cukierni, a na koniec

odwiedziły ciotkę Kamili. Przechodząc koło maleńkiej ciepłarni, Kamila zwróciła uwagę na rachityczne łądyżki czegoś, co najprawdopodobniej miało się przerodzić w piękne, dostojne chryzantemy. Ale chyba nie tym razem, pomyślała Kamila. Zrozumiała natychmiast w czym rzecz, widząc ciotkę, która stanęła w progu swego maleńkiego domku. Była o pięć lat starsza i o pięć lat wolniejsza. Kamila zaprowadziła ją do pokoju, posadziła przy stole i nie pozwoliła się ruszyć. Sama zrobiła koleżankom herbatę owocową i kanapki, bezustannie podchodząc do ciotki, nachylając się nad nią i pytając troskliwie o to i o tamto.

Julia, Ramona i Magda w całkowitym milczeniu i z zaptartym tchem obserwowały, z jak niezwykłą czułością odnosi się Kamila do swojej ciotki. Nigdy jej takiej nie widziały.

- Ciociu - odezwała się w pewnym momencie Kamila. - Pakuj się, zabieram cię do siebie.

- A skąd ci to nagle przyszło do głowy? - ciotka na to, wystraszona.

- A stąd, że sobie już zwyczajnie nie radzisz.

Magda by powiedziała: „Bo przyda mi się twoja pomoc przy dzieciach” lub coś w tym stylu. Kamila podeszła do całej sprawy bardzo konkretnie, robiąc naprędce niewielką korektę w swych życiowych planach.

Stara kobieta jeszcze próbowała się bronić:

- Jeśli masz na myśli te chryzantemy, to akurat w tym roku...

- Mam na myśli wszystko - przerwała Kamila. - Chryzantemy, bałagan w łazience, kurz na meblach i brak opału w komórce na zimę. Nie myśl, że cię tak tu zostawię.

Potem wiele razy się zastanawiały, czy każda z nich w równie błyskawicznym tempie zdolna byłaby do włączenia

nowej osoby w swoje życie i jeśli miały być uczciwe, nie umiały na to odpowiedzieć. Kamila nie widziała problemu.

- A co na to twój mąż? - zapytała Magda, bo ona wszystkie swoje decyzje ze swoim mężem konsultowała. Przynajmniej starała się mu je zasygnalizować.

- Będzie startował w wyborach na burmistrza - lekko odpowiedziała Kamila. - Zechce pokazać, że ma dobre serce. A tak poważnie, mamy wielki dom, nawet jej nie zauważy.

Pożegnały się z Kamilą przed domem jej ciotki. Odjeżdżając z Borysem, który w kilka minut po nie przyjechał, pomachały jej ręką. I ona też im pomachała.

*

Kiedy mijały kolejne godziny, a Julia się nie budziła i stało się jasne, że nie wiadomo, kiedy się obudzi: za dzień czy za dwa, stała obecność kogoś bliskiego przy jej łóżku zaczęła być nawet pożądana.

- Ja mogę siedzieć non stop - zaoferowała się od razu Ramona, przyzwyczajona do czuwania przy bliskich.

- Będziemy się zmieniać. Po co ma którakolwiek siedzieć non stop - Magda na to.

- Ustalimy plan! - ożywiła się nagle Kamila, ale Magda zaraz zmroziła ją wzrokiem, więc szybko się poprawiła: - Z drugiej strony... jesteśmy tylko my trzy.

- Potrafimy liczyć do trzech - zaczęła przesadnie słodkim głosem Magda - i pewne kombinacje w ramach tej liczby, mam nadzieję, zapamiętać.

- Przestańcie sobie dogryzać - wtrąciła się Ramona. - W dodatku przy Julii.

Zgodziły się w jednej chwili: raz przyjdą tak, raz siak. A co to w końcu za różnica. Przy dobrej zmianie mogły na krótkie chwile wszystkie naraz wejść na salę, mogły naraz mówić do niej, nie odczuwając ciężaru i niezręczności chwilowej ciszy, kiedy nie wiadomo było już, co powiedzieć.

Kiedy były razem, łatwiej było mówić, bo wtedy właściwie rozmawiały ze sobą, komentowały, coś wspominały i wtedy co chwila jedna lub druga zwracała się do Julii ze słowami: „Pamiętasz, Julia?” albo: „Niezły był wtedy ubaw, co?”. Na sali był jeszcze tylko jeden pacjent, starszy mężczyzna po jakiejś ciężkiej operacji - nawet nie spytały po jakiej. Ciagle spał, a kiedy nie spał, patrzył w sufit, nie przeszkadzały mu.

Każdy grymas na twarzy Julii, każdy ledwo zauważalny ruch powieki brały natychmiast za symptom wybudzenia i wołały pielęgniarkę lub przechodzącego lekarza, że trzeba coś zrobić, pomóc jej w jakiś sposób, zareagować... Wkrótce wyjaśniono im, że kiedy pacjentka wybudzi się naprawdę, będą o tym wiedziały ponad wszelką wątpliwość, a do tego czasu dobrze by było, gdyby nie wszczynały co chwilę alarmu i nie zwracały personelowi głowy. Bo i tak ma co robić.

Po upływie doby zrozumiały, że pewnych rzeczy przeskoczyć się nie da. Przede wszystkim musiały się wyspać. Hotel w pobliżu szpitala był błogosławieństwem. Kamila przedłużyła pobyt o jeszcze jedną dobę. Zaraz potem zmieniła zdanie: nie, o dwie. Nawet jeśli Julia obudzi się wcześniej, któraś z nich będzie musiała zostać, zorientować się, jak długi pobyt w szpitalu przepiszą jej lekarze, w jakim jest naprawdę stanie i jak zaawansowanej opieki będzie wymagać po powrocie do domu.

Po ustaleniu tych wszystkich spraw odetchnęły z ulgą, bo przynajmniej coś było wiadome: przynajmniej to, jak mają się dalej zachowywać. Magda pochyliła się nad Julią i ujmując jej dłoń, odezwała się ciepłym głosem:

- Ty tu sobie śpisz i śpisz, a my zaraz zaczniemy mieć halucynacje. Ja już chyba mam: widziałam tego przystojniaka Clooneya z „Ostrego dyżuru” na korytarzu. Pora się porządnie wyspać. Ramona z tobą zostanie, ona ostatnia spała. -

Pocałowała ją delikatnie w policzek i dodała cicho: - Jakbyś mogła poczekać z przebudzeniem do mojego dyżuru, co?

*

Właściciel dużego sklepu za stacją benzynową, u którego Julia zawsze robiła zakupy, przyznał, że owszem, była przed południem, załadowała cały bagażnik, bo u niego jest wszystko. Co tydzień robi tu zakupy, a tak to jej wcale nie widać. A kiedy tamte trzy mają przyjechać, to wtedy wie, bo dodatkowo zamawia wcześniej to francuskie wino, z którym ma, prawdę mówiąc, trochę zachodu, ale już trudno, czego to się nie robi dla klienta. A zwłaszcza dla Julii. Nie zauważył, żeby była jakaś inna, żeby inaczej się zachowywała, nie. A skąd, nie marudziła długo, ona nigdy nie marudzi, bierze to, co jej potrzebne, płaci i zanoszą do samochodu. Kiedyś to jeszcze pogadała, pośmiała się, a teraz, odkąd ma te kłopoty z bankiem... W mózgu Leskiego włączyła się czerwona lampka. A jednak!

- Z bankiem?

- Obiło mi się to i tamto o uszy. Do mnie tu jeszcze ludzie przychodzą po normalne zakupy, o coś pytają, coś powiedzą, nie tak jak w tych waszych supermarketach. Bo ona to nie, nic nie powie, nawet szkoda pytać. Ani o sobie, ani o kim innym. A jak się nawet zapytać, to zawsze w porządku, dziękuję...

- Co konkretnie z tym bankiem? - Leski spróbował sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

- A co! Mąż ją zostawił z długami, to nabrała kredytów, żeby jakoś to wszystko, co jej ojciec zostawił, uratować, a nie oddać za marne grosze Jakimowskiemu, bo on już by takiej okazji nie przepuścił. Nawet jakby mu nie chciała sprzedać, toby kogoś podstawił...

- Miała z nim już jakieś problemy?

- No przecież cały czas. Panie, ten człowiek, jakby mógł, toby wszystko wykupił. Jeszcze jak jej ojciec żył... I tego, no...

Chyba jej ostatnią ratę cofnęli w banku, Jaśka Kapusta mówiła, ona tam siedzi w dziale kredytów. Akurat chyba nie w porę i bez pomysłu, bo wiadomo, że ją zablokowały przed samym sezonem. Po świętach, jakby sprzedała ryby, zarobiłaby, nie zarobiła, ale przynajmniej kredyt by oddała... Nie chciałem o nic wypytywać, bo szkoda takich ludzi, co od dziecka na coś pracują i chce im się to odebrać. Nawet te zakupy od jakiegoś roku to już skromniejsze robiła, gryzła się czymś, to było na oko widać. Jakimowski nie zabrał, to bank zabierze, i jeszcze może taniej, bo to ich metoda, a wiadomo, że kredytu inaczej jak pod zastaw wszystkiego nie dali. Nie chciałem się narzucać, chociaż ja wdowiec, ona wdowa, we dwoje coś by się zaradziło. Raz powiedziała nie, nachalny nie jestem.

Taaaa... Najlepiej to nic nie robić i kłopotów nie mieć. Sam bym se najchętniej usiadł...

- Niech pan mi jeszcze powie - przerwał Leski, bo już nie spodziewał się usłyszeć żadnych konkretów - o której Julia Dunin mniej więcej od pana wyszła?

- A przed dwunastą dokładnie było - odparł właściciel sklepu bez zastanowienia.

- Na pewno? - Leskiemu coś nie pasowało.

- Mariolka akurat przyszła... pracownica... mnie zastąpić, a na dwunastą przychodzi, to jeszcze żem pomógł Julce zakupy zataskać do samochodu i od razu odjechała.

Borys Berg, analizował Leski w drodze do samochodu, zeznał, że wróciła o drugiej. Śpieszyła się, mówił, bo dziewczyny zaczęły się zjeżdżać koło czwartej. Ten jej pośpiech świadczy o tym, że gdzieś zabawiła dłużej, coś ją zatrzymało przynajmniej na godzinę. Wcześniej, pobieżnie ustalając cały jej rozkład dnia, pomyślał, że w sklepie. Żadna kobieta nie robi poważnych zakupów w takim tempie. Potem mogła jeszcze stanąć na jakąś chwilę tu czy tam, ale nie na

dłużej, jeśli miała w perspektywie tyle przygotowań. Tylko na chwilę. Piekarnię i pogawędkę z właścicielką kwaciarni, co ustalił wcześniej, miała już za sobą. Potem się śpieszyła, mówił Berg, wszystko jej leciało z rąk. Może nie tylko z powodu pośpiechu.

Cała godzina. Może być bardzo ważna, najważniejsza. Może nie znaczyć nic. Mogła siedzieć sobie na przykład w samochodzie na poboczu. Albo robić cokolwiek innego, co nie musiało mieć żadnej przyczyny ani żadnego skutku.

Ludzie robią takie rzeczy.

Kiedy znalazły się w hotelu, nogi same zaprowadziły je do restauracji. Bezwiednie rozłożyły przed sobą karty, a potem bez marudzenia zamówiły kolację. Dopiero kiedy jadły już w milczeniu, spojrzały nagle na siebie i zamarły na moment ze sztućcami w powietrzu.

- Dajmy spokój - przerwała zaraz ten chwilowy bezruch Magda. - Julia śpi, Ramona czuwa, a my musimy coś zjeść. - Po chwili dodała tonem usprawiedliwienia: - Muszę raz na dzień porządnie zjeść, żeby normalnie funkcjonować. Inaczej wszystko mnie denerwuje i jestem złośliwa.

- Ty złośliwa? - zdziwiła się Kamila, wracając do jedzenia.

- Zawsze byłaś szczerą, mówiłaś to, co ci leżało na sercu, choć nie zawsze było to subtelne.

- No właśnie.

- Nie pamiętam, żebyś kiedyś była złośliwa.

- Przypomnij sobie.

- Zawsze byłaś szczerą! - podkreśliła z uporem Kamila. Magda spojrzała na koleżankę, odsunęła jedno danie, wzięła się do drugiego.

- Mówisz tak, jakby nie było tego sobotniego wieczoru i nic się nie zdarzyło. Mam wrażenie, że z nas trzech do ciebie

najmniej to wszystko dociera. Zawsze już dawno się skończyło.

Zawsze - kontynuowała spokojnym, bezbarwnym głosem - to było kiedyś. Od tamtej pory wiele (woli nie używać słowa: wszystko) się zmieniło. Ani ona nie jest już taka łagodna, ani Kamila opanowana, ani Ramona romantyczna. Nawet Julia - jak już teraz dobrze wiedzą - przegrała ze swoimi zasadami.

- Nie mów, że przegrała - zareagowała Kamila. - Może nie wygrała wszystkiego.

- Dobra, przesadziłam. Żadna z nas nie przegrała wszystkiego. Wolisz to usłyszeć?

- Wolę.

- Więc niech ci będzie.

- Nie bądź taka łaskawa.

- A ty złośliwa.

- Ja złośliwa? To ty miałaś być złośliwa.

- Ale się najadłam i już nie jestem. Najadłaś się także?

- Najadłam.

- To chodźmy spać, bo jesteśmy zmęczone i zaraz zaczniemy się kłócić.

- Ja się nigdy nie kłócę.

- Nieee! Bo taka jesteś opanowana. I elegancka.

- Co ma do tego elegancja?

- Nie mam zielonego pojęcia!

- Nie podnoś głosu!

- Posłuchaj siebie.

- Magda!

- Kamila!

Siedzący przy sąsiednim stoliku kobieta i mężczyzna zaczęli im się dyskretnie przyglądać. Uśmiechnęły się do nich, wstały i wyszły.

Zasnęły natychmiast, jak tylko przyłożyły głowy do poduszek, kamiennym snem, bez marzeń i bez niepokojów.

O świcie obudziły się prawie jednocześnie. Wszystko jedno, która pójdzie do Julii, mogą iść razem, mogą zmieniać się co dwie godziny. Niech tylko Ramona uczciwie się wyśpi. Włączyły telefony komórkowe i sprawdziły nieodebrane połączenia. Magda natychmiast oddzwoniła do męża, Kamila zaraz potem.

- Co ci powiedział? - spytała Kamila.

- Że ma przygotować sto tysięcy samochodów do wysłania i gdzie ja w ogóle jestem. Jak mu powiedziałam, że ktoś do nas strzelał, pogratulował mi wyobraźni. Powiedz od razu, mówi, że gdzieś zabalowałaś w drodze od tej swojej koleżanki, a nie wymyślaj głupot, wiesz, że nie będę ci robił wyrzutów, tak jak ci nigdy nie robiłem, tylko wracaj i zajmij się domem.

- Mój też powiedział, że mi odbiło.

- Osły bez wyobraźni - skwitowała Magda. - Wiesz, co myślę?

- Co?

- Przed zaśnięciem wczoraj coś mi przyszło do głowy...

- Ja nie zdążyłam nawet pomyśleć, chyba od razu usnęłam.

- Ja też, ale tak przez chwilę... Przez sekundę pomyślałam...

- Co pomyślałaś? - zniecierpliwiła się Kamila.

- Tak mi przyszło do głowy, że jeśli ja miałam być celem, jeśli do mnie ktoś miałby... no wiesz... to tylko on.

- Kto?

- No on.

- Ale kto?! Mów, bo chcę się kąpać.

- Grześ.

- Chyba wezmę tylko zimny prysznic. Grześ?!

- Mój mąż.

MAGDA 2002

To się zaczęło jak najprostsza w świecie historia: wesola, pełna ciepła dziewczyna spotyka miłego, szczerego chłopca i odtąd każdą wolną chwilę spędzają razem. Bo jest im dobrze, świetnie im się rozmawia i świetnie milczy. On kończy studia, ona je dopiero zaczyna. Ich świat jest prosty i, w całej nienormalności końca lat osiemdziesiątych, normalny. Nie narzekają, że tego czy tamtego nie ma, że ciężko jest żyć. Im jest łatwiej, bo się wspierają na każdym kroku. Są jak najlepsi przyjaciele i ta przyjaźń jest dla wszystkich, a może i dla nich samych, bardziej oczywista niż miłość. Naturalność, z jaką jedno przechodzi w drugie, nikogo nie zadziwia. Nawet ich samych. A kiedy ona po kilku miesiącach znajomości zachodzi w ciążę, on nie wpada w panikę, nie mówi: Ty idiotko, co ja teraz zrobię, ty nic nie masz, ja nic nie mam, jak będziemy żyć? Normalnie, tłumaczy jej, nie my pierwsi i nie ostatni. Tak się zaczęła prosta historia.

Nie oni pierwsi i nie ostatni wychowali dziecko w akademiku przy pomocy tuzina koleżanek, przewijających się od rana do nocy przez pokój Magdy, kiedy była taka potrzeba. Chaos, jaki w nim od rana do nocy panował, dodawał Magdzie skrzydeł, a mała, przyzwyczajona do różnej skali dźwięków, zasypiała bez przeszkód przy odgłosie wiertarki udarowej za oknem. Nie trzeba było chodzić koło niej na palcach, ściszać głosu czy delikatnie zamykać drzwi. Magda nie zaważyła nawet jednego egzaminu, jej Grześ obronił w terminie pracę - byli szczęśliwi.

Drugie dziecko nie było tak wyrozumiałe. Wykorzystywało w pełni swe przywileje, czyli płakało i marudziło do woli. Wynajęli z pomocą rodziców małe mieszkanie i tu Magda starała się wszelkimi siłami nad swoim życiem zapanować. Bardzo jej brakowało niekończącego się

gwaru akademika, chaosu i po trosze nawet niedającego się nigdy opanować bałaganu. Zresztą, jeśli chodzi o bałagan, to nigdy go w pełni nie opanowała. Gotowanie, karmienie dzieci, prasowanie, opiekunka, zajęcia, znowu gotowanie, karmienie, zajęcia, egzaminy. .. Kto to wszystko posprząta? - pytała sama siebie sto razy na dzień, szukając notatek i przetrząsając stopy dziecięcych ciuchów, gotowych do prania i prasowania.

- Najlepiej - radził Grześ - gdybyś starała się robić wszystko na bieżąco.

- Staram się - ucinała za każdym razem - ale się nie da.

- Spróbuj - radził z troską w głosie. - Będzie ci łatwiej. Raz spróbowała i co? Nie można się było w niczym połapać.

Rzeczywiście, przytakiwał, w niczym. Albo dzieci, albo porządek, łagodziła nieraz jego pochmurne nastroje (już wtedy zaczął ściągać to swoje czoło, nie za często, ale od czasu do czasu) i za każdym razem to skutkowało. Brał swoje dziewczynki na ręce i kołysał raz w jedną, raz w drugą stronę. Komu potrzebny porządek? Pieniądze to co innego. Tych by się przydało trochę więcej, nie za dużo, tylko tyle, żeby starczało na bieżące potrzeby, bez wiecznego kombinowania. Kiedy byli sami, potrzebowali niewiele. Z dwójką dzieci tak się nie dało.

Magda skończyła dziennikarstwo i cały czas, nim je skończyła, wyobrażała sobie, że doskonale odnajdzie się w zawodzie. Miała ku temu wszelkie predyspozycje, przede wszystkim łatwość nawiązywania kontaktów i dobry, zwięzły styl. Polecona komuś przez kogoś od razu dostała pracę, ale po miesiącu musiała o niej zapomnieć.

- Druga pensja bardzo by nam pomogła - mówiła z uśmiechem do męża - ale trudno. Musimy z czegoś zrezygnować.

Zrezygnowali z opiekunki i to już była jakaś oszczędność. Wydawało się im na początku, że nawet bardzo duża i teraz to

już będzie im łatwiej. Ale nie było. Za każdym razem - po pewnym czasie oboje odkryli niemiłą nieprawidłowość - kiedy udało się na czymś zaoszczędzić, nie wiadomo skąd wyrastały nowe, wymagające konkretnych środków problemy. To raczej prawidłowość - tłumaczyła im matka Grzesia, ilekroć z wielkim zadziwieniem starali się pewne rzeczy zrozumieć - kiedy się ma dom i rodzinę.

- Ale przynajmniej mamy dom i rodzinę - podkreślała wtedy Magda - optymistka. - Inni tego nie mają.

- I skoro już się na pewne sprawy zdecydowaliśmy, damy radę - wtórował Grześ. - Tak jak do tej pory sobie dawaliśmy.

Mogliby tylko sobie od czasu do czasu posprzątać - matka Grzesia była wielką porządnisią.

- Wielka mi porządnisią - mówiła Magda za każdym razem po jej wyjściu, kopiąc w kąt dziecięce buty, leżące zawsze nie tam gdzie potrzeba. - Nie mam zamiaru stresować dziewczynek widokiem matki wiecznie latającej z odkurzaczem i ścierką; komu to, cholera, potrzebne.

Dziewczynki nie miały nic przeciw butom leżącym nie tam gdzie potrzeba i stosom ubrań wyłożonym z pralki, żeby nie wiem ile razy w tygodniu się je prało. Natomiast pewnych rzeczy nie dało się przeskoczyć - taką mniej więcej diagnozę postawił pewnej pogodnej niedzieli Grześ, informując Magdę o odejściu z uczelni. Na początku miała pewne wątpliwości, czy jej miły, szczerzy chłopiec poradzi sobie w jakiejś nieznannej dziedzinie, zwanej działalnością gospodarczą, a kiedy się dowiedziała, że ma to być transport międzynarodowy, z wrażenia posprzątała kuchnię i pół pokoju. Wtedy Grześ odkrył, że wystarczy ją porządnie zdenerwować, a ich mieszkanie zacznie przypominać mieszkanie, a nie chlew. Szkoda tylko, myślał czasem, potykając się o lalki dziewczynek leżące pod drzwiami

wejściowymi lub puste słoiki po dżemie na podłodze w kuchni, że nie mam natury furiata.

Magda nigdy nikomu nie wspominała i sama starała się o tym jak najrzadziej myśleć, co w ich życiu działo się przez kolejne dwa lata. Pieniądzy nie było na nic. Miały być, ale z każdym miesiącem coraz mniej wierzyła, że kiedyś naprawdę będą. W pewnym momencie nawet zdawało jej się, że zapomniała, jak wygląda miło szeleszczący w dłoni banknot o porządnym nominale. W tym czasie urodziły się bliźniaczki. Jeśli był w jej życiu moment, w którym nie uśmiechała się mniej lub bardziej świadomie do każdej mijanej osoby, to było właśnie wtedy.

- Ciesz się - pocieszał Grześ - że nie wziąłem kredytu, bo mam ojca oraz uczciwego współnika z łbem na karku. Ci, co wzięli, padają teraz na mordy, żeby spłacić same odsetki. A niektórzy popełnili samobójstwo.

- Cieszę się - udawała, że się cieszy, Magda. - W końcu mamy cztery śliczne dziewczynki. Inni tego nie mają.

- I siebie - uzupełnił Grześ, przypominając, że zawsze to dodawała.

- No właśnie.

Po bardzo długich dwóch latach coś drgnęło, pojawiły się jakieś pieniądze i Magda zaczęła cieszyć się rodziną. Jednak te dwa lata musiały być bardziej traumatycznym przeżyciem, niż jej się mogło zdawać, skoro nieraz łapała się na tym, nawet w czasach, kiedy im na zwykłe, ale w miarę dostatnie życie nie brakowało, że zawsze myśli o pieniądzach, liczy, ile co kosztuje i ile trzeba na to czy tamto wydać.

Dziewczynki rosły, pogodne i beztroskie. Magda nie mogła się napatrzeć i nacieszyć, jak rosną, jak idą do szkoły, do pierwszej komunii, jak po kolei jedna za drugą zmieniają się w nastolatki.

- Wkrótce - powiedziała kiedyś do Grzesia, w jeden z nielicznych wieczorów, kiedy był w domu, bo przeważnie go nie było - zaczynają przyprowadzać chłopców do domu.

- Rzeczywiście - przyznał. - Musimy kupić większe mieszkanie.

Większe mieszkanie oznaczało większą powierzchnię do opanowania dla Magdy. Dla jej męża coraz mniej wieczorów spędzanych z rodziną. Przyzwyczała się, odkąd bliźniaczki poszły do szkoły, że zostaje w domu sama i do popołudnia, nim wszystkie wrócą, ma czas na doprowadzenie domu do jakiegoś takiego porządku, na wypicie kawy, drobne zakupy, prasowanie, układanie ich rzeczy w szafach, na krótkie pogawędki telefoniczne z matką czy z teściową. Kiedyś sądziła, że z każdym rokiem będzie mieć coraz mniej pracy, ale było odwrotnie. Może i w jej domu panował wieczny bałagan, ale nigdy nie było w nim brudu. Pewne rzeczy, jak szorowanie łazienki i odkurzanie, zajmowały jej wiele godzin dziennie. I kiedy tylko ogarnęła jako tako mieszkanie, dziewczynki wracały i w ciągu kilkunastu minut wszystko wyglądało tak jak tuż po ich wyjściu. Rzucaly plecaki, buty i kurtki gdzie popadło, siadały do stołu i odchodziły od niego, zostawiając wszystko na stole, potem szły do swych pokoi, wyciągały dopiero co poukładane ubrania, szukały bluzek, spodni i spinek do włosów, bo nigdy niczego nie było na swoim miejscu. Kiedy próbowała nauczyć je dbania o swoje rzeczy, o porządek w pokojach lub sprzątania po sobie ze stołu, natychmiast zaczynały się kłótnie, która z nich ma zrobić to, a która tamto. Nie, mówiła jedna, ja po niej nie będę sprzątać, to nie mój talerz, nie ja naniiosłam błota do przedpokoju, nie ja zapaćkałam wannę, a druga mówiła to samo. Najgorsze były bliźniaczki. Nie dość że w nieprawdopodobnym tempie wywracały dopiero co posprzątane mieszkanie do góry nogami, to jeszcze kłóciły się

dwadzieścia razy na dzień o wszystko, o co tylko małe dziewczynki mogą się kłócić. Najpierw to były zabawki, potem kredki i zeszyty, potem ubrania. Muszę coś z tym zrobić - mówiła co jakiś czas Magda, chwytając się za głowę - nim zaczną kłócić się o kosmetyki. Wtedy będzie za późno. Powinny mieć oddzielne pokoje - zdecydowała w pewien zimowy wieczór, jeden z nielicznych, kiedy jej mąż był w domu, bo przeważnie go nie było.

- Dobrze - zgodził się Grześ. - Kupimy większe mieszkanie.

Kupili dom, z dostateczną liczbą pokoi i ogródkiem, a wtedy Grześ przestał bywać w domu nawet w niedzielę. Firma dała pieniądze, ale w zamian żądała jeszcze większej uwagi, jeszcze więcej telefonów, faksów i e - maili, więcej samochodów, które miały wozić towary stąd dotąd, i więcej pracowników.

Ta firma to jakieś monstrum - myślała Magda, prowadząc w pewien grudniowy wieczór dwie starsze dziewczynki z lekcji rysunku i rzucając nieprzyjazne spojrzenie młodemu sąsiadowi, który zawsze akurat wtedy, gdy wracały, wychodził z psem na spacer, kłaniał się w milczeniu, gdy się mijali, a potem - była pewna - patrzył za nimi długo, nim zniknęły w mroku. Chciałaby, żeby choć raz ojciec odebrał swoje córki z lekcji rysunku czy angielskiego. To ubieranie ich, szykowanie, a potem czekanie, aż się narysują lub nauczą zadanych nowych słówek, i prowadzenie ich do domu z powrotem, i te spojrzenia ogolonego na łyso młodego sąsiada, które były zbyt natrętne, zbyt dziwne, żeby można je było ignorować. Wiele razy zamierzała podejść i powiedzieć: Trzymaj się od moich dziewczynek z daleka, zboczeńcu, ale zawsze brakowało jej odwagi, pewności, wiary w to, że do takiego zboczeńca jakiegokolwiek słowa dotrą. I tak zrobi to, co ma zrobić, jeśli tylko będzie miał okazję, więc robiła

wszystko, żeby mu takiej okazji nie stworzyć, nie spuszczała swoich dziewczynek z oczu i upominała na każdym kroku:

- Nie wolno wam rozmawiać z nieznajomymi - powtarzała każdego ranka i prawie każdego wieczora.

- Mamo - buntowała się od czasu do czasu najstarsza - wiesz, ile ja mam lat?

- Wiem. I ciebie szczególnie upominam. Ciebie i Beatkę - dodawała, zerkając na młodszą. - Takie są czasy.

Bliźniaczki jeszcze prowadziła do szkoły. Dopóki i one się nie zbuntowały. Wtedy z przerażeniem odkryła, że dopiero co przyszły na świat, potrzebowały jej opieki i bezustannej uwagi, a już samodzielnie usiłują w nim zaistnieć. Choćby to miało być tylko samodzielne chodzenie do szkoły.

- Nikt mi nigdy nie powiedział - odezwała się któregoś wieczora do męża - że dzieci odbierają poczucie czasu.

- Nie rozumiem - zdziwił się, odrywając na chwilę wzrok od książki.

Ona też tego nie rozumiała.

Tak naprawdę najlepiej, najszcześliwiej czuła się późnym wieczorem w domu, kiedy dziewczynki były już w swoich pokojach, Grześ wracał z firmy, kładli się po kolacji na kanapie i jeśli Grześ nie był zbyt zmęczony, rozmawiali o tym i tamtym, a kiedy nie miał na nic siły, to po prostu oglądali jakiś film albo czytali w spokoju, bo to był jedyny moment, kiedy można było w spokoju poczytać.

Było dobrze i bezpiecznie. Cała rodzina pod jednym dachem, z dala od niepokojów, pokus i całego zła tego świata. Kiedyś nie było tyle zła na świecie - mówiła sama do siebie, bo Grześ drzemał już na kanapie, a dziewczynki w swoich pokojach na górze robiły, co chciały, i nikt im nie marudził, że co chcą, to robią, nie myśląc nawet przez chwilę, że ktoś to będzie musiał potem posprzątać, poukładać i jak długo tak w ogóle można.

W pewnym momencie złapała się na tym, że coraz częściej mówi sama do siebie. Kiedy wszyscy z rana wychodzili z domu, szła na górę i sprząając pokoje dziewczynek, potem schody, salon na dole i kuchnię, mówiła, że znowu to samo, ten sam bałagan jak co dnia, te same czynności, ten niekończący się rytuał. Potem wychodziła na podwórko, gdzie jedna rzuciła na chodniku rower, butelkę po coli, a bliźniaczki co się dało i mówiła: I jeszcze to cholerne podwórko. Szkoda, kontynuowała na głos, że nie mamy jeszcze więcej dzieci, jeszcze więcej pokoi do sprząwania i jeszcze większego podwórka. I większego trawnika do koszenia, bo mam za mało roboty, a zaraz trzeba nastawić obiad, bo zaczną się schodzić głodne i niecierpliwie, jedna o tej, druga o tamtej, jakby nie mogli wszyscy wrócić o jednakowej porze, usiąść, najeść się i koniec.

Wszystko w moim życiu jest takie samo - mówiła, siadając na schodach przed domem. - Zaplanowane od rana do wieczora, chociaż niczego nie planowałam, takie samo, identyczne. Gadam do siebie jak jakaś kretynka... Codziennie.

Wtedy zachciało się jej jakiejś zmiany, czegoś nowego w życiu, jakiegoś wyjazdu, choćby gdzieś blisko, albo żeby ktoś przyjechał... Potem kładła się na kanapie późnym wieczorem obok Grzesia, czytali książkę albo oglądali film, a z góry dochodził szczebiot dziewczynek, muzyka, która zawsze była za głośno, i w nieskończoność trzeba było wołać, żeby ją przyciszyły, i wtedy odrywała na chwilę wzrok od książki lub ekranu telewizora, wsłuchiwała się w to wszystko i uśmiechała szczęśliwa. Codziennie o tej samej porze.

Aż do tamtego letniego, bardzo parnego wieczora, kiedy Grześ poszedł wziąć kolejny prysznic, żeby choć na chwilę się ochłodzić, i zostawił otwartą książkę z zaznaczonym fragmentem (lubił zaznaczać w książce ołówkiem podczas czytania pewne fragmenty, takie, które mu się wyjątkowo

spodobały lub zaintrygowały czymś), a Magda odruchowo zerknęła. Kiedy zobaczyła, że jest to „Śpiew na dwa głosy nocną porą” Weissenborna, książka, którą niedawno czytała, była ciekawa, co też Grzesiowi się w niej spodobało. Były sobie raz dwa szczury - przeczytała bez specjalnego zainteresowania - i oba były tak biedne, że nie mogły opłacić komornego i nie miały co jeść ani co na tyłek włożyć. Wtedy jeden powiedział do drugiego: jesteśmy biedni, to dobra wspólna płaszczyzna, więc pobierzmy się i zamieszkajmy razem i w ten sposób zaoszczędzimy na komornym. Tak więc zamieszkały razem i stworzyły podstawową komórkę społeczną. Odłożyła książkę i objęła się ramionami, bo zrobiło się jej zimno, choć przed chwilą nie miała czym oddychać. Teraz też, ale z innego powodu. Zaczęła czytać kolejny zaznaczony fragment: A kiedy nasze dwa szczury były już mężem i żoną, to pomyślały sobie o kwiatkach na łące i ptaszkach na błękitnym niebie, i spłodziły sobie dzidziusia, a potem jeszcze jednego, i jeszcze jednego, i jeszcze jednego, bez troski jak to szczury, a kiedy spłodziły czwartego dzidziusia, to nie miały już na komorne i zaczęły sobie skakać do oczu, bez przyczyny, jak to szczury...

Odrzuciła książkę, nie chciało się jej już czytać kolejnych zaznaczonych fragmentów, zarzuciła na siebie cienką bluzkę i skierowała się do wyjścia. Kiedy Grześ, wychodząc z łazienki, spytał, dokąd idzie, powiedziała, że gdziekolwiek. Ani nie zareagował, ani się nie zdziwił, bo gdzie mogła pójść.

Wyszła przed dom, postąpiła przed nim, zastanawiając się, dlaczego jej szczury, dobry i zapracowany chłopiec czyta podobne rzeczy i czym się kierował, zwracając szczególną uwagę na te, a nie inne fragmenty. Czy zwrócił uwagę na literacki urok tekstu, czy też dojrzał w nim coś innego? Co?

Wyszła na ulicę, cichą i martwą, usiadła na ławce przy skwerku, gdzie ludzie wyprowadzali swoje psy, ale teraz nie

było ani człowieka, ani psa, tylko - chciało jej się krzyżeć - same szczury, które żyją obok siebie, jak to szczury, i skaczą sobie do oczu, i płodzą dzieci, i wypełniają swój szczurzy los, bo nie mają innego wyjścia. Albo zaharowują się na śmierć, nie dostrzegając nic z uroków tego świata i wtedy nie kłócą się, nie drapią pazurami po oczach, bo nie mają o co, ale milczą, bo nie mają o czym rozmawiać albo im się zwyczajnie nie chce.

Była pewna, siedząc na tej wieczornej ławce, że gdyby została w domu i spytała męża, dlaczego zaznaczył ten fragment, wzruszyłby ramionami i powiedział: nie mam pojęcia, kotuś, jakoś tak. I nie chodziło o to, czy mówiłby prawdę, bo może to byłaby prawda. Chodziło o jego podświadomość, która podobną rzecz kazała mu zrobić.

To już nie była prosta historia.

Łysy sąsiad wyszedł z domu i usiadł obok niej na ławce. Dopiero po chwili go zauważyła.

- Odpieprz się od moich córek - powiedziała bez żadnego wstępu. - Widzę, jak na nie patrzysz.

- Musiałbym być jakimś cholernym zboczeńcem - odpowiedział. - Patrzę na ciebie.

- Nie bądź głupi - Magda na to cicho i sennie. - Ile ty masz lat? Dwadzieścia... dwadzieścia jeden?

- Dwadzieścia sześć.

- A ja trzydzieści cztery.

- No i co z tego?

- Mam cztery córki i męża.

- Powiedziałem tylko, że patrzę na ciebie.

- Ach tak... - wydusiła i zaskoczona zauważyła, że on się uśmiecha.

- Nie mogłem spać - wybawił ją od konieczności powiedzenia czegoś sensownego - i zauważyłem, że wychodzisz.

- Długo stałeś przy oknie?
- Tyle ile było trzeba. - I co?
- Pomyślałem, że też nie możesz spać, więc możemy przynajmniej porozmawiać...
- Czym się zajmujesz? - przerwała mu. Dlaczego mają nie porozmawiać.
- Samochodami.
- Sprzedajesz je?
- Potem tak.

Magda wróciła do domu dobrze po północy Grześ uniósł głowę z poduszki, gdy wchodziła do sypialni.

- Gdzie ty byłaś tyle czasu? Już miałem iść i cię szukać.
- Rozmawiałam z naszym młodym sąsiadem na skwerku.
- Trzy godziny? O czym? Magda wzruszyła ramionami.
- Nie mam zielonego pojęcia.

Nad ranem obudził ją telefon. Dzwonił ojciec Ramony. Był podekscytowany i nie bardzo wiedziała, co chce jej powiedzieć. W końcu zrozumiała tylko tyle, że telefonował już do każdej z nich, ale tylko do niej mu się udało dodzwonić, Ramona jest w areszcie, a on nie wie, co ma robić, a nawet jakby wiedział, to jak ma się ruszyć gdziekolwiek... Magda ubrała się szybko i poprosiła męża o samochód.

- Jadę do Łodzi - wyjaśniła. - Ramona potrzebuje mojej pomocy.

Kiedy kilka godzin później wyprowadzała Ramonę z aresztu, ta śmiała się i płakała na przemian. Magda całą drogę zastanawiała się, w jaki sposób ma wyciągnąć koleżankę z aresztu i czy tak na słowo ktoś w ogóle wyrazi na to zgodę. Nie miała pojęcia, o co Ramona została oskarżona, ale kiedy na miejscu zobaczyła Aureliana, domyśliła się, że mógł mieć z tym coś wspólnego. Usłyszała; jak mówi, a właściwie krzyczy, że on wszystko wycofuje, nie wnosi żadnych pretensji, nawet o to, że chciała go zabić, bo to wariatka. A

jeśli to nie wystarczy, to może jeszcze dodać, że to wcale nie była ona, tylko jakaś inna wariatka (mało takich?), pomylił się, dwadzieścia siedem osób, które były wtedy w knajpie, może to potwierdzić. Potem coś podpisał, a na uwagę komendanta, że pani Ramona Koszyc nie jest chyba w odpowiednim stanie, by można ją było puścić samą na ulicę, rozłożył ręce, w tym jedną do łokcia zabandażowaną. Magda dostrzegła, że ma jeszcze kilka plastrów na twarzy i szyi.

Kiedy w chwilę później wychodziły z aresztu, Ramona śmiała się i płakała na przemian. Magda zapakowała ją do samochodu, o nic nie pytając. Pozwalała jej się śmiać, płakać i mówić.

Byli wczoraj w kawiarni, mówiła Ramona, w jego kawiarni! Jak zwykle wypindrzył się w tę swoją jedwabną koszulę i czarne spodnie, jakby nie widział, ile ma lat, a w tym ubraniu i z tymi bruzdami na czole wygląda jeszcze starzej. Jak zwykle zachowywał się jak bożyszcze tłumu, chociaż już dawno nim nie jest. Nie dociera do niego, że jest facetem w średnim wieku, który napisał w życiu parę dobrych wierszy i którego czas już dawno minął. Panienki na niego już nie lecą. Młode poetki nie włóczą się po kawiarniach, tylko siedzą przy komputerze. Jak zwykle zamówił też sobie jedną pomarańczę i do tego nożyk (zawsze tak zamawia) i zaczął sobie tę pomarańczę obierać, rozglądając się na boki, czy wszyscy widzą, jaki jest oryginalny. Jak zwykle nie wiedziała, gdzie oczy podziać, i poprosiła parę razy, żeby wyszli, albo przynajmniej samej jej pozwolił wyjść, bo wiedziała, że za chwilę, jak zje tę pomarańczę, zacznie gryzmolić wiersze na serwetkach, a tego już od dawna znieść nie mogła. Czekwała więc, w napięciu patrząc, jak powoli tę pomarańczę obiera, i żeby to chociaż obierał ją normalnie, jak każdy, ale on nie, on ma swoją metodę. Skórka musi się więc spiralnie i nie ma mowy, żeby się w którymś momencie przerwała. Jeśli mu się

przerwie, wtedy woła o następną i zaczyna wszystko od nowa. Patrzyła więc, modląc się, żeby mu się obrała do końca, bo już coś zaczynało ją nosić, nie ma pojęcia dlaczego, może po prostu była tego wieczora bardziej zmęczona. Obrął ją w końcu, podzielił na części i zaczął jeść. W pewnym momencie sok prysnął mu na koszulę. Nie zwrócił na to uwagi, więc mu powiedziała:

- Zapaprałeś sobie koszulę sokiem.

- No to co - on na to. - I tak była niedoprasowana.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Niedoprasowana?! Jak to niedoprasowana, skoro pół godziny stała przy desce, bo jak się szykował, namaszczał różnymi kremami i wodami po goleniu, to jej ciągle powtarzał: Tylko mi ją dobrze wyprasuj. Starła się, chociaż ze wszystkich rzeczy najbardziej nie lubi prasować koszul, jeszcze bardziej niż pościeli i swoich sukienek. Ale się starała. Więc kiedy usłyszała, co powiedział, nie mogła najpierw uwierzyć, a kiedy już uwierzyła, chwyciła ten nożyk do obierania pomarańczy i dźgnęła go nim w rękę, dosłownie przebiła mu ją na wylot. On znieruchomiał na sekundę, a potem wrzasnął:

- Ty kretynko, jak teraz będę pisał wiersze?!

Powiedziała, że nikogo już jego wiersze nie obchodzą, wyciągnęła ten nożyk i wtedy już naprawdę nie wie, co jej się stało, zaczęła go nim po prostu dźgać gdzie popadło.

Przyjechała policja i ją zabrali.

Magdzie przyszło do głowy, że Ramonie była potrzebna karetka, a nie więzienie. Już pięć lat temu, kiedy miały ostatnie spotkanie u Julii, nie była w najlepszej formie psychicznej. Nie chciała nawet myśleć, co by się stało, gdyby ten zakichany poeta nie przyszedł i nie wyciągnął jej z aresztu. Teraz reszta należała do niej. To dobrze, myślała, że ojciec Ramony zadzwonił się właśnie do niej. Kamila, jakkolwiek chciałaby pomóc, przede wszystkim starałaby się przekonać

Ramone, że uciekła się do naprawdę drastycznego posunięcia. Dźgać kogoś nożem? No wiesz! To takie nieestetyczne. Trzeba było najpierw wytłumaczyć. Co? Co tu tłumaczyć? I komu? Julia z kolei w sprawach damsko - męskich kieruje się zbyt prostymi zasadami, jej obecność mogła być dla Ramony tylko i wyłącznie kojąca.

Z drugiej strony - Magda, zerkając na trzęsącą się z nieopadłych jeszcze emocji i niewyspania Ramone, wpadła nagle w panikę - co ja mogę więcej zrobić?

- Ale przynajmniej - odezwała się w końcu - miałaś swojego księcia z bajki.

- To prawda - zgodziła się z niespodziewanym spokojem Ramona - tylko że to nie była moja bajka.

Zdawało się Magdzie, że tę prostą prawdę Ramona zrozumiała już bardzo dawno temu i potrzebna jej była taka właśnie niedoprasowana koszula, żeby sprawę uciąć jednym, nomen omen, cięciem.

Spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem. Śmiały się tak bardzo, że Magda w pewnej chwili zjechała na moment na przeciwny pas ruchu. To dobre, wyły jak nastolatki, nie będzie mógł pisać wierszy! Tym lepiej dla poezji.

Roześmiane weszły do domu. Ojciec Ramony, oparty na lasce, stał pod drzwiami. Uśmiechnął się tym zniewalającym, oderwanym od świata uśmiechem Ramony, ucisnął obie niezdarnie. Ramona natychmiast wsunęła się pod koc na kanapę, a Magda zaczęła robić kanapki, zaczęła robić herbatę, zaczęła robić wszystko. Kiedy, krzątając się przy tym wszystkim po kuchni, mruknęła pod nosem, że może Ramonie w tej chwili dobrze zrobiłaby porządna setka, jej ojciec gwałtownie zaprotestował spojrzeniem, które mówiło: Tylko nie to! Cholera, zaklęła Magda w duchu, a niech mnie, mogłam się przecież domyślić po ostatnim spotkaniu u Julii.

- Może rzeczywiście... - podchwyciła natychmiast Ramona, a Magda podstawiała jej pod nos kubek z herbatą.

- To chyba nie jest dobry pomysł - zlekceważyła swój niefortunny pomysł Magda. - Alkohol roztkliwia. W twojej sytuacji... Wiesz, o czym mówię?

- Wiem - pokornie zgodziła się Ramona. - Pięknie, że przyjechałaś.

Magda ucałowała Ramonę w czoło i otuliła miękkim kocem, dodając z pogodą, że ciepły płyn i ciepły koc to niezawodne lekarstwa na wszelkie choroby, w tym także choroby duszy. Ojciec kuśtykał o lasce po pokoju i potakiwał uszczęśliwiony głową, i mówił, jak to dobrze, jak to dobrze, że skończyło się jak skończyło, nie wyobrażał sobie, jak to będzie, co to będzie, całą noc nie spał, tylko chodził od pokoju do kuchni... I na koniec całkiem niepotrzebnie dodał:

- Jak to dobrze, że ją wyciągnęłaś z tego okropnego miejsca. A Magda całkiem niepotrzebnie palnęła:

- To w sumie nie ja. To Aurelian...

Ramona w jednej chwili zerwała się spod koca.

- Co?! Był tam? Aurelian?!

No trudno, pomyślała Magda, miało być łagodnie, ale chyba nie będzie. Uklękła przy kanapie, mocno ścisnęła trzęsące się dłonie Ramony.

- Był tam! I co z tego? Wiesz, po co tam przyszedł? Wiesz, z jakiego powodu? Nie bądź idiotką. Nie teraz. On pewnie też nie spał całą noc, bo jak mógłby spać po tym, co mu zrobiłaś, i nad ranem przyszło mu do tego egoistycznego łba, że co on teraz robi bez ciebie...

- No właśnie... - jęknęła Ramona.

- Gdzie on teraz znajdzie drugą taką idiotkę, która mu wszystko wybaczy i do końca życia będzie mu prasować te cholerne koszule. Oddałaś mu pół życia, oddaj mu teraz resztę. Chcesz tego?

Ramona patrzyła na Magdę oczami gotowymi do łez, oczami bezradnego dziecka albo kotki, którą zabrano z letniego ogrodu.

- Jeśli tego chcesz, to wstań i idź do niego. Twoja cholerna sprawa!

Magda wzięła ojca Ramony pod rękę i wyszła z nim do kuchni, zatraskując za sobą drzwi. Siedzieli tam oboje niekończące się minuty, może godziny, nie odzywając się, tylko patrząc co chwila jedno drugiemu w oczy z niepewnością, z troską. Kiedy w końcu Magda ostrożnie uchyliła drzwi kuchni i wyjrzeli z niej wreszcie, Ramona spała w najlepsze, delikatnie chrapiąc.

W domu, kiedy do niego wróciła, tak jak się spodziewała, panował nieopisany bałagan. Uśmiechnęła się na ten widok.

Wykąpała się, przebrała, potem poszła na górę i zaczynając od pokoi dziewczynek, zaczęła wszystko bardzo dokładnie i bardzo porządnie sprzątać. Nie tak jak zwykle, po wierzchu, tylko bardzo dokładnie. Sprzątając tak, pozbywała się bez żalu niektórych niepotrzebnych rzeczy, z którymi zawsze żal było się rozstać, wrzucając je po prostu do wielkiego worka na śmieci. Tak też zrobiła z książką męża.

Kiedy wrócił późnym wieczorem z firmy, rozejrzał się po domu i zapytał, co się stało, odpowiedziała, że nic, co się miało stać, posprzątała po prostu porządnie, tak jak trzeba i odtąd zawsze już tak będzie sprzątać. U Ramony wszystko dobrze, przynajmniej tak było, gdy od niej wychodziła.

Odtąd wstawiała wcześniej, jeszcze wcześniej niż zwykle, szykowała dziewczynki do szkoły, męża do pracy, a kiedy w domu robiło się pusto, brała ścierki do kurzu, mlecza i płyny, szła na górę i centymetr po centymetrze wycierała z czasu cały dom. W przerwie szykowała obiad, a potem kończyła na dole i przed domem, jeśli było trzeba. Któregoś wieczora Grześ, gotowy do spania, drapiąc się po czubku głowy, spytał, czy

nie wie, co się stało z taką jedną książką, którą niedawno czytał. Odpowiedziała, że nie wie nic o żadnej książce. Ani o żadnych szczurach - chciała dodać, ale w porę ugryzła się w język.

Po tym wyjeździe do Łodzi Grzesiowi przyszło do głowy, że przydałby się im drugi samochód, tak na wszelki wypadek. Kupił więc małe auto Magdzie i odtąd woziła dziewczynki na wszelkie zajęcia pozaszkolne, a po powrocie wjeżdżała do garażu i wchodziła prosto do domu, bez narażania się na mniej lub bardziej natarczywe spojrzenia sąsiadów takich czy innych. A jeśli czasem w duszną noc nie mogła długo zasnąć, wychodziła na chwilę przed dom zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem wracała do sypialni, do męża.

Zdawało się jej czasem, że w tym porządkowaniu swego życia, w tej rutynie postarzała się o dziesięć lat, jeśli nie więcej, że straciła coś bezpowrotnie z dawnej radości życia i już nigdy tego nie odzyska. Lecz koleżanki, z którymi spotkała się tego samego lata na kolejnym spotkaniu, zaniemówiły na jej widok.

- Magda, ależ ty jesteś piękna! - krzyczały jedna przez drugą. - Nigdy taka nie byłaś.

Nie wiedziała, czy się ucieszyć czy obrazić.

- No chyba nie byłam nigdy jakąś pokraką, nie? Pewnie, że nie, ale teraz... Teraz naprawdę zakwitła, taka

kobietka, palce lizać. No, proszę - postanowiła się jednak ucieszyć - zawsze była zdania, że spokój i pogoda ducha służą urodzie; chyba się nie myliła. Potem przyjrzała się koleżankom i stwierdziła, że każda z nich wygląda dobrze. Tego samego zdania był Piotr, mąż Julii, który nie zdążył się jeszcze ulotnić.

- Coraz to jesteście ładniejsze. - Cmoknął w palce. - Szkoda, że... muszę jechać?

- Musisz. - Julia, śmiejąc się, popchnęła go w stronę samochodu. - Tylko proszę cię, nie wpakuj się znowu w jakiś nowy interes. Na razie mamy ich dosyć.

- Skąd ci przyszło do głowy, że będę się rozglądał za jakimś nowym interesem? - odparł obrażonym tonem.

- Bo robisz tak zawsze, kiedy masz za dużo czasu - Julia na to. Pocałowała go w usta i pokazała bramę.

- Przynajmniej masz normalnego męża - zauważyła Kamila, kiedy Piotr odjechał. - Mój się ogląda za coraz młodszymi.

Julia zrobiła wielkie oczy.

- Niby dlaczego miałby się oglądać za młodszymi? Przecież mnie wybrał.

Ramona, Magda i Kamila wymieniły dyskretne spojrzenia. Czasem zazdrościły Julii prostych zasad, jakimi kierowała się w życiu. Zazdrościły jej normalnego świata, tego spokoju na wsi, z dala od ludzi, z którymi zawsze są jakieś problemy. Nawet Borysa, którego dostrzegły nad stawem, też jej zazdrościły.

- To prawda - cieszyła się Julia. - Jakoś nam się ostatnio wszystko poukładało. W zeszłym roku dobrze sprzedaliśmy ryby, dochowaliśmy się sporego stada... Borys nawiązał kontakty z różnymi ośrodkami hipoterapeutycznymi... Sam przygotowuje dla nich co łagodniejsze kłaczki, trochę sprzedajemy do innych hodowli. Piotrowi udało się wyperswadować wszelkie inwestycje. Nie ma do tego głowy. Jest naiwny jak dziecko. Ostatnio parę razy zainwestował wolną gotówkę w akcje. Za każdym razem sporo straciliśmy.

Teraz na razie spokój, kontynuowała, kiedy zносиły na werandę wszystkie smakowitości, które dla nich naszykowała, najważniejsze, że Piotr się uspokoił. Zawsze było go jej mimo wszystko żal, kiedy narobił długów i przychodził do niej taki skruszony, tak przeproszał i w ogóle. Ma dobre serce,

najlepsze na świecie, po prostu nie ma farta w interesach. Jej do szczęścia niepotrzebne są jakieś ogromne pieniądze, wystarczy jej to, co ma. Wszyscy troje lubią pracować, zresztą - zatoczyła rękoma krąg dookoła - komu by się w tym miejscu nie chciało pracować? Tylko Piotra czasem coś nosi, taki jest. Wtedy mu pozwala wziąć trochę gotówki i po prostu ją przegrać. Ma naturę hazardzisty, już dawno to odkryła, i to jest najlepszy sposób na jego niepokoje. Nie ma pojęcia, w co konkretnie gra: karty, ruletka czy co tam jeszcze, i nie chce wiedzieć. Wraca nad ranem, całuje ją śpiącą jeszcze w szyję i mruczy jak kot: Tak mi dobrze szło, kotku, tak mi dobrze szło... Następnym razem wygrasz, ona mu na to prawie we śnie, a on się cieszy, że będzie następny raz. Dlaczego miałoby nie być. Wszystko jest dobre, w granicach rozsądku, i wszystko, nawet takie słabości, mają jakiś swój sens.

- Jesteś mądrą kobietą - powiedziała Kamila, a Ramona z Magdą przytaknęły w milczeniu.

Julia jakby nie zwróciła na to uwagi.

- Jakimowski też się uspokoił - kończyła temat. - Wybudował sobie wreszcie ten hotel...

- A widziałam coś takiego - przerwała jej Ramona. - Jak się do ciebie zjeżdża z głównej trasy. Piękny! To jego?

Julia przytaknęła.

- Ma nawet sporo gości. Okolice N. są piękne. Ludzie coraz chętniej szukają odpoczynku z dala od przereklamowanych kurortów. Życzę mu jak najlepiej. - Parsknęła śmiechem. - Nie bezinteresownie, ma się rozumieć. Będzie się po prostu trzymał z daleka od moich terenów. Ciągle robił jakieś podchody, teraz od jakiegoś czasu jest spokojny.

- Widziałam ten hotel - wtrąciła Kamila. - Spory. Latem rozumiem, ale kto tu przyjedzie zimą?

- Wesela, uroczystości, konferencje, spotkania biznesowe
- wyjaśniała Julia, stawiając na stole wielki półmisek smażonych ryb. - Jeśli chodzi o te ostatnie, to chyba Wiktor mu nagania sporo klienteli, tak mi się przynajmniej wydaje.

Magda uderzyła ręką w stół.

- A propos tego dupka! Myślałam, że się przewrócę, jak go zobaczyłam w telewizji...

- A ja się nawet nie zdziwiłam - wtrąciła Kamila.

- Sprzątam salon, zerkam odruchowo w telewizor, oczom nie wierzę, kto też to się płacze po Sejmie. Co by tam robił? Potem myślę: przerost ambicji i gra pozorów - idealne miejsce dla Wiktora.

Julia przytaknęła skwapliwie.

Piętnaście lat, pomyślała Magda, to chyba dość czasu, żeby się wyleczyć z każdego dupka.

- Poza obradami, tak mi się coś obilo o uszy w sklepie, przemieszkuje cały czas w Arkadii, ma tam chyba jakiś większy apartament. W N. go w ogóle nie widać, nawet u starej matki... Ludzie wszystko widzą. Mnie to akurat mało obchodzi. Niech sobie nawet mieszka u samego diabła i z nim robi interesy.

Smażone ryby, wyciągnięte tego ranka ze stawu przez Borysa, zakończyły temat Jakimowskiego i Wiktora. Julia uśmiechała się, patrząc, jak jedzą i jak im smakuje. Każda zawsze ze sobą coś przywoziła, coś specjalnego, wykwintnego, ale te ryby, wyciągnięte prosto z wody i najzwyczajniej w świecie usmażone, smakowały im najbardziej.

- Dość tego - powiedziała Julia, stawiając na stole wino. - Powiedzcie mi lepiej, co tam u was. Kamila. Magda, Ramona...

Ramona dała wzrokiem znać Magdzie, że może mówić wszystko. Magda zrozumiała, że jej samej jeszcze jest ciężko.

Widziała to od początku w oczach Ramony, jakby trochę przygasłych, nieobecnych, więc powiedziała wszystko, nic nie pomijając. Kamila wykrzyknęła w zachwycie:

- Spędziłaś noc w areszcie?!

- I nie było zbyt pięknie - wyznała Ramona nieśmiało.

- Ale że się w ogóle odważyłaś! - piała dalej Kamila.

- To nie miało nic wspólnego z odwagą, wierz mi - próbowała sprowadzić ją na ziemię Ramona. - Tylko impuls, akurat taki a nie inny, w danej chwili. Nic innego po prostu nie przyszło mi do głowy.

Kamila jakby się nagle ocknęła.

- W sumie to rzeczywiście, nie było to zbyt... Jak by tu powiedzieć...

- Eleganckie - podsunęła Julia.

- Estetyczne - dorzuciła Magda.

Tylko przez chwilę udało im się powstrzymać, potem parsknęły śmiechem.

- No co? - Kamila zrobiła obrażoną minę.

- Nic. - Magda śmiała się dalej. - Staram się sobie wyobrazić, jak ty byś to rozegrała.

- Ja bym tego nie rozgrywała - odparła od razu Kamila. - Wiecie dlaczego?

Wiedziały. Kamila by do takiej lub choćby zbliżonej sytuacji nie dopuściła.

- Ale każda z nas jest inna - podjęła Julia. - Ramona miała swojego poetę, który o mało nie zniszczył jej życia, ale za to było ono ciekawe. Ty masz swojego burmistrza...

- Którego prawie wcale nie ma w domu - dokończyła Kamila.

Magda, która wiele wiedziała o nieobecności męża w codziennym życiu, zareagowała na słowa Kamili dość gwałtownie:

- Wiedziałaś, na co się godzisz! Zawsze chciałaś mieć za męża ważniaka.

Kamila równie gwałtownie zripostowała. Chciała mieć za męża odpowiedzialnego i przewidywalnego człowieka, przy którym będzie się czuć pewnie, bezpiecznie i mieć normalne życie. I jedno dziecko, któremu podobną normalność jest w stanie zapewnić. Nie znosi chaosu, nieprzewidzianych zdarzeń, co nie znaczy, że takie się w ogóle nie zdarzają. Zdarzają się, ale w granicach rozsądku. Wszystko, co się mieści w granicach rozsądku, jest w stanie znieść. Nawet ciotka, która weszła jakby trochę zniecka w jej codzienne życie, jakiegoś specjalnego bałaganu w nim nie narobiła. Wręcz przeciwnie. Jest cicha, dobra jak anioł i zasługuje na to wszystko, co jej się na starość przytrafiło. I jest przewidywalna. Jeśli bierze się za obieranie kartofli na obiad, to Kamila wie, że obierze je za pół godziny. Tak, nawet takich banalnie przewidywalnych rzeczy potrzeba jej do tego, żeby uznać swoje życie za udane, za takie, jak sobie je wymyśliła. Niektórzy może, żyjąc w ten sposób, zanudziliby się na śmierć. Potrafi to zrozumieć. Niech sobie ktoś mówi, co chce, ona wie jedno: ma udane życie.

O drugiej nad ranem, spoglądając z salonu na werandę zasłaną delikatną sierpniową mgiełką, uznały, że wszystkie mają udane życie. Nawet Ramona, która ostatnio tyle przeszła, ale przeżyła swoją wielką namiętność. A o to jej przecież zawsze chodziło. O nic więcej.

Prawdziwe wybranki losu.

*

Ta godzina, której w rozkładzie dnia Julii Dunin nie mógł się doszukać, nie dawała Leskiemu spokoju. Im więcej czasu mijało od rozmowy z właścicielem sklepu, tym był pewniejszy jej wyjątkowego znaczenia. Usiłował ją zbagatelizować, ale się nie dało. Gdyby miał jakikolwiek inny punkt wyjścia,

próbował sobie tłumaczyć, pewnie nawet nie zawracałby sobie głowy kilkudziesięcioma minutami wyrwanymi z feralnego dnia ofiary.

Zadzwoił z komendy do sklepikarza i zapytał, czy nie pamięta, w którą stronę Julia Dunin od niego odjechała.

- No jak to w którą! - usłyszał. - Do siebie pojechała.

- Jest pan pewien?

- A gdzie mogła odjechać z całym bagażnikiem zakupów? No właśnie, pomyślał Leski, gdzie mogła pojechać?

*

- Nienawidzę hoteli - oznajmiła pod koniec czwartej doby Ramona i zaczęła się pakować.

Kamila i Magda patrzyły przez chwilę z dezaprobatą, jak wszystko wrzuca do niewielkiej torby, po czym Magda nieoczekiwanie ją poparła.

- Ja chyba też.

Jeszcze tego samego dnia przed południem, pijąc kawę w hotelowej restauracji, wszystkie jak jedna uznały, że mają wyjątkową wygodę z tym hotelem - tak blisko do Julii i o nic nie trzeba się martwić. Wszystko za ciebie zrobią, posprzątają i postawią pod nos jedzenie. Ale już w południe, kiedy wróciły od Julii, Magda zaczęła sprzątać pokój, choć sprzątaczką ledwie z niego wyszła. Wycierała nie dość wytarte kurze i układała rzeczy Ramony, zastanawiając się przy tym głośno, kto też sprząta po Ramonie w domu, że ma tak czysto. Była, widziała, więc coś na ten temat może powiedzieć. Pewnie stary, schorowany ojciec, bo któż by inny.

- A tobie co, cegła któregoś pięknego dnia spadła na głowę - zareagowała z nieznaną u niej zjadliwością Ramona - że taka się nagle zrobiłaś porządna? Pamiętam, co się działo w twoim pokoju, jak chodziliśmy do szkoły...

- To było dwadzieścia lat temu - odparła spokojnie Magda.

- Raz byłam u ciebie w domu.
- Kiedy? - zdziwiła się Magda.
- Jak byłam w Warszawie... z Aurelianem. Poszedł do wydawnictwa za swoimi sprawami, a ja nie miałam co robić, zadzwoniłam do ciebie...
- Pamiętam! - przerwała jej Magda. - To było dziesięć lat temu. Od tego czasu wiele się zmieniło.
- Ja też raz byłam u Magdy - wtrąciła Kamila. - Rzeczywiście, cały czas zastanawiałam się, gdzie mam stanąć, żeby na coś nie nadepnąć...
- Na co na przykład?! - zawrzała Magda. - Może na stertę śmieci albo jakiegoś brudu?!
- No nie, ale te zabawki, ubranka...
- Kiedy się ma czworo dzieci - cedziła przez zęby prawdziwie już rozjuszona Magda - a nie, jak co niektórzy, jedno, to chyba logiczne, że na podłodze leżą ubranka i zabawki...
- To prawda - Ramona nagle wzięła stronę Magdy - tobie, Kamila, łatwo jest mówić...
Kamila zgasiła, a właściwie rozgniotła z pasją papierosa w popielniczce i wrzasnęła:
- Wcale nie jest mi łatwo! Nic a nic! A na pewno nie łatwiej niż wam. A może nawet i trudniej pod niektórymi względami.
Magda wzięła popielniczkę z rozgniecionym petem, opróżniła ją, a potem wycierając bardzo skrupulatnie papierowym ręcznikiem, powiedziała ze spokojem:
- Jesteśmy nienormalne. Nie będę w ogóle tego komentować. Powtórzę po prostu: Jesteśmy nienormalne.
W tej chwili zadzwonił telefon z recepcji. Poproszono je, by zeszły na dół.
W jednym z kątów holu zobaczyły Leskiego, rozpartego na kanapie. Skrzywiły się na jego widok.

- Mnie też jest miło panie widzieć - powitał je, pokazując miejsca blisko siebie.

Siadając, zerkwały na niego niepewnie, ale on od razu przeszedł do rzeczy:

- Pewna rzecz nie daje mi spokoju. Może panie pomogą mi wyjaśnić...

- Spróbujemy - weszła mu w słowo Magda.

Ramona wystraszonym wzrokiem spojrzała na Leskiego.

- Wie pan może już, kto do nas...

- Nie wiem - uciął, a koleżanki spojrzały na Ramonę karcącym wzrokiem.

Ramona wyraźnie, choć może niezbyt ostrożnie, odetchnęła z ulgą, bo teraz wszyscy, Leski także, posłali jej pytające spojrzenia. Ramona wzruszyła ramionami. Leski, nie spuszczając z niej wzroku, mówił powoli i wyraźnie:

- Julia Dunin w sobotę zrobiła zakupy i wyszła ze sklepu parę minut przed dwunastą. Do domu wróciła około drugiej...

- Zgadza się - wtrąciła Magda. - Przyjechałam parę minut po. Od razu się zorientowałam, że Julia niewiele wcześniej ode mnie.

- Mają panie jakiś pomysł na to, gdzie mogła być w tym czasie?

Wszystkie wzruszyły ramionami.

- Raczej nigdzie - odezwała się Kamila. - Julia bardzo starannie przygotowywała się do tych spotkań. Musiała mieć sporo czasu...

- Wiem na pewno - zaczęła dobitnym tonem Magda - że wróciła do domu tuż przede mną...

- Berg też tak twierdzi - powiedział Leski. - Powstaje więc pytanie, gdzie, no i oczywiście z kim była w tym czasie. Pytam, bo może to mieć jakieś, jeśli nie zasadnicze, znaczenie w całej... że się tak wyrażę, sprawie.

Magda po sekundowym namyśle dodała:

- Była bardzo wzburzona... Dopiero potem, w domu, zaczęła się powoli uspokajać.

- No proszę! - triumfował Leski. - Ten mój psi nos... Gdzie i z kim...

Zadzwoiła jego komórka. Przeprosił i odszedł do okna. Słuchając, marszczył czoło, nie spuszczać wzroku z kobiet. Mruknął coś, schował telefon i wrócił do nich.

- Dzwonił sklepikarz. Przypomnił sobie, że Julia nie odjechała od razu spod sklepu. Podeszła do jakiegoś samochodu i rozmawiała z siedzącą w nim starszą kobietą. Nic więcej nie wie, wrócił do interesu, nie widział, w którą stronę Julia odjechała. Choć przy pierwszej rozmowie dawał sobie rękę uciąć, że w stronę domu.

Kamila uprzedziła pytanie Leskiego.

- Nie wiemy, z kim rozmawiała. Leski nie dowierzał.

- Na pewno? Musiała coś mówić... - zwrócił się do Magdy. - Nie tłumaczyła się pani, dlaczego tak późno...

- Nie! - odpowiedziała zdecydowanie Magda. - Nawet nie wspomniała.

Leski wstał i mamroczać pod nosem, że wiele się po rozmowie z nimi nie spodziewał, jednak miał cichą nadzieję... Gdyby sobie jednak coś przypomnieli... Przytaknęły skwapliwie, a on odszedł.

W godzinę później Ramona powiedziała, że nienawidzi hoteli, i zaczęła się pakować. Magda też. Kamila chwilę się wahała. Nie była pewna, czy to dobry pomysł, żeby zamieszkały u Julii, zamiast jej tu doglądać. Wprawdzie to tylko trzydzieści kilometrów i nic się nie stanie, jak przyjadą do szpitala raz na dwa dni, zwłaszcza że w szpitalu każdy chyba ma ich już dość. Niby wszyscy tacy mili i oczywiście nie ma sprawy, i proszę bardzo, ale prawda jest taka, że ona sama miałyby dość takich kretynek, gdyby tam pracowała. Poza tym lepiej dojrzeć gospodarstwa Julii, kiedy jej tam nie

ma. Na pewno by tego chciała. Na pewno - Ramona z Magdą przytaknęły zgodnie. Wprawdzie jest Borys, ale Borys ma konkretne obowiązki...

Magda patrzyła, jak Kamila składa każdą bluzkę i każdą spódnicę, równiutko i bardzo powoli, i układa to w eleganckiej walizeczce. Wreszcie nie wytrzymała, pozgarniała resztę rzeczy Kamili, rzuciła je do tej walizeczki i zamknęła z hukiem.

- Wynośmy się stąd - powiedziała.

Kamila nawet nie zaprotestowała. W windzie odezwała się pierwsza:

- Nigdy nie miałam nic przeciw temu, że masz czwórkę dzieci.

- Ani ja, że ty masz jedno.

- Ani ja nie jestem chyba taką bałaganiarą... - upomniała się o swoje Ramona.

- Nie. - Magda zdecydowanie pokręciła głową. - Roztaczasz wokół siebie po prostu taki artystyczny nieład.

- Z tym mogę się zgodzić - rozpromieniła się Kamila. - Co więc nam się stało?

Milczały przez chwilę.

- Znalazłyśmy się w dziwnej sytuacji - powiedziała wreszcie Kamila niepewnie.

- W nienormalnej sytuacji - dodała Magda. - Jesteśmy przerażone, bo nie wiemy, co się dzieje.

- Ktoś do nas strzelał.

- Padł tylko jeden strzał, więc chodziło tylko o jedną z nas.

- Nie wiemy kto, nie wiemy do której i nie wiemy dlaczego.

Wszystkie trzy przytaknęły. Wsiadły z windy i kiedy Kamila regulowała rachunek, kontynuowały, idąc najprostszym tokiem rozumowania.

- Mam pewne sprawy na sumieniu - mówiła Magda. - Grześ się dowiedział i uznał, że przesadziłam. Strzelał do mnie, ale nie trafił. Nie wyobrażam sobie, żeby Grześ nauczył się kiedykolwiek strzelać.

- Mój Artur chciałby być wolnym człowiekiem - mówiła Kamila. - Wie, że nigdy nie dam mu rozwodu. Postanowił mnie sprzątnąć. Tylko że wynajął jakiegoś kretyna... Nie, osobiście by tego nie zrobił. Wy tłumaczył mu, że będę w różowym sweterku. Julia go zarzuciła na siebie, jak wychodziłyśmy drugi raz na werandę. Pamiętacie?

- Aurelian sto razy groził, że mnie zabije. Tylko że ma słaby wzrok, idiota. Mamy z Julią podobne włosy...

Dziewczyna w recepcji wydała Kamili resztę, posyłając znaczące spojrzenie chłopakowi, wpatrzonemu w monitor komputera. Wymienili spojrzenia.

- Dziękujemy bardzo - zaczęła wyuczoną formułkę dziewczyna - i... i zapraszamy ponownie.

Podziękowały i skierowały się do wyjścia. Gdy tylko wyszły z hotelu i stanęły w świetle rzeńskiego popołudnia, natychmiast ogarnęło je z wątpienie.

- To głupie - zaczęła Ramona.

- Głupie i wydumane.

- Raczej aż za proste.

- No właśnie. Przez to takie wydumane. I głupie. Kamila zaczęła szukać kluczyków w torebce. Zawsze były

w jednym i tym samym miejscu: małej przegródce torebki. Tym razem ich nie było. Dzwoniły gdzieś w przepastnej torebce, ale nie mogła ich namacać.

- Nie zapominajcie - odezwała się, a jej głos zabrzmiał poważnie - że jednak ktoś do nas strzelał. Ktoś znalazł powód, wszystko jedno: prosty, wydumany czy zupełnie bez sensu. Wyobrażacie sobie, by ktokolwiek miał większy powód strzelać do Julii niż do którejś z nas?

JULIA 2007

Julia zawsze była życzliwa ludziom. Tak ją nauczono w domu. Bez specjalnej wylewności, ale i bez rzucającego się w oczy dystansu. Nigdy nie dała nikomu odczuć, że jest kimś lepszym. Nawet jeśli była lepsza. I nie chodzi o to, czy zdawała sobie z tego sprawę czy nie. Dla niej to było bez znaczenia.

Ogromnie przywiązana do Berga, który odkąd pamięta pracował u jej rodziców i był traktowany jak członek rodziny, jako pięcioletnia dziewczynka zaczęła się opiekować jego dwuletnim synem, kiedy nie było innego wyjścia. Berg, przychodząc do pracy, zabierał ze sobą jeszcze śpiące dziecko, sadzał na podłodze lub w starym łóżeczku Julii i odtąd ona się nim zajmowała. Nikt by jej takim obowiązkiem nie obarczał, gdyby nie to, że Borys wielkiej opieki nie wymagał. Wystarczyło posadzić go w łóżeczku i być w zasięgu jego wzroku. To mu wystarczyło, żeby nie płakać. Julia karmiła go i kładła spać. To były proste zajęcia. Jej rodzice i Berg pracowali ciężko i nigdy się nie skarżyli. Ona sama wcześniej nabrała szacunku do pracy. Wieczorem, jeśli dorośli byli wciąż zajęci, stawiała Borysa na swoich stopach i prowadziła do łazienki, bo to był jedyny sposób, żeby go tam zaprowadzić. Kapała go w płytkiej, szerokiej wanience, nie zważając na potworne wrzaski, kiedy piana z mydła lub szamponu dostała mu się do oczu. „Mężczyzna musi być twardy - powtarzała niezmiennie wrzeszczącej istotce gdzieś zasłyszaną formułkę. - Nie ciągnij mnie za włosy, gówniarzu”.

Wiele razy zadawała sobie pytanie, dlaczego kobieta odchodzi z domu, jak matka Borysa, zostawiając męża i dziecko, którego nie nauczyła jeszcze mówić. Przyszło jej kiedyś na myśl, że gdyby poczekała trochę, tyle, by zdążył powiedzieć do niej „mamo”, toby może nie odeszła. Wtedy usłyszała, jak rodzice mówili, że „ona” miała inne ambicje.

Nie spodobało jej się to słowo, więc nie spytała, co znaczy. Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego Borys nie poznał matki. Nigdy nie słyszała też, by Borys o to pytał.

Był zdrowy i rósł jak na drożdżach. Jak tylko zaczął chodzić do szkoły, przejął opiekę nad nią i zaczął bronić przed wszystkimi i wszystkim, nawet kiedy takiej potrzeby w ogóle nie było. Bez żadnego strachu, z prawdziwą determinacją rzucał się na starszych kolegów, jeśli tylko znalazł powód. Wystarczyło, że któryś podłożył nogę Julii na szkolnym boisku. Albo zbliżył się do niej za blisko. Był wyrośnięty i nad wiek silny. Bardzo długo trzeba mu było tłumaczyć, nim wreszcie zrozumiał, że nikt nie chce zrobić Julii krzywdy i nie trzeba jej bezustannie przed wszystkimi bronić. Wtedy większą część swej energii wyładowywał w pracy przy gospodarstwie rodziców Julii, pomagając ojcu. Lubił to, choć nigdy nikomu nie powiedział, że to lubi. Nikt go o to nie pytał. Rzadko się odzywał. Jego ojcu zdawało się, że z roku na rok coraz rzadziej.

- Ten chłopak nie zadaje w ogóle dzieciennych pytań - zdziwił się kiedyś, jakby w jednej chwili zdał sobie z tego sprawę. Dodał po chwili z takim samym zdziwieniem: - W ogóle żadnych pytań.

Matka Julii uspokoiła go wtedy, mówiąc, że widocznie wie wszystko, co jest mu potrzebne. Uczy się dobrze, dobrze się rozwija, nie ma co się roztkliwiać. Nikt się nad Borysem nie roztkliwiał.

Z czasem stosunek Julii do Borysa zaczął się powoli zmieniać. Denerwowała ją jego wszechobecna, milcząca bliskość, jego ponure, nieufne spojrzenia i szorstkość, z jaką traktował wszystko i wszystkich. Ale że bardzo ceniła jego ojca za ciężką pracę i lojalność, ceniła także Borysa.

Ze wszystkimi ludźmi żyła w zgodzie, jednych lubiła mniej, innych więcej, jednak jeśli był ktoś, do kogo czuła wręcz nabożny szacunek, to Marzanna M.

Julia była prawdziwą wybranką losu. Wychowana wśród dobrych, zwykłych ludzi, w pięknym miejscu, ładna i inteligentna, prawie ideał, zawsze doceniała i szanowała inne doskonałości. Marzanna M., od pierwszej klasy wygrywająca wszystkie olimpiady biologiczne, chemiczne i fizyczne, była szkolnym geniuszem. Dla niej nie było żadnej skali, żadnej bariery w nauce, chłoneła wiedzę na każdym kroku, przyswajała ją sobie w jakiś nieprawdopodobny sposób, nim zaczęto ją jej wpajać.

Marzanna M., o której dyrektor liceum powiedział, że nie było, nie ma i chyba nigdy nie będzie w N. takiego umysłu, i wróżył jej wielką przyszłość, była kimś naprawdę wyjątkowym. Ona sama zamierzała zgłębiać astrofizykę. Lub biotechnologię. Lub jedno i drugie. Może jeszcze genetykę. Ale tak naprawdę, z całego serca, poświęci się przede wszystkim paleontologii.

Do tego była niebrzydka i smukła. Z krótką, gęstą czupryną wyglądała jak chłopiec. Z chłopcami też przeważnie się zadawała, ale nie ze względu na pociąg seksualny (zdawać by się mogło, że na ten jeden jedyny temat Marzanna M. wie bardzo niewiele). Na dłuższą metę nużył ją brak jakiegokolwiek logiki w dziewczęcym zachowaniu i pojmowaniu świata.

Julia już w pierwszej klasie próbowała zwerbować Marzannę do ich paczki, ale nigdy jej się to w pełni nie udało. Owszem, Marzanna szła z nimi nieraz na ciastka do cukierni lub od czasu do czasu przenocowała u Julii, jeśli na przykład była śnieżycą i pojawiał się jakiś problem z dotarciem do oddalonego o dwadzieścia parę kilometrów od N. domu, ale za każdym razem na koniec zaczynała się potwornie nudzić i szukała odosobnionego kąta, gdzie mogła się zaszyć z książką.

Ramona, Magda i Kamila nie szukały jej towarzystwa, choć na krótko potrafiły je zaakceptować. Ona była dla nich za dziecinna, one dla niej za dorosłe. Tylko z Julią potrafiły odnaleźć kawałek wspólnego świata i nie zanudzić się w nim na śmierć.

Marzanna M. wiązała swoją przyszłość z nauką. Interesował ją świat, który jest i który dawno przeminął. Odnajdywanie przeszłości człowieka na afrykańskich równinach było jej największym marzeniem. Kiedy o tym mówiła, Julii zdawało się, że ona już tam jest, istnieje z dawnymi ludźmi, w dawnym świecie, a w tym znalazła się tylko przypadkiem. Wujek w Stanach, który bardzo starał się o to, by jedna z amerykańskich uczelni ufundowała dla niej stypendium, miał jej w spełnieniu największego marzenia dopomóc.

Co Marzannę M. mogły obchodzić dziewczęce pogaduszki o ciuchach lub chłopcach, a i sami chłopcy zresztą też? Poza wszystkim innym była od swych kolegów i koleżanek o dwa lata młodsza.

Dlatego to, co się stało w dniu rozdania matur, powaliło Julię na kolana i odebrało chęć życia na długie miesiące. W dwie rzeczy nie mogła uwierzyć: że to właśnie Marzanna M. i w swoją własną głupotę. Nienawidziła siebie za to, że tak celebrowała pewną naturalną czynność, do której jej koleżanki podeszły tak, jak właśnie należało do niej podejść: spontanicznie i bez ceregieli. Magda śmiała się w głos, kiedy chłopak, z którym miała swój pierwszy raz, okazał się (wcześniej jakoś tego nie dostrzegła) nieprawdopodobnym kretyńcem. Co tam, mówiła, przynajmniej znał się na rzeczy, żyje się raz, a potem umiera. Ona nie! Ona uparła się, że to ma być coś wyjątkowego, w takim a nie innym czasie, z tym a nie innym chłopcem.

Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł ten dzień, dziewczyny rozszyfrowały ją od razu.

- Julia - zagadywały jedna przez drugą - oczy ci błyszczą. Skąd te rumieńce, przecież nigdy się nie rumienisz. Nie chcesz nam chyba powiedzieć, że... Nie, no, dziewczyny, słuchajcie, ona ma zamiar TO zrobić.

Parsknęła śmiechem, żeby im pokazać, że nie jest jeszcze taką ostatnią idiotką, a one, śmiejąc się, ubłagały, że odprowadzą ją pod same drzwi. Co tam, machnęła ręką, niech będzie, mając nadzieję, że dzięki temu wariactwu cała sprawa przestanie być tak śmiertelnie poważna.

Kilkadziesiąt metrów od bloku Wiktora minęły się z Ryszardem Jakimowskim, który - tak im się zdawało - odwrócił się, gdy je zobaczył, i oddalił w jakimś nieprawdopodobnym pośpiechu. Wtedy coś jej kazało się zatrzymać i być może nawet by stchórzyła, zawróciła i odeszła, ale dziewczyny za dobrze się bawiły. No dalej, mała, nie bądź dzieckiem, w końcu to takie nic. Poszła dalej, dodając sobie otuchy. Rzeczywiście, moment i po wszystkim, w końcu zdała egzamin dojrzałości, a to do czegoś zobowiązuje. Przestanie wreszcie słuchać jak ciele, kiedy mówią o tych rzeczach.

Ale kiedy były już na klatce, Ramona powiedziała nagle:

- Słuchaj, Julia... On nie jest tego wart. Odwróciła się, a one jak jedna przytaknęły.

- Nie - powiedziała - za daleko już zaszłam. W końcu to nic...

I otworzyła drzwi. Naprzeciw nich w sypialni siedziała na podłodze Marzanna M. zawinięta w prześcieradło, ściskająca je jakoś tak kurczowo na szyi. Odwróciła się i wtedy dostrzegły w ułamku sekundy w jej oczach coś dziwnego. Coś, czego nigdy nie mogły zrozumieć. Z łazienki wyszedł

prawie nagi Wiktor. Odwróciły się i zbiegły po schodach w dół.

Z biegiem lat wszystko zbladło i stało się tylko beznadziejnie szczenięcym przeżyciem, błędem, który nawet niczego nie nauczył. Wszystko oprócz Marzanny. Wspomnienie Marzanny zawiniętej w prześcieradło bolało zawsze.

Ale wtedy bolało wszystko i od wszystkiego chciała uciec. Jak najdalej. A najbardziej od siebie. W dzieciństwie przed wszystkimi problemami uciekała do domku letniego na grobli. Teraz też. Zwinęła się na wąskiej leżance jak kot i leżała tak do północy. Po północy zjawił się Borys i pochylił nad nią. Chciała powiedzieć: Spadaj, gówniarzu, ale nim zdążyła powiedzieć cokolwiek, on rozerwał jej rękę i zarzucił je sobie na szyję, a nogi owinał wokół swoich bioder. Zginęła w nim, jak ptasie pióro ginie w zamkniętej dłoni, taki był wielki ten szesnastoletni Borys. Zamknął ją w sobie bez jednego słowa i bez zbędnych gestów. Nie chciała się od niego oderwać długo, bardzo długo. Nie mogła uwierzyć, że jest najprawdziwszym i jedynym na świecie mężczyzną.

Nad ranem wyszła i nie wróciła do niego nigdy więcej.

Po egzaminach na Akademii Rolniczej wyjechała z Kamilą do jej rodziców we Francji. Prowadzili w Paryżu szkołę tańca i wiodło im się średnio, ale nie najgorzej. Starali się więc jak mogli wynagrodzić Kamili to, że ją tak zostawili na pewnym etapie życia, wymyślając najrozmaitsze atrakcje i nie żałując pieniędzy. Kamila z właściwą sobie powściągliwością wzruszała ramionami na te wszystkie zabiegi. Jakby jej wielką krzywdę wyrządzili w życiu, mówiła, pochłaniając wzrokiem uginające się od towarów półki sklepowe.

Kamila wróciła z tej wycieczki bogatsza o parę eleganckich ubrań, Julia o wiedzę, czym jest prawdziwa

tęsknota. Za domem, za stawami, rzeką i rozległą płaszczyzną łąk. Ta tęsknota towarzyszyła jej przez kolejnych pięć lat. Wakacje nie były żadnym wytchnieniem - przypominały tylko, że zaraz się skończą i będzie kolejny rok bez tego, co jest jej prawdziwym życiem.

Kiedy więc Piotr zaczął snuć plany o stadninie koni z prawdziwego zdarzenia, postanowiła wyjść za niego.

W tym samym dniu, w którym miały swoje pierwsze od matury spotkanie, pokazała mu cały swój świat, a on, przesłaniając oczy od słońca, patrzył na te łąki pełne życia i mówił, że będzie nam tu dobrze, kotku. I te możliwości... Nie zastanawiała się nigdy nad możliwościami takimi czy innymi. Wszystko było w jej sercu - zamierzała tu żyć, ale nie wegetować, więc pewne sprawy rozumiały się same przez się.

Rodzicom spodobał się Piotr i jego wielkie plany. Po południu wynieśli się dyskretnie do ojca Borysa, ale Borys miał jeszcze wiele do zrobienia, więc wszystko widział i na wszystko patrzył.

- Po co go tu przywiozłaś? - zapytał wprost, kiedy zostawiła na moment dziewczyny na werandzie.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Borys...

- Czekałem na ciebie pięć lat - powiedział.

- Mówisz tak, jakbym się gdzieś zgubiła.

- Bo zgubiłaś się. I chyba się już nie odnajdziesz. Pięć lat to dość, żeby stracić cierpliwość. Nawet ze mną przez tych pięć lat nie porozmawiałaś.

- O czym mieliśmy rozmawiać?

- O tym, jak pewnego dnia szukałaś we mnie zapomnienia. Chciała go uderzyć, ale jej nie pozwolił.

- Nie szukałam zapomnienia - powiedziała cicho. - Nic nie wiesz. Kompletnie nic nie wiesz.

- Rób, co chcesz. Ja wyjeżdżam - rzucił.

I wyjechał. Na niekończące się pytania ze strony rodziców, czy nie wie nic na temat tak nagłego wyjazdu Borysa, odpowiadała, że nie wie. Skąd ma wiedzieć. Natomiast jego ojciec powiedział: No i dobrze. Niech chłopak spróbuje się gdzieś odnaleźć.

Ona życzyła mu tego z całego serca.

Po ślubie miała dość pracy i za wiele spraw na głowie, by o pewnych sprawach w ogóle myśleć. I nie myślała. Rodzice dali im wolną rękę. Powiedzieli, że nie będą się wtrącać. Mogą co najwyżej pomagać. Pomagali. Znaleźli też wreszcie czas na to, by odwiedzić swego syna, brata Julii, w Szwecji.

Julia miała co robić od rana do nocy - i dziękowała Bogu, że ma co robić. Na wstępie wytłumaczyła mężowi, że ona nie ma najmniejszego zamiaru hodować koni na karmę dla psów, więc trzeba od razu pomyśleć o zwierzętach półkrwi przynajmniej, trzeba pomyśleć o porządnym stajniach i ogrodzeniach. Piotr był w gorącej wodzie kąpany, chciałby mieć wszystko od razu i od razu najlepiej jakies z tego pieniądze. Dziwił się bardzo, ile to trzeba pracy włożyć we wszystko i ile to się trzeba namyśleć, żeby to i tamto wyszło jak należy. Julia i ojciec Borysa wiele tygodni grodzili łąki, które miały służyć za wybieg dla koni. Resztę łąk, z których zwierzęta miały mieć siano na zimę, trzeba było skosić, żeby nie zarosły zielskiem, nie zdziczały. Doprowadzili do porządku starą stajnię, w której jeszcze dziadek Julii hodował konie, ale to było za mało. Pojechali do składu budowlanego i kupili materiał na następną. Cały też czas była praca przy stawach: wpuszczanie narybku, karmienie, koszenie grobli, odławianie... Z ojcem Borysa rozumieli się bez słów, wiedziała, co będą robić dziś, co jutro. Jego pomysły i sugestie zawsze były po jej myśli. Nigdy nie rozmawiali o Borysie; on nic nie mówił, ona nie miała odwagi pytać. Rozmawiali tylko o pracy. Zawsze było jej dużo. Julia chciała, żeby tak było

zawsze. Po to się urodziła w tym miejscu i po to w nim wyrosła.

Nie wiedziała, kiedy minęła jedna zima i następna. Piotr pomagał, jak mógł, a właściwie jak umiał. Ulubionym jego zajęciem było wymyślanie, co by tu jeszcze można było zrobić i jak zainwestować gotówkę, która leniwie czekała na konkretną inwestycję. Nie mógł wytrzymać, że w ogóle jakieś pieniądze są i czekają. Ile to już można by na niej w międzyczasie zarobić. Julia ze stoickim spokojem gasiła jego zapędy, tłumacząc, że nie ma ani ambicji, ani pojęcia o obracaniu w taki czy inny sposób gotówką. To, co jest pewne, zawsze będzie pewne. Ale on ma! Niech mu tylko pozwoli, a sama się przekona. Są najrozmaitsze możliwości, żeby zarobić. Potrzeba tylko dwóch rzeczy: gotówki i odwagi.

Którejś soboty zabrał ją do jedynej dobrej knajpy w okolicach N. Bawili się całą noc. Wszyscy. Potem Piotr zapłacił rachunek, na widok którego Julia zbladła. Skąd wziął pieniądze? Wygrał. Wygrał dla niej. Żeby mogła się zabawić, zaszaleć - należało się jej. Nie chciała uwierzyć, że można uczciwie wygrać tyle pieniędzy. Otulił ją płaszczem w taksówce, która wiozła ich do domu, pocałował.

- A co to za pieniądze, kotku. Jeśli się siada do gry to wiadomo, że ktoś przegrywa, a ktoś wygrywa. Wygrałem, widzisz? Uczciwie. A ty mi ciągle nie ufasz.

Zaufała mu, powierzając wszystkie pieniądze, które tej zimy zarobili na rybach. To był dobry rok na ryby.

- Zainwestuj - powiedziała - jeśli sądzisz, że to takie proste.

- Dziecinnie proste - on na to. - Przekonasz się.

Nie spodziewała się rewelacji ani też nie liczyła na nie. Chciała tylko, żeby poczuł się jak jej partner, chciała mu zaufać. I wołała to, niż żeby grał. Do gry, żeby była nie wiadomo jak uczciwa, nie miała zaufania. Piotr za namową

jednego ze swych licznych przyjaciół zainwestował w chińską galanterię papierniczą, która miała przynieść czterokrotny zysk. Może by i przyniosła, gdyby udało się ją sprzedać. Po fakcie okazało się, że nie ma na to wszystko legalnych papierów.

- Jedno małe niedopatrzenie, kotku - tłumaczył się żałośnie. - Gdyby nie to, bylibyśmy już prawie bogaci.

- Nie chcę być bogata, Piotr - ucięła z kamienną twarzą Julia. - To, co mam, wystarczy mi w zupełności do szczęścia. Tylko żeby to było pewne.

- Będzie, kotku. Następnym razem będę mądrzejszy

Nie będzie następnego razu, chciała mu powiedzieć, ale uznała, że to nie ma sensu. I rzeczywiście nie było. W jakiś czas później, podczas zakupów w N., spotkała Gabriellę, a ta życzliwie ją poinformowała, że jej chłopak, który od paru miesięcy jest w Centralnej kelnerem, widuje regularnie Piotra, jak znika w dyskretnej salce na zapleczu, gdzie tylko szef ma prawo wejść i paru zaufanych gości.

- Piotr mnie zdradza?! - Julia wołała od razu nazwać rzecz po imieniu, chociaż nie mogła uwierzyć. - Niemożliwe.

- Zdradza?! - Gabriela parsknęła śmiechem. - Nie ma w okolicy bardziej zakochanego męża. Wystarczy, że się pojawi gdziekolwiek, a nie mówi o niczym...

- Więc co, jeśli nie to?! - przerwała ze zniecierpliwieniem Julia, bo nie miała ochoty wysłuchiwać od Gabrieli pewnych rzeczy.

- Grają w karty.

- Na pieniądze?

- No a jak? Nieźle sumki tam się podobno w jeden wieczór przegrywa.

Julia nic więcej nie chciała wiedzieć. Wróciła do domu, zrobiła kolację, usiadła naprzeciw męża i zapytała:

- Kochanie, obito mi się o uszy, że grywasz sobie czasem w karty. Nic się nie chwaliłeś, ile do tej pory wygrałeś, nie zaprosiłeś do knajpy, żebym się zabawiła, ani nic takiego...

Piotr roześmiał się sztucznie i pogroził palcem.

- Wypytywałaś o mnie? Nieładnie tak mężowi nie ufać.

- Nieypytywałam! Ktoś mi powiedział. Więc ile wygrałeś, pochwal się.

Piotr w jednej chwili spowaźniał.

- No właśnie, że nie, kotku... Jakoś nie miałem szczęścia.

- Widząc jej minę, dodał ze sztucznym entuzjazmem: - Jak to mówią, raz się wygrywa, raz przegrywa. Następnym razem...

- Nie będzie następnego razu - ucięła krótko Julia.

Nazajutrz pojechała do banku i nie zdziwiła się, że stan konta nie jest taki, jaki powinien być. Zdziwiła ją tylko wysokość brakującej kwoty. Jadąc do domu, co chwila kładła głowę na kierownicy, całą siłą woli panując nad tym, by raz porządnie w nią nie uderzyć. Nie mogła uwierzyć, że to prawda, że aż tyle, że to jej mąż. Może jestem po prostu małostkowa - próbowała go mimo wszystko bronić. Może rzeczywiście trzeba sobie raz w życiu pozwolić na odrobinę szaleństwa, nawet bezmyślności, może będzie łatwiej. Można sobie pozwolić na wszystko - poprawiała się zaraz w myślach - ale nie można drwić z własnej ciężkiej pracy.

- Wiesz, co powinnam teraz zrobić? - zagadnęła w domu do Piotra. - Powinnam iść do banku i anulować twoje upoważnienie do korzystania z mojego konta.

Przyznał jej rację.

- Ale nie zrobię tego, bo jesteś moim mężem. Mam nadzieję, że potrafisz to docenić.

Narwał kwiatów na łące i przeproszał ją, mówiąc: „Tak cię kocham, kotku, tak cię kocham... I taki głupi jestem, wybacź”.

Przez długi czas nie mogła mu nic zarzucić. Wstawał rano i pogwizdując, szedł z ojcem Borysa kosić groble nad

stawami, a wieczorami sam targał wory ze zbożem i karmił ryby. Od czasu do czasu wyrwało mu się coś w stylu: „Wiesz, kotku, Mariusz, ten mój kumpel z liceum... pamiętasz?... kupił dziesięć tysięcy dolarów, poczekał parę miesięcy, sprzedał... Wiesz, ile zarobił?”. Uśmiechała się do niego, całowała w policzki i mówiła, że niczego im nie brakuje. I tak mają dużo, o wiele więcej niż inni. Najważniejsze, żeby byli razem i cieszyli się tym, co jest.

- No tak, kotku, ale przecież zawsze można mieć więcej.

- Zawsze - zgadzała się.

Było lato. Cieszyła się tym, że jest lato, że kupili pierwsze konie. Widok koni pasących się na łąkach, które własnymi rękoma ogrodzili, cieszył oko i serce, chociaż Piotr co jakiś czas dogadywał, że po co to się tak rozdrabniać, przecież można było wziąć kredyt, kupić od razu stado i mieć z tego szybciej jakieś konkretne efekty. Widziała jednak, że jego też to cieszy, i uspokoiła się: nie przywiązywała już takiej wagi do jego nerwowych spojrzeń, gestów i zachowań, kiedy przychodził wieczór, zrobili już wszystko, co mieli do zrobienia, i pozostała im tylko radość z przebywania ze sobą. Wtedy brał talię sfatygowanych kart i przetasowując ją w dłoni, wychodził na werandę i patrzył. Podchodziła, kładła głowę na jego plecach i trzymała ją tam tak długo, dopóki nie powiedział, że ją kocha, że tyle już razem zrobili i byłby głupi, gdyby nie potrafił tego docenić i szukał nie wiadomo czego. Czego ja jeszcze mogę szukać, kotku?

Uspokoila się. Uwierzyła, że i on się uspokoił. Chciała w to wierzyć. To lato miało być piękne. Rodzice wracali po dwóch latach ze Szwecji. Stęskniła się, ale i jak najszybciej chciała się pochwalić, co zrobili z Piotrem i co jeszcze zamierzają zrobić.

Ojciec Borysa wyjechał po nich do Świnoujścia. W drodze powrotnej, dwadzieścia kilka kilometrów za Poznaniem, tir

zjechał ze swojego pasa i uderzył w ich auto, nie dając szansy na jakikolwiek manewr. Ojciec Borysa umarł w drodze do szpitala, rodzice zginęli na miejscu.

Julia pół dnia przetrząsała dom Borysa, nim wreszcie znalazła kartkę na ostatnie święta z niewyraźnie napisanym telefonem na samym dole. Zadzwoiła, ale nie pamięta, co mówiła.

Borys zjawił się po kilku godzinach. Stała na grobli, kiedy podszedł. Wziął ją bez słowa w ramiona, ona bez słowa w nie weszła. Ukłękli na grobli i klęczeli tak długo bez żadnych słów, bez łez. Piotr podszedł w pewnym momencie i patrzył na nich niepewnie, w końcu zapytał, czy może im coś zrobić do picia.

Po pogrzebie, z którego Julia pamiętała tylko to, że były trzy trumny, dwa otwarte groby i nic więcej, Borys zarzucił brezentową torbę na ramię i wyszedł na drogę. Julia zawołała za nim. Poczekał. Podeszła i powiedziała:

- Borys, proszę cię, nie zostawiaj mnie samej.

Patrzył jej długo w oczy, w końcu odezwał się niskim głosem:

- Masz... męża.

Pokręciła głową rozpaczliwie.

- To dziecko. To tylko dziecko.

Pochyliła głowę, zakryła twarz rękoma i stała tak, sama nie wie jak długo. Kiedy oderwała ręce od twarzy i uniosła głowę, zobaczyła, że Borys zawraca w stronę swojego domu. Nie odwracając się, powiedział głośno:

- Przyjdę jutro koło szóstej, zajmę się końmi. Nie wstawaj, wyśpij się. Powinnaś się wyspać.

Spała rok, nawet trochę dłużej. Kiedy się obudziła, Borys zwoził siano do stodoły, a po łące biegały wśród kłaczy cztery małe źrebaki. Piotr wyszedł ze stajni z widłami, cały oblepiony słomą. Zerknął na przyczepę pełną siana, którą

Borys wjeżdżał do stodoły, otrzepał się i idąc do domu, zagadnął do Julii:

- Tego siana jest w tym roku tyle, że konie nie przejedzą. Można by wziąć jakiś bezpieczny kredyt...

- Piotr... - odezwała się cicho.

- ...dokupić klaczy, a na drugi rok byłoby tyle źrebiąt, że zarobiłyby na wszystko.

- Piotr...

- Kumpel z Akademii... ten rudy, Sławek... Pamiętasz?... bierze wszystko jak leci, do hodowli, nie na karmę dla psów, nie bój się. Co?

- Która godzina?

- Po czwartej parę minut.

Spojrzała na słońce i wiedziała - bo wstydziła się zapytać - że to drugie siano, nie pierwsze, koniec sierpnia, początek września najdalej. Weszła do domu, pootwierala wszystkie okna i drzwi na oścież, potem zamiotła werandę i ścieżki wokół domu i zrobiła kolację. Kiedy usiedli obaj przy stole, oparła się o parapet, uśmiechnęła i patrzyła, jak jedzą.

Ten półsen, albo może inaczej letarg, który litościwie na nią spłynął, to była najlepsza rzecz, jaka wtedy mogła ją spotkać. Przespała najgorszy ból i największą niemoc. Teraz, patrząc, jak Borys od rana do nocy krząta się przy stadninie, przy stawach, przy całym obejściu, pomyślała, że pora wrócić do życia, otrząsnąć się i ulżyć temu chłopakowi przynajmniej w konieczności podejmowania określonych decyzji. Była pewna, a wkrótce przekonała się, że przez ten czas Borys zapanował nie tylko nad całym gospodarstwem, ale i nad nieprzemyślanymi najczęściej zapędami jej męża. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę dowiadywała się, że Piotr nie szukał szczęścia w szybkich inwestycjach, nie grał, tylko pomagał Borysowi, a obaj razem wyręczali dodatkowo we

wszystkim Julię, która w tym czasie nie nadawała się do niczego.

Wtedy pomyślała, że najgorsze ma już za sobą. Mąż się uspokoił i nabrał rozumu, gospodarstwo w wolnym, ale przyzwoitym tempie stawalo na nogi. Śmierć bliskich też już jej nie dosięgnie, bo to już się stało. W tym roku dobrze sprzedali ryby, a Borys nawiązał kontakty z ośrodkami jeździeckimi, które na gwałt potrzebowały ładnych, ułożonych koni z dobrych hodowli. Wszystko nabierało konkretnych kształtów. Widać było namacalne efekty ich ciężkiej pracy ale przede wszystkim perspektywy, że będzie jeszcze lepiej. Przyjemnie było wstać rano, zabrać się do pracy pić kawę przed południem na werandzie, patrzeć na konie, na stawy i łąki, przyjemnie było cieszyć się po prostu życiem.

Julia cieszyła się życiem, z dnia na dzień nabierając przekonania, że tak już będzie zawsze. Nie zaniepokoiły jej nawet nieobecne, dalekie spojrzenia męża i jego palce wybijające nerwowe takty na blacie stołu. Pogodziła się z tym, że jej mąż ma duszę hazardzisty i to już się chyba nie zmieni. Kiedy wokół wszystko grało, łatwo było jej się z tym pogodzić. Któregoś wieczora stanęła obok Borysa, który siedział ze swoim psem na grobli, i zapytała, co Borys myśli o tym, żeby dać od czasu do czasu jakieś pieniądze Piotrowi, niech sobie je nawet przegra, jeśli nie może bez tego żyć.

- Mnie czy ciebie cieszy co innego - mówiła. - Patrzę na niego czasem i myślę, czy jest tak samo jak ja szczęśliwy.

- Każdy jest szczęśliwy na swój własny sposób... - zaczął Borys.

- Powiedz po prostu, co o tym myślisz - przerwała mu Julia z lekkim napięciem w głosie. - Gdybym była pewna swojej decyzji, nie pytałabym cię o nic.

Borys pochylił głowę i przez chwilę bawił się uchem psa.

- Myślę - odezwał się po chwili - że to jest jakieś wyjście.
Z drugiej strony...

- Z drugiej strony? Borys, na litość boską, znamy się od dziecka. Powiedz mi po prostu, co o tym myślisz.

- Pytasz, bo się boisz, że w ten sposób ustawisz swego męża w mało partnerskich relacjach.

- Widzę, co się z nim dzieje, jak go nosi... Jest mi go zwyczajnie żal. Co mam zrobić?

- To, co zamierzasz. To jedyne wyjście.

- Nie mogłeś mi od razu tego powiedzieć?

- Mogłem. Chciałem tylko ci...

- Pewne sprawy uświadomić. Nie uświadomiamy sobie nic, Borys. Ja wiem i ty wiesz. Dzięki za radę.

Szła do domu i była przerażona tym, co zrobiła, i tym, co ma jeszcze zrobić. Mężczyzna, którego zostawiła na grobli, którego kapała, gdy był dzieckiem, i widziała, z małymi wyjątkami, każdego dnia przez całe życie, znał ją i czuł tak samo jak ona. Mężczyzna, do którego szła, obok którego budziła się każdego ranka i każdego wieczora zasypiała, był tylko jej mężem.

Za każdym razem, kiedy w mniej lub bardziej delikatny sposób zostawiała dla niego pieniądze, żeby - jak to mówiła - miał na swoje potrzeby, czuła się niezręcznie, żeby nie powiedzieć podle. Za każdym razem coraz mocniej wykluczała go ze swego życia, zdradzała i poniżała w jakiś sposób. Najgorzej czuła się wtedy, gdy wracał na drugi dzień i mówił: Kupiłem sobie to i to, kotku. Ale nic sobie nie kupował. Szczęście opuściło go do tego stopnia, że ani razu nie wygrał, po to choćby, żeby zabrać ją do restauracji za „własne pieniądze”, żeby bawiła się i szalała całą noc, a on żeby się wtedy cieszył. Nie wygrał, bo nigdy nie wiedział, kiedy skończyć. Nie umiał wyczuć, kiedy odejść od stolika z

twarzą, z małym kawałkiem szczęścia zanieśionego do domu nie dla siebie, tylko dla niej.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że zrobiła to nie po to, by on się lepiej czuł, bo wcale lepiej się nie czuł - był coraz bardziej nerwowy, coraz częściej uciekał od niej wzrokiem i coraz częściej chciał „próbować szczęścia” - tylko po to, by nie czuł się jeszcze gorzej, gdyby doszło do sytuacji, w której nie potrafiłby się powstrzymać i nie zaczął znów sam wybierać z konta.

Wszystkie te wyrzuty sumienia ulotniły się pewnej lipcowej nocy, kiedy fala powodziowa przetoczyła się przez stawy. Prosiła od rana Piotra, aby nigdzie nie jechał, bo już od paru dni szykował się na jakiś wyjazd, nie wiadomo gdzie i po co, wiedziała tylko tyle: „mam nagrany taki interes, kotku”. Zbagatelizował jej obawy, komunikaty i relacje z zatopionych terenów, podawane w mediach. Przecież sama mówiła, że nie tylko ojciec, ale także dziadek całe życie hodowali ryby i nigdy nie było takiej powodzi, żeby coś stracili.

Potem całą noc z Borysem desperacko, po szyję w wodzie, w niekończącym się deszczu próbowali łątać groble, nie dopuścić za wszelką cenę, żeby choć w jednym miejscu puściły, a nad ranem zrezygnowani patrzyli, jak fala przetacza się przez stawy, wypełnia je, przerywa groble, czemu nie mogli już zapobiec, i zabiera ze sobą wiele miesięcy ciężkiej pracy.

Borys nie skapitulował do końca, uratował, co się dało. Ona w pewnym momencie machnęła ręką, bo już nie miała siły, i powiedziała, że z naturą nie zamierza walczyć. Nie wpadła w czarną rozpacz, nie biadoliła nad tym, co się stało. Trudno - mówiła, niosąc Borysowi, który wciąż walczył z żywiołem, termos z herbatą - taka jest kolej rzeczy, wszystkiego nie straciliśmy, a to już jest dobrze. Najważniejsze, że są pieniądze na koncie. Miały być na co

innego, ale pójdą na wiosenny narybek, bo z tego, co zostanie w stawach, na pewno w grudniu nie zarobią tyle, żeby starczyło.

Tylko że pieniędzy na koncie już nie było. Piotr wrócił następnego dnia zadowolony, z uśmiechem od ucha do ucha i powiedział:

- Był złoty interes, kotku, to wykorzystałem szansę. Nie mówiłem ci, bo wiem, jaka jesteś ostrożna.

- Co to za interes, kotku? - zapytała Julia grobowym głosem.

- Dowiedziałem się o likwidowanej hodowli... Piękne, rasowe koniki, po okazyjnej cenie. Od ręki można zarobić, nawet gdybyśmy zdecydowali się ich nie chować... Co tu się właściwie dzieje?

Rozejrzał się dookoła i zobaczył, co się dzieje. Woda podchodziła pod dom i była wszędzie. Na kilku stawach tylko widać było zarysy grobli, reszta zlewała się w jedną wielką taflę. Julia odgarnęła włosy z czoła i powiedziała łagodnym głosem:

- Raczej nie będziemy ich chować... Nie da rady.

- Dlaczego?! Zobaczysz, jakie piękne, jak je przywiozą. Niektóre już żrebne. Na przyszły rok doczekamy się...

- Co im dasz jeść, do cholery?! - nie wytrzymała Julia. Zakryła twarz dłońmi i usiadła na schodach werandy. - Widzisz, że wszystkie łąki są pod wodą i drugi pokos można sobie darować? Nie wiem, czy starczy siana dla tych, co mamy.

- Kupimy siano...

- Za co? - spytała i odeszła.

Konie trzeba było sprzedać. I bez spodziewanego przez Piotra zysku - okazja wcale nie okazała się taką okazją - tak że pieniądze nie wróciły na konto.

Julia całą zimę chodziła z zachmurzonym czołem, ale nie z powodu strat, jakie ponieśli, bo z pewnymi stratami - jak mówiła - w gospodarstwie trzeba się od czasu do czasu liczyć, ale z powodu Piotra. Piotr, widząc jej zachmurzone czoło i nie mając już nadziei na odrobinę choćby zaufania (tego zaufania, na którym tak bardzo zawsze mu zależało) z jej strony, zaczął popijać od czasu do czasu. Przeważnie przy kartach. A że za każdym razem przegrywał, popijał. Pił i grał. Grał i pił.

- Musi od czasu do czasu coś wygrywać - mówiła Julia do Borysa. - Inaczej skąd by miał na kolejną grę.

Borys wyraził swą opinię lakonicznie, jak to Borys, ale konkretnie: powinna się przyjrzeć kontaktom swego męża z Jakimowskim. Z Jakimowskim? Z Ryszardem Jakimowskim?! Nie wierzyła.

- Borys, na litość boską, nie może być aż tak źle! Nasze życie to chyba nie jest jakiś cholerny thriller, w którym bohater brnie z godziny na godziny, z chwili na chwilę w to, co najgorsze może go spotkać.

Borys nie starał się nawet tłumaczyć.. Kiedy zapytała któregoś dnia, skąd ma sińca na policzku i podbite oko, powiedział, że Szejk na niego skoczył, uderzył się w coś, nawet nie pamięta w co.

- Przecież Szejk - zdziwiła się - to najłagodniejszy na świecie ogier.

Wzruszył ramionami i nie zamierzał się tłumaczyć. A Piotr pił i grał. Do tamtej nocy, gdy olbrzymie drzewo stanęło mu na drodze, kiedy wracał samochodem do domu. Julia nad grobem, kiedy już wszyscy odeszli, powiedziała:

- Wiem, że chciałeś dobrze, kotku.

Nie płakała, choć bardzo jej się chciało płakać.

- Mam wrażenie - odezwała się w drodze do domu - że samochody pojawiły się na świecie tylko po to, żeby zabrać wszystkich moich bliskich.

Kilka dni później dowiedziała się, że Piotr zostawił po sobie olbrzymie, jak na ich warunki, długi. To nic, mówiła jak w transie, chodząc po werandzie w tę i z powrotem, damy radę, wszystkiemu damy radę. Jeśli tylko będzie spokój...

Potem dowiedziała się, że większość długów Piotr zaciągnął u Jakimowskiego, co ten miał skrupulatnie udokumentowane. Wtedy przypomniała sobie sińce na twarzy Borysa i podbite oko i zrozumiała, że pewne sprawy próbował powstrzymać, ale mu się nie udało. Bo był tylko Borysem, człowiekiem, do którego nic na tym świecie nie należy.

- Gdybym nie miała tych wszystkich długów - odezwała się do niego tego samego dnia, w którym pewne sprawy zrozumiała - zrobiłabym wszystko, żeby to, co mam, należało także do ciebie. Pensja to za mało za to wszystko, co dla nas... dla mnie zrobiłeś.

- Damy radę - odpowiedział, żeby dodać jej otuchy, bo już widział, że coś się z nią dzieje, ma tendencje do odrywania się od świata, do zamykania w sobie. On jeden zdawał sobie sprawę, co działo się z Julią po śmierci rodziców.

Poszła do banku dopiero wtedy, kiedy wyczerpali już wszystkie możliwości, by cokolwiek jeszcze uratować. To nic - mówiła - tylko ten jeden raz, ludzie ciągle biorą kredyty, załatamy wszystkie dziury, wyprostujemy wszystkie sprawy, będziemy pracować jeszcze więcej. Może jeszcze nie po tym, ale po następnym sezonie spłacimy cały dług. Wtedy wszystko wróci do normy.

Bardzo łatwo uzyskała ten kredyt. Bardzo ostrożnie dzieliła pieniądze, odmawiając sobie wszystkiego. Dług Jakimowskiego spłaciła od razu dzięki bratu, który z miejsca przysłał jej tyle, ile mógł, jak tylko się o kłopotach siostry dowiedział.

Wszystko wracało do normy, wszystko szło dobrze. Już zaczęła jaśniej patrzeć w przyszłość, przesiadywać z psem

Borysa na werandzie, bez nerwów i tego nieustającego napięcia.

Poszła po ostatnią część kredytu do banku, która w całości miała iść na zboże dla ryb i dla koni. I wtedy się dowiedziała, że bank wstrzymuje ostatnią transzę, bo ma poważne obawy co do możliwości spłaty przez nią kredytu. Próbowała tłumaczyć, że owszem, spóźnia się z ostatnimi ratami, ale to przejściowa sytuacja, bo za kilka miesięcy sprzedadzą żrebaki... Teraz ich nie mogą sprzedać, bo się jeszcze nie nadają. Doskonale wie, ile może na czym zarobić i na co ją stać, więc naprawdę nie ma powodów... Wtedy zobaczyła Ryszarda Jakimowskiego wychodzącego z gabinetu dyrektora banku i wszystko zrozumiała. Zdobyła się jeszcze na to, by pogratulować wszystkim koronkowej roboty, choć ona inaczej by to nazwała. Wszyscy zaprzeczali i nie wiedzieli, o czym mówi.

Wyszła z banku, nie wiedząc jak wróciła do domu. Dopiero gdy wysiadła z samochodu i poczuła pod nogami własny (jeszcze) grunt, odetchnęła głęboko, a potem upadła. Borys podszedł, wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

- Nie bój się - powiedział. - Nikt cię nie skrzywdzi. Zdawało mu się, że Julii jest wszystko jedno, czy ktoś ją chce jeszcze skrzywdzić czy nie. Położył ją na łóżku, a ona od razu odwróciła się do ściany. Wiedział, że nie ma sensu nic do niej mówić, mimo to powiedział, jakby chciał się uczepić ostatniej deski ratunku, najprostsze słowa:

- Wszystko będzie dobrze. - Milczała, więc odważył się jeszcze dodać: - Musi być dobrze. W sierpniu jest termin waszego kolejnego spotkania. Przyjadą dziewczyny... Gdzie je przyjmiesz, jeśli stracisz to wszystko?

Nie odwracając się od ściany, powiedziała:

- Nie wydaje mi się, żebym miała siłę spotkać się w sierpniu z dziewczynami.

*

W drodze z N., gdzie po „dyskretnym” przesłuchaniu jednego z pracowników banku Leski ustalił, że kolejną osobą mającą jakiś konkretny motyw (a przynajmniej nie tak śmieszny jak właścicielka kwaciarni czy sklepikarz), by strzelać do Julii, jest Ryszard Jakimowski, zadzwonił na komendę. Dowiedział się, że nie ma pocisku, po który dwa dni temu wysłał jednego ze swych podwładnych do szpitala.

- Jak to nie ma? Wyrzucili go?! - wrzeszczał do telefonu.
- Nie było? W ogóle nie było?! Co, do cholery, przecież na miejscu oglądał ją lekarz i nikt mu nie powiedział, że ma ramię przestrzelone na wylot.

Wtedy dowiedział się, że tak naprawdę nikt pod tym kątem nie robił na miejscu oględzin. Lekarz, ten sam, który w pół godziny później, jeszcze nim dotarli do szpitala, stwierdził jej zgon, na miejscu doszukał się oznak życia. Czym prędzej więc załadowali ją do karetki i odjechali. Był środek nocy, chaos i nikt się nie zastanawiał, czy krew na tylnej części jej ramienia pochodzi z rany wylotowej, czy ze zwykłego przesiąknięcia. W końcu było jej tyle na schodach. Poza tym przeszukali wszystko, metr po metrze, i nic. Dopiero w szpitalu po przemyciu zorientowali się, że kula przeszła na wylot, nie uszkodzając po drodze niczego. Ten strzał nie był śmiertelny, problem tkwi cały czas w głowie.

- Wiem, kurwa, że nie był śmiertelny, skoro ona żyje! - wrzasnął.

Ale gdyby nie żyła, usłyszał, to nie za sprawą tego strzału. A co to za różnica! Chyba nie po to się do kogoś strzela, żeby wyrazić nadmiar uczuć! Pozytywnych! Rzucił telefon przez ramię i zaklął siarczyście.

Nie ma broni, nie ma pocisku, za to przybywa osób, które miały motyw, by ukryć się w krzakach i strzelić. Motywy na pierwszy rzut oka banalne - tak to jedna połowa każdej

mieściny miałyby powód strzelać do drugiej - ale tak to zwykle na początku wygląda. Potem jednak okazuje się, że jest coś więcej. Przynajmniej kiedyś tak było. Teraz - machnął ręką - ludzie mordują się bez powodu. Znowu jestem głupi, jak na początku byłem, i nic nie wiem. Czy to nie miało być proste?

*

Kiedy wysiadły z samochodu przed domem Julii i się rozejrzały, poczuły w jednej chwili ogromną ulgę. Mimo odległości, jaka teraz dzieliła je od niej. Wokół panował niesamowity spokój. Urok tego miejsca zapierał dech w piersiach. Od razu poczuły się inaczej, lepiej, chociaż jedna nie przyznała się do tego przed drugą, choć wiedziały, znając się tak dobrze, że każda z nich czuje to samo. W domu, w całej posiadłości Julii, było coś tak kojącego, swojego i bezpiecznego.

- A jednak - odezwała się Magda, kontynuując swoje myśli i jakby odgadując myśli koleżanek - to tu się stało.

Spojrzały po sobie i wtedy Ramona zaczęła mówić, że cały czas, jak tu jechały, bała się, że z miejsca zawrócą, bo nie poradzą sobie z myślami o tym, co tu zaszło, z całym tym złem. Zdjęła pantofle z nóg, zdjęła cienką kurtkę i usiadła na schodach werandy, wystawiając twarz do słońca.

- Chcecie wracać? - zakończyła.

- Ja nie - zdecydowanie powiedziała Magda.

- Ja też nie - dodała Kamila, opierając się o drewnianą poręcz werandy, mocno wdychając powietrze. - Kwiatki! - wykrzyknęła, zerkając w dół. - Pamiętajcie, jak Julia mówiła, żebyśmy jej przypomniały podlać? Patrzcie, całkiem uschły.

Zeszła z werandy w grządki, odkręciła zawór i zaczęła je podlewać, pogwizdując. Potem zdjęła na środku werandy zabłocone klapki i rozsiadła się w fotelu. Wdychając wciąż

łapczywie powietrze, mruknęła pod nosem, że ładnie pachną te aksamitki.

- Lubię aksamitki - powiedziała Ramona. Wstała, wsunęła stopy w klapki Kamili i zeszła w mokre grządki.

- Ciekawe dlaczego - rzuciła w jej stronę Magda, puszczając oko do Kamili.

- Piękne są! - odpowiedziała, tak jak się spodziewały, Ramona.

Parsknęły śmiechem, a potem uśmiechnięte patrzyły, jak Ramona ustawia aksamitki w małym flaconie na stole werandy.

Po chwili zajrzał do nich Borys i powiedział, że dobrze, że wróciły, będzie mógł zająć się stadniną i w ogóle wszystkim tym, czym powinien się zajmować, a nie doglądać co chwila domu, jakby mało miał innej, konkretnej roboty. Obiecał Julii, że już we wrześniu ruszą ze szkółką jeździecką, i choć wszystkie formalności dawno ma pozałatwiane, w samej stadninie jest jeszcze ciągle sporo roboty.

Zdziwiły je dwie rzeczy: to, że Borys powiedział naraz tak wiele - nigdy jeszcze, odkąd go znały, to się nie zdarzyło - nie dając żadnej dojść do słowa, przytaknąć choćby czy skomentować, i to, że nie zapytał ani razu o Julię.

- On o nic nigdy nie pyta - skomentowała Ramona. Odszedł zaraz z psem groblą w stronę stadniny i przez chwilę patrzyły, jak odchodzi, a potem pootwierały okna w całym domu i umyły podłogi. Nadal, zamiatając i myjąc płytki na werandzie, starannie omijały schody w tym miejscu, w którym głowa Julii uderzyła o kant stopnia, ale w końcu dostrzegły, że nie ma na nim najmniejszego śladu krwi i nic, co by wskazywało na niedawną tragedię. Pomyślały, że to Borys je wyręczył, i za to akurat były mu wdzięczne. Nie wyobrażały sobie, żeby Julia miała patrzeć na swoją krew na płytkach, kiedy wróci.

Potem zrobiły sobie kolację i usiadły z nią na werandzie. Kiedy tak siedziały i jadły, zadzwonił telefon Magdy. Zerknęła na wyświetlony numer i odeszła z aparatem w stronę bramy. Słyszały, chcąc nie chcąc, jak powtarza z lekkim zdenerwowaniem, żeby nie przyjeżdżał, bo nie ma takiej potrzeby, nie widzi sensu i koniec. Domyśliły się, że gdyby dzwonił Grześ, nie odchodziłaby z telefonem do bramy, więc nie zapytały kto, a ona po skończonej rozmowie nic nie powiedziała. Przez chwilę jeszcze była zdenerwowana, a potem zaczęła sprzątać ze stołu i nie pozwoliła sobie w niczym pomóc.

- Brakuje mi tego - wytłumaczyła się w pewnej chwili i zaraz, jakby z czego innego się tłumacząc, dodała: - Tego sprzątania.

Wieczorem usiadły w czystym, pachnącym salonie i przez chwilę siedziały w milczeniu, zrelaksowane mimo wszystko i o wiele spokojniejsze niż w hotelowym pokoju. W pewnej chwili usłyszały, że Borys wsiada do swojego samochodu i odjeżdża.

- Dziwny facet - skomentowała Magda. - Nawet nie przyszedł i nie powiedział, gdzie jedzie.

- Właściwie nie ma obowiązku się tłumaczyć - próbowała go bronić Ramona, ale bez przekonania.

- Pewnie, że nie, ale w obecnej sytuacji...

- Proszę cię - przerwała Magdzie Kamila. - Przestańmy już mówić o obecnej sytuacji. Ona jest i w tym zakresie, zdaje mi się, nic już nie zmienimy.

- Czy w ogóle jesteśmy coś w stanie, w obecnej sy... Co w ogóle mamy, cholera, zmienić?

- Nie wiem - odparła Kamila. - Może nic, a może bardzo wiele. Spróbujmy do czegoś dojść.

- Na razie - wtrąciła Ramona - doszliśmy do tego, że was próbowali wykończyć wasi mężowie, a mnie mój były. Tyle

gadania, żeby dojść do najprostszego wniosku, jaki każdemu mógł się nasunąć. I najbardziej banalnego.

- Aż się niedobrze robi - zgodziła się Magda.

- A jednak - kontynuowała Kamila - mężowie strzelają do żon. Czasem z błahszych powodów, niż nasi mieli.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała z napięciem w głosie Magda.

- To, że każdy z wymienionych przez nas powodów mógł być wystarczający. A może był jeszcze bardziej błahy, jeszcze prostsza przyczyna... - Kamila przerwała, patrząc w zamyśleniu w okno. - Nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś w tym naszym ostatnim spotkaniu było nie tak - dokończyła po chwili.

Magda prychnęła pogardliwie.

- Ale to przecież wiemy. Przede wszystkim nie było tak słodko jak zwykle. Jeśli mam być szczerą, to wreszcie było normalnie.

- Nie chodzi mi o fakty. - Kamila wstała, zapaliła papierosa, przeszła się z nim w tę i z powrotem po salonie.

- O co więc ci chodzi? - Magda była już lekko zniecierpliwiona.

- O atmosferę, o niepokój Julii, o to coś, co mimo całej nietypowości naszego spotkania, było jakieś takie obce...

Ramona i Magda jednocześnie skinęły głowami. Zdaje się, że Kamila trafiła w sedno: czuły podobnie. Przede wszystkim Julia ukrywała przed nimi jakąś tajemnicę. Zasygnalizowała ją tylko, mówiąc, że nazajutrz muszą gdzieś pojechać. Wtedy Ramona zapytała bez sensu, jak to Ramona: „Wszystkie?”. Julia skinęła głową i odpowiedziała, że tak, bo to ich wszystkich, w pewnym sensie, dotyczy. I nic więcej. Później, już na werandzie, coś chciała im pokazać. Zaraz potem padł strzał.

OSTATNI WIECZÓR

Każde ich spotkanie miało coś z aury wielkiego święta. Szykowały się do niego od dawna i od dawna nim żyły. Najpierw to była ekscytacja i ciekawość nowych zdarzeń. Wychodziły za mąż, rodziły dzieci, przeprowadzały się, zmieniały domy, zmieniały życie. Potem, kiedy każda miała je już jako tako ułożone, potwierdzały tylko podczas kolejnych spotkań, jak wspaniale sobie wszystko ułożyły. Ale nie dla tej ekscytacji, ciekawości i nie dla tych potwierdzeń czy może sprawozdań się spotykały. Spotykały się przede wszystkim dla siebie. To jedno było niezmiennie od samego początku i pewne.

Przez te dwadzieścia lat widywały się od czasu do czasu: kiedy któraś była w Warszawie, wpadały do Magdy, kiedy Magda odwiedzała rodziców w N., zaglądała do Julii... Ale to były tylko krótkie wizyty, powierzchowne wymiany wrażeń i zapytań, kończące się przeważnie deklaracją: Jak się spotkamy u Julii... Tak jakby nie przepadały za sobą w codziennym życiu. Wolały o nim mówić, zachwycać się i dziwić, kiedy spotykały się co pięć lat u Julii. Musiały być wszystkie. Jak wtedy, gdy nie wsiadły do właściwego pociągu, tylko poczekały na Kamilę, rezygnując z wygody, bo czym byłaby podróż bez Kamili. Albo każdej innej.

Razem mogły być tylko co pięć lat w ostatni weekend sierpnia u Julii.

Tak jak teraz.

Pierwsza zjawiała się Magda. I to o wiele wcześniej niż zwykle. Poprzedniego dnia przyjechała do rodziców w N. Długo rozmawiała z matką, pochwaliła remont łazienki, wykonany przez ojca, dowiedziała się, jak się czują, jakie biorą leki i co u braci. Koło drugiej wiedziała już wszystko, nacieszyła się rodzicami, wsiadła w samochód i ruszyła do Julii.

- Kiedy wjechałam na podwórko - mówiła - zobaczyłam przed domem samochód Julii z otwartym bagażnikiem. Na ziemi stały torby z zakupami. Wtedy pomyślałam, że miałam nosa, przyjeżdżając wcześniej - Julia jest jeszcze w proszku, przyda jej się moja pomoc. Kątem oka przez otwarte na oścież drzwi dostrzegłam w salonie niezły bałagan...

- Zaczęłaś najpierw sprzątać... - podsunęła Kamila.

- Nie! Najpierw rozejrzałam się i zobaczyłam Julię nad stawem. Siedziała tam z pochyloną głową, a Borys chodził groblą w tę i z powrotem. Pomyślałam, że coś się dzieje.

Ale kiedy podeszła do niej i położyła rękę na jej ramieniu, Julia poderwała głowę i uśmiechnęła się szeroko. „Magda! Już jesteś! To dobrze, pomożesz mi” - powiedziała. Wstała i wzięła ją pod ramię, a Borys, z rękoma w kieszeniach, odszedł do domku letniego, przynajmniej w tamtą stronę szedł, kiedy odchodziły. Wypakowały resztę zakupów z bagażnika i zaczęły je wносить do domu i już wtedy, Magda da sobie rękę uciąć, Julia była sobą. Raz tylko jeszcze jakaś chmura pojawiła się na jej czole, gdy niewielka koperta wypadła jej z otwartej torebki. Podniosła ją szybko i odłożyła gdzieś... chyba gdzieś na werandzie. Potem zaczęła z uśmiechem wypytywać o wszystko: jak podróż, jak rodzice i tak dalej. Rozmawiały o tym, o tamtym, powierzchownie o wszystkim. Magda starała się tylko, by nie zacząć tematu związanego w jakiś sposób z Piotrem, bo nie widziała takiej potrzeby. Minęły prawie dwa lata od jego śmierci i jeśli Julia miała sobie z tym poradzić, to już sobie poradziła. Być może, przyszło jej w pewnej chwili do głowy, to jej zamyślenie, ten smutek to z nim jakieś związane wspomnienie. Może nawet ich przyjazd, bo odkąd przyjeżdżały, zawsze był. A teraz go nie było. Tym bardziej starała się omijać ten temat.

A potem przyjechała Ramona, zaraz za nią Kamila. Borys siedział z wędką na grobli. Obok jego pies. Nakrywały stół na

werandzie, mówiły o wszystkim, przerywały sobie i śmiały z byle czego. Zaczęło się jak zwykle.

- Ale nie skończyło - przerwała Magdzie Ramona.

No nie. Niestety nie. A może właśnie dobrze, że nie. Bo właściwie jak długo miał trwać ten piękny sen. Nieprawdziwy sen. Nierealny. Jak długo miały się jeszcze spotykać - teraz czterdziestoletnie prawie kobiety, potem coraz starsze - i opowiadać swoje nieprawdziwe sny. Kiedyś to musiało się skończyć.

I właśnie wtedy się skończyło.

Zaczęło się od wina. Kto by pomyślał - głupie wino. A właściwie jego brak. Na twarzy Julii, kiedy mówiła, że tym razem kupiła tylko dwie butelki, pojawiło się zmieszanie. Zbagatelizowały to. Żadna z nich nie była wielką amatorką alkoholu i pomijając ten jeden incydent z Ramoną, nigdy żadnej podczas tych spotkań nawet się porządnie w głowie nie zakręciło. Z drugiej strony, przyjemnie było siedzieć sobie wiele godzin, rozmawiać i sączyć wino. Wtedy wszystkie jakoś tak odruchowo spojrzały na Ramonę, a Kamila powiedziała:

- Mam przez przypadek butelkę wódki w bagażniku... Wybieraliśmy się z Arturem na urodziny do jego kumpla parę dni temu, ale w końcu nie poszliśmy. Zrobimy sobie drinki.

I znowu spojrzały na Ramonę. Wcale nie chciały. Jakoś tak wyszło. Ramona odebrała to jednoznacznie.

- Nie, nie jestem alkoholiczką - zaczęła ponurym głosem.
- Potrafię żyć bez alkoholu.

- Nikt przecież nie mówi - zaczęła tłumaczyć się Magda - że nie potrafisz.

- No właśnie... - dodała bez przekonania Julia.

- Żadna z nas - zakończyła Magda.

I tego już było dla Ramony za wiele.

- Potrafię żyć bez alkoholu! - powiedziała podniesionym głosem, a potem ciszej dodała: - Ale czasem najzwyczajniej w świecie nie chcę.

Patrzyły na nią w milczeniu, żadna nie odważyła się tego skomentować. Najchętniej zaczęłyby inny temat, ale Ramona nie pozwoliła.

Nie, nie przesłyszały się. Upija się - dobrze teraz słyszą - od czasu do czasu tylko wprawdzie, ale dość regularnie. I to ostro. Dlaczego? A skąd ma, na Boga, wiedzieć! Może sobie to różnie tłumaczyć i jeśli bardzo tego potrzebuje, to sobie tłumaczy. Pije, bo takie ma życie. Jakie? Inne niż miało być. Póki była młoda i naiwna i ciągle na coś czekała, to jej się zdawało, że jest dobrze i tak właśnie ma być. Ale teraz niczego już nie oczekuje. Skończyły się marzenia romantycznej idiotki. Nawet jej się umalować nie chce (po co?) i ma gdzieś te zaprawione troską, myślałby kto, rady Kamili: „Gdybyś sobie chociaż zrobiła delikatną kreskę, kochanie...”. Ma gdzieś delikatne kreski, ma gdzieś wszystko, lepiej pogodzić się z tym, co jest, i nie szukać czegoś, czego być nie może. I nie będzie. Jest to, co jest.

Wstaje rano. Pomaga ubrać się ojcu, choć on za każdym razem mówi, że sam by sobie poradził, a ona za każdym razem powtarza, że owszem, ale to trwałoby godzinę. Potem idzie do sklepu, wraca, szykuje mu śniadanie, kładzie mu gazety na stoliku koło fotela, sprząta po śniadaniu, schodzi do księgarni, do której coraz mniej chce jej się schodzić, wraca z księgarni, robi byle jaki obiad, jedzą z ojcem, on za każdym razem pyta: Jak tam dziś w księgarni, a ona za każdym razem odpowiada: Dobrze, tato. Nie chce jej się ojcu tłumaczyć, że to już nie to, że nie to co kiedyś, bo po co. Po kolacji sprząta, pomaga ojcu wejść do wanny, choć on za każdym razem powtarza, że sam by sobie poradził, a ona, że owszem, ale to trwałoby godzinę. Albo dłużej. Oglądają coś w telewizji, jeśli

jest co oglądać, potem ona idzie do swojego pokoju, kładzie się do łóżka z książką i po dwudziestu stronach zasypia.

Od czasu do czasu wpada do księgarni Aurelian i grozi, że ją zabije, jeśli do niego nie wróci, bo on teraz jest niczym, a jej się nawet nie chce tłumaczyć, że to nie jej wina. Błaga go nieraz, żeby nie przychodził, bo wygląda jak ostatnia łajza i przez to już zapomina, że kiedyś to był ten jej wspaniały Aurelian w białej koszuli, którą dla niego prasowała, czarujący i piękny. Prosi, żeby nie niszczył jej wspomnień i nie odbierał wiary w to, że był w jej życiu prawdziwy księżę z bajki. Ale on tego nie rozumie. Za każdym razem jest coraz bardziej nachalny, a ona coraz mniej pamięta, że miała swoje piękne lata, że miała swoje wymarzone szczęście.

I co ma robić? Pije od czasu do czasu. Wsiada do auta i jedzie do knajpy, w której on pisał swoje wiersze na serwetkach, i kiedy tam siedzi przy stoliku, nie wzbudząc żadnego zainteresowania ani zdziwienia, bo teraz pełno jest takich jak ona, widzi ten dawny gwar, czuje tamtą atmosferę i dopóki nie wytrzeźwieje, jest prawie szczęśliwa. Prawie, bo prawdziwie szczęśliwa już chyba nigdy nie będzie. Już chyba minął ten czas. Potem wychodzi, zostawia samochód na parkingu i wraca do domu pieszo.

Najgłupsze, niestety, w tym wszystkim jest to, że wcale nie musi pić. Nie czuje alkoholowego głodu. Nigdy. Robi to z pełną premedytacją, z głupim przekonaniem, że coś w ten sposób zyska. Oczywiście, potem trzeźwieje i zdaje sobie sprawę, że nic nie zyskała. Nic! Straciła co najwyżej. I za każdym razem coraz więcej będzie tracić.

Rok temu, wracając z knajpy, potrafiła mężczyznę. Wypiła niedużo, a zdawało jej się chyba, że jeszcze mniej, skoro wsiadła do samochodu. Przetrąciła mu kręgosłup, jest sparaliżowany od pasa w dół. Odebrali jej prawo jazdy, rzecz jasna (tak, zgadza się, teraz już wiedzą, dlaczego przyjechała

pociągiem), dostała wyrok w zawieszeniu, chyba tylko ze względu na ojca, opłaca rehabilitantkę, która przychodzi i robi masaż temu mężczyźnie, bo jest jakaś nadzieja na poprawę, a ten mężczyzna w pełni na to zasługuje. Żona, idiotka, opuściła go w pół roku, został sam, bezradny jak dziecko, więc zaczęła chodzić i chodzi tam codziennie (tak, zgadza się, teraz opiekuje się dwoma kalekami, ale to jej sprawa). Na początku nie chciał jej widzieć, nawet raz zadzwonił na policję, żeby ją wyprowadzili. Pozwoliła się wyprowadzić, a potem znowu przyszła. W którymś momencie poddał się, zrezygnował z oporu, teraz nawet pozwala się umyć. Oczywiście nienawidzi jej i to jest jej kolejny grzech, bo to dobry człowiek i dotąd nikogo nie nienawidził. Dziwi się tej żonie, że go zostawiła po tylu latach tylko dlatego, że stał się niesprawny fizycznie, jakby to było najważniejsze, jakby nie mogła zrozumieć, że tak naprawdę nie to się liczy w życiu. Jakby nie mogła go dalej kochać, opiekować się nim, wychodzić z nim na spacer i wracać ze spaceru. Normalne sprawy, zwykłe zdarzenia są najważniejsze i to, żeby je dzielić z drugim człowiekiem.

Od tamtej pory upiła się tylko dwa razy. Raz z nienawiści do siebie za to, co zrobiła. Drugi raz z tego samego powodu.

Patrzyły wtedy na Ramonę w milczeniu, nie wiadomo jak długo. Każda z nich bała się odezwać, skomentować wyznanie Ramony lub choćby ją pocieszyć. Zresztą - zauważyły jak jedna - Ramonie jakby ogromny ciężar spadł z serca, kiedy to wszystko z siebie wyrzuciła. Uśmiechnęła się nawet promiennie, jak dawniej, do każdej z osobna i do wszystkich naraz, dodając na koniec:

- Nie byłoby jeszcze tak źle... Ludzie mają różne problemy, nie ja jedna. Przede mną jeszcze kawał życia, być może, i coś w nim jeszcze dobrego powinno się zdarzyć. Tylko że czas, kiedy była pora na związanie życia z drugim człowiekiem, już chyba minął. Teraz z przerażeniem patrzę na

ojca, który jest coraz starszy i pewnego dnia odejdzie. Zostanę zupełnie sama. Jak drzewa...

- Jak co? - Kamila nie była pewna, czy dobrze usłyszała. -

Ty jak już coś powiesz...

- Tego boję się najbardziej...

- Nie masz się czego bać - odezwała się cicho Magda. - Nigdy nie wiadomo, na co jest jeszcze pora i co jeszcze może się zdarzyć... Nawet samotność... chyba też ma swoje dobre strony.

Ramona gwałtownie pokręciła głową.

- Łatwo ci mówić - powiedziała - bo jesteś otoczona rodziną i zawsze będziesz mieć dla kogo żyć.

- No właśnie - dodała swoje Kamila. - Ty, Magda, akurat jesteś ekspertką od samotności. Masz to, czego chciałaś: liczną rodzinę, męża i cztery córki.

- Moje córki to pasożyty - powiedziała bez żadnego wstępu Magda. Pociągnęła kilka łyków drinka i dodała bez emocji: - A mąż to uczuciowo i emocjonalnie oddalony ode mnie o lata świetlne mężczyzna, który wraca do domu tylko po to, żeby się przespać, a rano wstać i z niego odejść.

Tym razem nie było ze strony pozostałych żadnej, wywołanej zaskoczeniem, milczącej przerwy. Wyznanie Magdy było zbyt wielkim zaskoczeniem. Pierwsza zareagowała Julia:

- Ty chyba Magda nie wiesz, o czym mówisz.

- Może już nie pij więcej. - Kamila była wyraźnie zdegustowana. - Zawsze miałaś najmocniejszą głowę, ale to chyba nie jest twój dzień.

- Na razie, cholera, to jeszcze nic nie wypita - zareagowała Magda ostro, dolewając sobie wódki do szklanki. - I jeśli już mówimy sobie pewne rzeczy, to pozwólcie mi pewne rzeczy powiedzieć. Myślicie, że tylko Ramonie się nie udało?

Już tak nie myślały. Nim Magda powiedziała cokolwiek, wyczytały z jej oczu i tonu w jej głosie, że sielanka, jeśli w ogóle była, to tylko do pewnego momentu.

Nie było nawet żadnej sielanki - Magda od razu pozbawiła je złudzeń. Nigdy. Od początku była ciężka praca i odmawianie sobie wszystkiego. Nie nazwałaby tego ciężką pracą i odmawianiem sobie wszystkiego, gdyby finał był inny, niż jest. Ale finał jest niestety taki, że wychowała cztery córki, z których nie ma żadnego pożytku. Dwie starsze to już dorosłe panny. Bliźniaczki, które mają piętnaście lat, a niejedną noc spędzają w klubach dla dorosłych, mówiąc, że nocują u koleżanek, też widać uważają się za dorosłe. Z dorosłymi córkami powinna mieć świetne stosunki. Tak to sobie kiedyś wymarzyła, taki przykład wyniosła z własnego domu. Ale nie ma. Nie rozumie ich bezdusznego i powierzchownego świata. To pasożyty. Tylko żądają, nic w zamian. Dla jednej istnieje tylko telewizor, dla drugiej tylko Internet, dla bliźniaczek imprezy. Żadnych zainteresowań, żadnych pasji, żadnego szacunku dla podstawowych wartości.

Gryzie się, gdzie, w którym momencie popełniła błąd, bo w którymś momencie jakiś błąd musiała przecież popełnić. Może nawet niejeden. Raczej na pewno niejeden. Argumenty, że „one teraz takie są”, nie docierają do niej, bo nie wszystkie takie są. A jeśli już, to gdzie była, kiedy kształtowały się ich charaktery, nabierały określonych nawyków? Gdzie była, kiedy zaczęły chodzić na pierwsze randki, przeżywały pierwsze zawody miłosne, kolejne zderzenia marzeń z realnym światem? Przecież, do cholery, była w domu! Zawsze w domu. Zbierająca ich ubrania po podłodze, sprzątająca, czekająca, aż wrócą ze szkoły, z lekcji rysunku, z randki... Zawsze gotowa wysłuchać, doradzić albo pocieszyć. Nie biegła nigdy z wywieszonym jęzorem z pracy, po drodze robiąc zakupy, płacąc rachunki, potykając się o własne

marzenia, zaniehbując wszystko. Była w domu. Może nie powinna w nim być. Może powinna iść do pracy, kiedy tylko trochę podrosły, jak inne kobiety. Może byłoby inaczej. Lepiej. Guzik prawda. Zna przykłady, że było lepiej. Zna też takie, kiedy przy tej samej opcji było gorzej. Jeszcze gorzej.

W pewnym momencie zrozumiała, że nie ma reguły. W niczym nie ma reguły ani na szczęście rodzinne, ani na nic. To jednak nie daje żadnej ulgi. Największe marzenie o stworzeniu kochającej się, szczęśliwej rodziny legło w gruzach, a ona nie wie dlaczego. Nie wiadomo kiedy minęły te wszystkie lata, które poświęciła swoim małym dziewczynkom, pochylała się nad nimi i nosiła je na rękach, zachłystując się szczęściem rodzinnym, którego może nigdy nie było.

Teraz, kiedy patrzy na nie, cztery małe egoistki, które nic i nikt nie obchodzi oprócz siebie, zastanawia się, kim są te obce istoty w jej domu. Do pewnego momentu nie rezygnowała, starając się za wszelką cenę do nich dotrzeć, czegoś nauczyć i coś przekazać. Chyba w końcu zrezygnowała. Teraz coraz częściej przygląda się obojętnie, jak warczą na siebie, jak się kłóca, jaki chaos robią wokół siebie, nie próbując w żaden sposób nad nim zapanować, jak patrzają na siebie wilkiem. Czy ona tak patrzyła na swoich braci, a jej bracia na siebie? Nigdy. Nawet jeśli pokłócili się, dokuczili w taki czy inny sposób, zawsze jedno było pewne: że się kochają. A przecież jej matka nie robiła niczego nadzwyczajnego. Po prostu była w domu. Jak ona. A ojciec tak samo jak Grzegorz ciężko pracował całymi dniami, żeby to wszystko jakoś utrzymać. A więc dlaczego, dlaczego, dlaczego?!

Może gdyby mniej krytycznie patrzyła na swoją rodzinę albo nie czuła potrzeby konfrontowania tego, co miało być, z tym, co jest, beztrosko zachłystując się szczęściem, że jest dobrze, to byłoby dobrze. Może zupełnie niepotrzebnie w którymś momencie przejrzała na oczy i zaczęła przyglądać się

swojej rodzinie jak obcym ludziom. Może powinna pewnych rzeczy w ogóle nie dostrzegać, utykać po domu od rana do nocy, sprzątajac ciuchy po czterech pasożytach, wierzyć lub choćby udawać, że wierzy, jaką to ma wspaniałą rodzinę, najpiękniejsze i najmądrzejsze córki na świecie, wspaniałego męża, ostatnia kretynka, ale szczęśliwa kretynka.

I jeśli ma być uczciwa, to on pierwszy poszedł pod lupę. W pewnym momencie dotarło do niej, że to chyba nie jest ten człowiek, za którego wyszła za mąż. A potem, jakoś tak bardzo szybko, wręcz lawinowo, zaczęło się to przekonanie pogłębiać. Najpierw spostrzegła, że tak naprawdę wcale ze sobą nie rozmawiają. Wymieniają tylko konieczne do wspólnego trwania slogany i nic więcej. Nigdy jej za nic nie skrytykował, nigdy nie miał jej nic za złe, nawet wtedy, gdy ich dom przypominał chlew (tak! pewne rzeczy można wreszcie nazwać po imieniu). Nie ma pojęcia, kiedy dotarło do niej, że nigdy nie powiedział jej żadnego przykrego słowa. Ale też i dobrego. O mało nie spadła ze schodów, schodząc z rzeczami córek do prania, gdy zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy, nawet na początku, nie powiedział, że ją kocha. Ożenił się z nią, bo akurat była. Nigdy nic nie komentował, nie sprzeciwiał się. Kiedy przychodziły kolejno na świat dziewczynki, coraz więcej pracował, bo tak było trzeba. Bez komentarza, sprzeciwu. Nie powiedział nigdy: Kochanie, może dwoje dzieci wystarczy, nie wiem, czy damy radę... Gdyby ich mieli dziesięcioro, żyłby tylko po to, żeby je utrzymać, bo taki ma obowiązek ojciec wobec dziecka, skoro ma dziecko. I to nie wymaga komentarza. Życie nie wymaga komentarza!

Wtedy przyszło jej do głowy, że jej Grześ to niedorozwinięty uczuciowo chłopiec. Kiedy sobie to uświadomiła, poszła na górę ich wielkiego, przejrzystego, tylko trochę zabałaganionego domu i zaczęła go sprzątać, żeby

pewnych spraw nie roztrząsać. Nie myśleć. I sprząta go do tej pory. Centymetr po centymetrze. Każdego dnia. Grześ nigdy tego nie skomentował. Raz chyba tylko zapytał od niechcienia, czy jej coś nie jest.

Nie, cholera, nic jej nie jest. Śni swój wymarzony sen, jeszcze bardziej nierealny niż sen Ramony. Właściwie abstrakcyjny do granic, mimo pozornego porządku całości i kolejnych zdarzeń. Coś się niby dzieje, ale ona już od dawna nie wie właściwie co. Gdyby wiedziała, może nie umawiałaby się z młodszym o osiem lat kochankiem.

- Co?! - Kamila o mało nie spadła z krzesła. - Ty masz kochanka?

- Tak. I to jest jedyny sens mojego życia.

- Jedyny sens twojego życia? - Julia nie wierzyła w to, co usłyszała. - Jak to? Magda, jak to?

- Córki wypily ze mnie wszystkie soki. Mąż jest obojętny jak polityka Szwajcarii wobec problemów edukacji seksualnej Trzeciego Świata. Nie mam zamiaru się tłumaczyć.

- Nie chcę, żebyś się tłumaczyła, tylko wytłumaczyła, jak to się stało.

- Nie słuchałaś mnie?

- Nie o to mi chodzi. A może o to... Nie wiem. Z nim jak to się stało... Z tym...

- Kochankiem? - Magda była dla siebie bezlitosna. - Normalnie. Któregoś dnia po prostu odpowiedziałam na jego bezczelne zaloty.

Ramonie zaszklily się z wrażenia oczy.

- Kto to jest? - zapytała.

- Dokładnie nie wiem... - Magda wzruszyła ramionami. - Sprzedaje samochody. Ma zdaje się jakiś salon. Kiedyś chyba po prostu je kradł.

- Był złodziejem? - dopytywała niewinnym tonem Ramona.

- Coś tam wspominał.

Przez chwilę panowała cisza. O wiele dłuższa niż ta, która zapadła po wyznaniu Ramony. Magda odsunęła szklanekę z resztką wódki na dnie. Otuliła się ramionami.

Nie chciało jej się nic. Tylko tak siedzieć i patrzeć w mrok, nad głową Julii. Kamila zapaliła papierosa. Pałac go, spoglądała przez smugę dymu na Magdę. Wszystkie wiedziały, że zaraz się odezwie. I odezwała się:

- I to jest, mówisz, sens twojego życia.

- Tak wyszło. - W głosie Magdy zabrzmiał cynizm w czystej postaci. - Jeśli zamierzasz prawić mi morały... Daruj sobie. Ja już dawno przestałam je sobie prawić. Możesz mi mówić, że jestem amoralna. Możesz mi mówić jeszcze gorsze rzeczy. Spłynie to po mnie jak woda po kacze. Wiesz dlaczego? Bo jestem amoralna. A nawet jeszcze gorsza.

- Nic takiego nie mam zamiaru powiedzieć.

- Nie musisz. Ja swoje wiem. Kiedyś byłam wielką bałaganiarą i tak chyba powinno zostać. Od kiedy zaczęłam sprzątać, wysprzątałam dokładnie swoje życie, tak że oprócz złodzieja, którego uwielbiam, nie zostało w nim nic. Poukładałam sobie w głowie, przede wszystkim, zupełnie niepotrzebnie. Słodka nieświadomość pewnych rzeczy...

- Słodka nieświadomość - przerwała jej Kamila - nie ma nic wspólnego ze szczęściem! Jeśli to chciałaś powiedzieć.

Magda poruszyła ramionami niepewnie, w roztargnieniu.

- Może i nie ma. Ale było łatwiej. Ja byłam inna.

- Ja... - Kamila przez chwilę koncentrowała uwagę na gaszeniu papierosa, jakby to w tej chwili było najważniejsze - wolę Magdę, która zdradza męża z byłym złodziejem i jest świadoma pewnych rzeczy, niż Magdę - matkę i Magdę - żonę piejącą bezkrytycznie nad swym nietrzymającym się kupy szczęściem rodzinnym. Nie znoszę kobiet zaślepionych, nieświadomych, za wszelką cenę szczęśliwych.

- Nie ma szczęścia za wszelką cenę - powiedziała cicho Julia, tak cicho, że bardziej domyśliły się, niż usłyszały, co powiedziała.

- Chociaż mimo wszystko za wszelką cenę usiłujemy je odnaleźć. Gdziekolwiek.

- Przestańcie! - przerwała Magda ze zniecierpliwieniem. - To zaczyna brzmieć jak pogadanka szkolna na określony temat w drugiej klasie liceum. Jeszcze tylko tego brakuje, żebym przestała się czuć winna.

Patrzyły na nią przez chwilę badawczo, jakby chciały znaleźć jakiś fałsz w jej twarzy. Lampa ze ściany domu oświetlała połowę jej twarzy. Nie znalazły.

- Czemu czujesz się winna? - odezwała się pierwsza Julia.

- Wszystkiemu. Temu, że nie zapanowałam nad swoim życiem. Że coś bez troski przegapiłam, a potem nie było odwrotu. - Pochyliła głowę. Gdyby jej nie znały, pomyślałyby, że płacze. Nie płakała. - Nie powinnam tego mówić... - zaczęła po chwili - ale czasem zazdrościłam Kamili, że ma tylko jedno dziecko, ale za to wartościowe, że...

- Rzeczywiście - wtrąciła Kamila - nie powinnaś tego mówić.

- Och, wiem... Przecież kocham te swoje potwory... Gdybym miała cofnąć czas, urodziłabym je na nowo. Tylko tak czasem... Różne rzeczy przychodzą do głowy.

- Nie powinnaś tego mówić - powtórzyła Kamila - bo nie masz mi czego zazdrościć.

Ramona, Magda i Julia jak na komendę utkwili wzrok w Kamili. Niemożliwe, żeby Kamili miało się coś nie udać. Jeśli już, to tylko jakieś małe coś, które mogło się wymknąć jakimś cudem z jej życiowych założeń.

Kamila uśmiechnęła się.

- To prawda - zaczęła - mam jedno dziecko, ale za to wartościowe. Mąż najprzystojniejszy na świecie i najbardziej godny miłości. Mam piękny dom, z którego jestem dumna...

Odetchnęły z ulgą. Kamila odrzuciła ręce nad głową, przeciągnęła się i wszystko to, każdy gest był kontynuacją jej spokojnego uśmiechu. Zaraz potem dokończyła:

- Tak miało być, Ale nie jest. A jednak.

- Iza - kontynuowała łagodnym głosem - ledwo wyszła z głębokiej anoreksji. Gdybyście ją zobaczyły... Wyszła to za dużo powiedziane, bo to jak alkoholizm albo narkomania, w każdej chwili może wrócić. Artur zdradza mnie na prawo i lewo. Jestem mu przeszkodą do życia na pełnych obrotach.

- Artur? - jęknęła Ramona. - Przecież jest burmistrzem...

Spojrzały na siebie wymownie, wznosząc oczy w niebo - Ramona nigdy nie przestanie być dzieckiem, zawsze znajdzie jakąś zakamuflowaną furtkę, by wrócić do swego ogrodu.

- Nigdy nie był żadnym burmistrzem! - Łagodność w głosie Kamili w jednej chwili gdzieś się ulotniła. - Na miesiąc przed wyborami powiedział, że tak naprawdę to go to w ogóle nie interesuje. Jeśli dojrzał do pewnego etapu, to tylko ze względu na mnie, ale przyszło mu do głowy, że z jakiej racji właściwie mam go ustawiać na takich czy innych stołkach...

- Co wobec tego robi? - przerwała Julia.

- Mówiłam wam: zarabia pieniądze. Dzięki licznym kontaktom, notabene zdobyłym dzięki moim nienasyconym ambicjom, od lat działa na rynku nieruchomości. Ma firmę w Łodzi, a tam ogromne pole do popisu. No i jak możecie sobie wyobrazić, jeszcze większą swobodę. We wszystkim. W domu bywa na weekendy. A i to nie zawsze.

To prawda, kontynuowała już spokojniej, że ma wszystko. Tylko co to właściwie znaczy wszystko? Materialnie - owszem. Tylko co z tego. Nigdy tak naprawdę nie pchała go na żadne stołki. Takie czy inne. Jeśli już, to dlatego, że od

początku dostrzegła w nim naturę... Może nie przywódcy - to za dużo powiedziane... Ale właśnie człowieka na stanowisku. Dla niej mógł robić cokolwiek. Byle tylko to było pewne, stało na konkretnych, mocnych, obojętnych na zawirowania ekonomiczne czy jakiegokolwiek inne nogach. Przewidywalność - oto czego chciała całe swoje życie i do czego dążyła. Komfortowo czuła się tylko wtedy, gdy wiedziała, jaki będzie jej kolejny dzień. I kolejny. I kolejny. Teraz zadaje sobie pytanie, na ile wszystko można zaplanować, żeby cokolwiek z tego wyszło. Na dzień, dwa, tydzień, miesiąc, rok...? Na pewno nie na całe życie. Nawet i nie miesiąc, i nieraz nie na dzień. Jeśli już, to tylko ogólnie: ma być tak i tak, a jeśli nic z tego, to trudno. Nie tak jak u niej. Nie obsesyjnie, bo dla niej pewne zwyczaje przeszły w którymś momencie w obsesję. I to, o ironio, zaczęło dziać się wtedy, gdy już wiedziała, że pewne sprawy nie wyszły. I że jeszcze wiele nie wyjdzie.

W pewnym momencie zorientowała się, że Artur ucieka z jej życia. Nie, nie przyznała się do tego sama przed sobą. A przecież już wiedziała. Antidotum na przeciekające między palcami życie stała się kartka papieru, tak! dobrze słyszą, do tego stopnia doszła jej - już nie boi się teraz używać pewnych słów - paranoja. Każdego wieczora zapisywała równym pismem cały rozkład dnia następnego. Wstajemy o tej i o tej, jemy śniadanie (koniecznie wszyscy razem, przy stole), idziemy do pracy, Iza do szkoły, wracamy o tej i o tej, robimy obiad (wszyscy razem), siadamy przy stole... To tylko przykład. To tylko jeden dzień. Ale bywało jeszcze gorzej. Były całe zaplanowane drobnym, równym maczkiem tygodnie, a nawet lata. Myślała, że coś w ten sposób uratuje? Chyba tak. Chyba nawet w to wierzyła. Bardzo długo zresztą. Nawet wtedy, gdy Artur spóźnił się pięć godzin (!) na obiad. I o dwa dni na kolację. Kreśliła równiutko zapisane linijki, dopisując pod spodem: konferencja Artura, delegacja Artura...

Po co? A jak myślą? Żeby siebie samą oszukać. Żeby sobie jeszcze coś wmówić.

Artur pewnego razu podarł cały stos tych zapisanych kartek i rozsypał je po kuchni. Powinnaś się leczyć - powiedział.

Tylko że wtedy już jej córka potrzebowała pomocy lekarza. Bo ona, zajęta planowaniem tego, co już wszelkim planom się wymykało, zauważyła, że Iza o wiele za mało waży, gdy już zaczęła tracić przytomność. Ale jeszcze wtedy nie wierzyła. To niemożliwe, żeby jej córka była anorektyczką. Dlaczego? Jakim cudem? Anoreksja nie bierze się z niczego. Nie z obciążeń genetycznych, na przykład, jak choćby białaczka... Nie wie, nie chce się przyznać, czy wtedy nie wolałaby usłyszeć, że jej córka ma białaczkę.

Usłyszała natomiast, że to być może efekt jej zbyt wygórowanych w stosunku do dziecka oczekiwań. Czy to źle, pytała wszystkich i siebie samą, że stawia się przed dziećmi jakieś progi? Że czegoś się od nich wymaga, czegoś się je chce nauczyć? Może lepiej puścić je samopas, niech się włóczą po osiedlu, kradną, ćpają, a na koniec lądują w kryminale.

Wtedy po raz pierwszy w życiu miała ochotę wyjść na ulicę i iść przed siebie, gdzie oczy poniosą, wszystko jedno gdzie i jak długo. Bez żadnego planu i bez sensu. Tak byłoby najlepiej. Ale nawet tego nie mogła zrobić. Rzuciła wszystko i zaczęła ratować córkę. To był rok bardzo ciężkiej pracy. Iza ważyła trzydzieści sześć kilo. Nie będzie opowiadać, co wtedy działo się z nią i z jej córką, która miała mieć w życiu wszystko, prawdziwy raj na ziemi, bo po to ją urodziła, żeby jej raj na ziemi stworzyć. Na pewno nieraz widziały programy o anoreksji w telewizji. Niech to sobie pomnożą przez dwa albo i przez cztery, bo wszystkiego tam nie pokazują, będą wiedzieć.

Nie może powiedzieć - Artur jakby się trochę opamiętał. Częściej bywał w domu, wspierał ją, stawał po jej stronie. Przeciw dziecku. Ale tak było trzeba.

W najmniejszym choćby stopniu nie próbowała wykorzystać choroby dziecka - tego jednego nikt nie może jej zarzucić - by odzyskać męża. Dawno już machnęła ręką na swoje wielkie i małe plany. Na pewne rzeczy było zwyczajnie za późno. Jeśli wraca jeszcze do domu i w ogóle w nim przebywa, to tylko ze względu na Izę. I to jest w porządku.

- To jest w porządku? - wydusiła Magda.

- Tak, to jest w porządku. Nawet nie chce mi się z nim o pewnych sprawach gadać. Co myśli, co zamierza, jakie będzie nasze dalsze życie. Na pewne sprawy jest już za późno. - Uśmiechnęła się do Magdy ciepło. - Mówisz, że wysprzątałaś sobie życie... Może tak, może nie... Ja je sobie przeplanowałam. Od paru miesięcy, od czasu, gdy Iza zaczęła wracać do siebie, zaczęłam robić rzeczy nie tylko że niezaplanowane, ale... zupełnie zwariowane niekiedy.

Oczy Ramony zabłysły, jak za każdym razem, gdy działo się coś niezwykłego lub była mowa o czymś innym, mniej lub bardziej romantycznym.

- Co takiego na przykład? - zapytała.

- Na przykład chodzić do szkoły tańca.

- Co?! - wykrzyknęły wszystkie razem.

Kamila z zażenowaniem zaczęła przesuwając palcem jakiś nieistniejący pyłek na blacie stołu.

- No tak... Nie po to, żeby się nauczyć, tylko potańczyć, zwyczajnie. Kiedyś po prostu przechodziłam... Byłam w niesamowitym dołku... Weszłam tam, posłuchałam, popatrzyłam, jak ludzie tańczą. Ktoś podszedł i spytał, czy się chcę zapisać, a ja, wyobraźcie sobie, bez żadnego namysłu powiedziałam, że tak... Nienormalna jestem, zwyczajnie, i tyle... Chodzę tam dwa razy w tygodniu. Nikt mnie o nic nie

pyta, niczemu się nie dziwi i nawet nieźle mi to chyba wychodzi, bo dziewczyna, która to prowadzi, spytała, czemu nie przyszłam wcześniej.

- Wcześniej?

- Dwadzieścia lat wcześniej.

- Powiedziałaś jej, że twoi rodzice tańczyli? - spytała Julia.

- Nie. Powiedziałam jej, że miałam inne plany - odpowiedziała Kamila i parsknęła śmiechem.

Pozostałe patrzyły przez chwilę na nią, jak się śmieje, coraz głośniej i coraz bardziej bez troski, a potem do niej dołączyły.

Śmiejąc się, nie mogły pozbyć się wrażenia, że Kamila - jakkolwiek przywykły i od samego początku akceptowały jej naturę - stała się inna w o wiele większym stopniu niż każda z nich. Cieplesza. To było najlepsze określenie zaśmiewającej się z własnych, niepodważalnych kiedyś planów, Kamili.

- Wszystkie, zdaje się - zaczęła wesoło Magda - wpadłyśmy jak śliwki w kompot. Dobrze nam tak.

Teraz dopiero zaczęły się śmiać. Pokładały się w fotelach i ocierały łzy kapiące z oczu.

- Wybranki losu! - ryknęła Ramona i tego było już za wiele. Już się nie śmiały, tylko wyły.

Kiedy zaczęły się dusić, Magda uznała, że to wystarczy. Ocierając łzy, trąciła łokciem Julię.

- Teraz ty.

- Co ja?

- Mów, co ci w życiu nie wyszło.

Julia odgarnęła z ramienia długie włosy, spoważniała w jednej chwili. Pierwsza opamiętała się Kamila.

- Daj spokój, Magda - powiedziała. - Śmierć bliskich wystarczy...

- Śmierć bliskich - nacierała Magda - dotknęła lub dotknie w bliższej czy dalszej przyszłości każdą z nas. Chodzi mi o więcej.

- O jakie więcej? - zezłościła się Kamila. - Wystarczy. Magda się jednak uparła.

- Jej też coś musiało się nie udać i chcę o tym wiedzieć.

- Nie Julii - odezwała się Ramona.

- Rzeczywiście. - Magda w jednej chwili skapitulowała. - Żyje w swojej szczęśliwej krainie. Mąż jej nie zdradzał, ona nie zdradzała męża...

- Zdradzałam go setki razy - przerwała spokojnym głosem Julia.

Najpierw myślały, że żartuje. Kiedy zobaczyły jej kamienną twarz, wiedziały, że nie.

- W myślach - dokończyła cicho Julia.

- Jak to w myślach?

- Co pleciesz?

- Z kim?!

- A jak wam się, cholera, zdaje! Z moim pierwszym mężczyzną!

Podniesiony głos Julii jakby je ostatecznie otrzeźwił. Naprawdę uwierzyły. Tylko jeszcze nie bardzo wiedziały w co.

- Piotr był twoim pierwszym mężczyzną... - wydusiła Ramona.

- Niezupełnie.

Teraz już nie wiedziały, co myśleć i o co pytać. Patrzyły to na siebie, to na Julię. Magda, rozkładając ręce, odważyła się zapytać:

- Chyba mi nie powiesz, że z tym... z tym...

- Nie! To Borys.

- Borys?!

Żeby uciąć serię kolejnych pytań, Julia jednym tchem wyrzuciła, że to było tylko raz, w dniu rozdania matur, w kilka godzin po tym, jak... No wiedzą przecież. Potem już nigdy więcej. Nigdy! Tylko w myślach, gdy już była z Piotrem i gdy dotarło do niej, że nie rzuciła się w ramiona Borysa przypadkiem ani z żadnej cholernej zemsty na jakimś sukinsynu, który tak naprawdę nigdy się nie liczył, tylko dlatego, że tego chciała. Bardzo tego chciała. Tylko że nie mogła uwierzyć. Skąd ma wiedzieć dlaczego? Miała dziewiętnaście lat, on szesnaście, i od dziecka byli razem. Kapała go i usypiała, gdy był mały, opiekowała się nim od rana do nocy. Ale ledwie wyrósł z kołyski, to on zaczął się nią opiekować. Rósł tak szybko, jakby chciał przegonić te dzielące ich trzy lata. I przegonił. Zdążył. Ale ona w to nie uwierzyła. Nie uwierzyła w Borysa! Kiedy to do niej dotarło i zrozumiała, jaki błąd popełniła, było już na wszystko za późno. Był mąż, inne życie. Były zasady...

- Te twoje cholerne zasady - przerwała z niesmakiem Magda.

- Nie musiałaś go, mimo wszystko, traktować jak psa - dołożyła swoje Kamila.

- Musiałam się jakoś bronić - broniła się Julia.

- Przed czym? - Magda nic nie rozumiała. - Ja bym się nie broniła. Ten chłopak zawsze mnie kręcił. Nawet go kokietowałam swojego czasu. A on nic. Teraz rozumiem...

- Nic nie rozumiesz - odezwała się cicho Ramona. - Ostatecznie byli ze sobą prawie całe życie. O wiele dłużej i może nawet o wiele bliżej niż każda z nas ze swoim księciem. A to najważniejsze.

- Ale on powinien wiedzieć - upierała się przy swoim Magda.

Kamila ją poparła:

- No właśnie. Przynajmniej teraz... przepraszam, że to mówię. .. kiedy nie ma Piotra. Co cię powstrzymuje?

Ramona, niespotykane u niej pewnym i przytomnym głosem, wyręczyła Julię w odpowiedzi:

- Myślę, że on wie. Inaczej nie byłoby go tu. Dla was naprawdę istnieją tylko słowa?

- Co to znaczy „dla nas”? - zezłościła się Kamila. - Słowa to słowa.

- No właśnie.

- Co właśnie? Nie denerwuj mnie, Ramona. W ogóle mi się nie podobasz taka... taka jakaś przytomna. Jak nie ty. Idź lepiej narwij sobie kwiatków na łące.

- O dziesiątej w nocy? - zdziwiła się Ramona.

Kamila wymownie rozłożyła ręce i zrobiła triumfującą minę, jakby chciała powiedzieć: No proszę, znalazła się realistka. Wtedy Julia powiedziała ni stąd, ni zowąd:

- A propos kwiatków... Przypomnijcie mi jutro, żebym podlała pod werandę, bo nie zdażyłam.

Potem chwyciła serwetkę ze stołu i zaczęła głośno wycierać nos. Nie wiedziały, czy płacze, czy naprawdę ma katar. Wycierając ten nos i pokaszując, zaczęła mówić, że od śmierci Piotra nie było czasu, a właściwie atmosfery, żeby padły z jej ust pewne słowa - chociaż zgadza się z Ramoną, że nie słowa są ważne - bo jej, jak to nazwały, szczęśliwa kraina zaczęła z dnia na dzień zamieniać się w piekło. Tyrają z Borysem ponad siły, żeby spłacić długi Piotra. Jest zmęczona. Tak bardzo, że gdyby nie Borys, dawno by się poddała, ale ta jego bezwzględność, ten jego upór... Tak: jego miłość! Niech cię szlag trafi, mówiła mu nieraz, daj mi odejść, daj mi zapomnieć. Daj mi umrzeć! Szczęśliwa kraina! Może była nią kiedyś. Może tylko miała być. Bo jak ją teraz zatrzymać? Fizycznie jak ją zatrzymać. Pewnych realiów się nie przeskoczy, żeby nie wiem co. W ostateczności zawsze można

się poddać (a może po prostu trzeba będzie) i pozwolić, by Jakimowski przejął wszystko za takie czy inne pieniądze, to już właściwie nie ma znaczenia. Ale to to samo co śmierć.

- Błędne koło - zakończyła, rozglądając się wokół. - To, co najbardziej kochałam, cały ten mój świat dookoła, najmocniej znienawidziłam. I to właśnie mi się nie udało, jeśli chcecie wiedzieć. To jest mój dramat. Nie będę się licytować, czyj większy: wasz czy mój. Chodźmy do domu. Zmarłam.

Poszły do domu, zadowolone w gruncie rzeczy, że tym zaproszeniem Julia wybawiła je od konieczności wygłaszania komentarzy, od rzucania na poczekaniu banalnych słów pocieszenia, zaprzeczania, zapewniania, że wszystko będzie dobrze.

- Oto, co warte były - zaczęła już w domu Kamila - te nasze wszystkie spotkania. To udawanie jedna przed drugą, jakie to wspaniałe mamy życie, wręcz licytowanie się, która ma lepsze.

- A co? - odparła Magda. - Miałyśmy się spotykać i narzekać?

Usiadły na kanapie, ale po chwili Julia wstała i zaczęła chodzić po salonie w tę i z powrotem. Milczały, nie patrząc na siebie. Długą ciszę przerwała Ramona:

- Przynajmniej nie byłyśmy jak jakieś lalki. Przynajmniej coś przeżyłyśmy.

- Wielka mi pociecha - mruknęła Magda. Ramona jednak wiedziała swoje.

- Ja niczego nie żałuję.

- I dlatego popijasz ostro? - zaatakowała z pasją Kamila.

- Kamila! - ostrzegła Magda.

- A ty - Kamila zwróciła się do Magdy - też nie żałujesz swojego życia? I dlatego po urodzeniu i wychowaniu czterech córek, po dwudziestu latach u boku męża mówisz, że największym jego sensem jest dla ciebie jakiś... nie wiadomo

nawet jaki... gówniarz? Dlatego Julia jest zmęczona życiem - wyciągnęła przed siebie dłoń, nie pozwalając Magdzie sobie przerwać - a ja prowadzę beznadziejną walkę o szczęście córki, bo na swoim już dawno postawiłam krzyżyk? Dlatego?

Zapaliła nerwowo papierosa i patrzyła na pozostałe zaczepnie. Magda machnęła ręką, Ramona podkuliła nogi i położyła głowę na kolanach. Julia, cały czas chodząc po salonie, zatrzymała się nagle na jego środku i zupełnie niespodziewanie uśmiechnęła.

- Właśnie dlatego - powiedziała ciepłym głosem - jutro chciałabym was gdzieś zabrać...

- Wszystkie? - spytała bez sensu Ramona.

- Tak, bo to nas wszystkich dotyczy. Chodźmy na powietrze... - Chwyciła z oparcia fotela sweter. - Nie mogę znieść tych ścian...

- Mówiłaś, że zmarzłaś.

- Nie, to tylko coś w środku. Jest wyjątkowo ciepły wieczór. Wczoraj nie był taki...

- Wyjątkowo - zgodziły się wszystkie.

- Nie mówmy już o tym - ciągnęła Julia - co było, co jest... Posiedźmy po prostu...

Każda zarzuciła na ramiona, co było pod ręką, i wyszły na werandę. Usiadły przy stole i patrzyły w mrok. W pewnym momencie z radia popłynęła jakaś stara melodia. Ramona wstała i podkręciła głośność. Kołysały się w rytm melodii, póki z ust Julii nie padło coś, co zabrzmiało jak: Pokażę wam coś... Wstała i idąc w stronę radia (pomyślały, że chce je ściszyć), znieruchomiła na sekundę, dokładnie w chwili, gdy usłyszały jakiś trzask, po czym upadła.

*

- Jak myślicie - odezwała się Ramona, siedząc na schodach werandy w swej ulubionej pozycji, z nogami podciągniętymi pod brodę - co nam chciała pokazać?

Wzruszyły ramionami. Może coś naprawdę ważnego, a może nowe zasłonki do salonu. Nie będą jej przecież grzebać w rzeczach i przewracać domu do góry nogami, bo i tak nie mają pojęcia, czego szukać. Im więcej czasu mija od tamtego wieczora, tym mniej im się to wydaje realne, tym mniejszą mają pewność, że coś się w ogóle stało. W szpitalu, w hotelu jeszcze to do nich docierało, tutaj już nie. Kiedy tak siedzą i patrzą na ścianę drzew za groblą, zdaje im się, że Julia wyjdzie za chwilę z domu z tacą, na której będą stać kieliszki i wino, którym po raz pierwszy w życiu się upiły. Nie wyobrażają sobie, żeby miało jej już nie być, żeby miały nie spotkać się tu za pięć lat, za dziesięć czy za piętnaście.

- Chcę widzieć, jak zaczniemy się starzeć - mówiła Kamila - niedołączyć, jak jedna drugiej będzie pomagać przy wchodzeniu na werandę i tak dalej. Wtedy to wszystko będzie coś warte.

Kiedy tak siedziały i patrzyły, mrużąc sennie oczy, pod bramę bezgłośnie podjechał mercedes i dopiero kiedy wysiadł z niego wysoki, młody, prawie na łyso ostrzyżony mężczyzna, ocknęły się.

- Marek...? - szepnęła Magda. - Przecież prosiłam, żeby nie przyjeżdżał.

Mężczyzna wszedł na podwórko, podszedł z szerokim uśmiechem na twarzy, uklonił się, po czym bezceremonialnie pocałował Magdę.

- Po co...? Prosiłam cię... - dukała Magda. Przedstawił się Kamili, potem Ramonie, objął ramieniem Magdę.

- Byłem w okolicy - odparł, obejmując ją drugim. Kamila z Ramoną uśmiechały się kątem ust. Magda zerknęła na nie ze złością.

- Byłem w okolicy... - przedrzeźniała. - W jakiej okolicy?

- W tej okolicy.

- Och, Marek, to wcale nie jest dobry moment...

- Żyje się raz - rozległ się melodyjny głos Kamili. - A potem umiera.

Magda posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Ramona wzięła Kamilę pod ramię i poprowadziła do domu.

Z okna salonu patrzyły, jak Magda i jej chłopak idą groblą, przystają, on mówi, ona mówi, ona gestykułuje, a on łamie jej gesty w dłoniach, przytula, odsuwa od siebie, patrzy.

- Jakie to romantyczne - jęknęła Ramona.

- Bardzo. - Głos Kamili zabrzmiał bardziej niż sceptycznie. - Dojrzała kobieta i jakiś łysol. Jeszcze tylko tego brakuje... A wiesz - zmieniła nagle ton, patrząc wciąż na tych dwoje na grobli - Magda wcale nie wygląda przy nim na swoje lata.

- Magda od wielu lat wygląda tak samo.

- A może nawet młodziej niż zwykle.

- Ale chyba nie dlatego z nim jest.

Kamila wzruszyła ramionami. Może sama Magda nie wie, dlaczego z nim jest.

- To w sumie jej sprawa - powiedziała.

Jednym ruchem wyjęła spinkę z włosów, potrząsnęła głową, by jakoś się ułożyły, po czym splotła ręce z tyłu głowy, na karku, stanęła w otwartych na werandę drzwiach i kołysząc się lekko, zanuciła coś pod nosem, patrząc na gasnące popołudnie.

Borys, o nic nie pytając i nic nie mówiąc, minął Magdę z Markiem na grobli, przebrał się, wsiadł do swojego ledwo trzymającego się kupy samochodu i odjechał.

Godzinę później siedzieli wszyscy czworo na werandzie, pijąc kawę, Magda szczebiotała coś do ucha Markowi, a on bawił się kosmykiem jej włosów. Kamila zapytała nagle:

- Pamiętacie, jak ciotka Ramony, Lukrecja, lubiła powtarzać, że nieszczęścia chodzą parami?

Magda i Ramona z miejsca, choć nie bez pewnego zdumienia, przytaknęły.

- No to chyba miała rację.

- Dlaczego? - spytała Magda lekko, gładząc ramię Marka.

- Dlatego, że twój mąż przyjechał - odpowiedziała Kamila, patrząc na auto za bramą, z którego wysiadł mężczyzna. A za nim drugi. - Z moim mężem - dodała szybko.

Ręka Magdy zamarła na ramieniu Marka, ale tylko na chwilę. W sekundę później stała na schodach, prowadząc wzrokiem dwóch mężczyzn, którzy niepewnie wkroczyli w świat, który dotąd znali tylko z opowieści. Rozglądali się więc dookoła, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na swoich żonach, ich koleżance i obcym mężczyźnie.

Kamila stanęła obok Magdy, obejmując lekko jej talię. Obydwie z kamiennymi twarzami patrzyły, jak ich mężowie podchodzą, i im byli bliżej, tym coraz mniej niepewności było na ich twarzach.

- Piknik tu sobie urządziłyście? - zaczął Artur. - Podczas kiedy...

- Podczas kiedy co? - wpadła mu w słowo Kamila.

- Wasza koleżanka...

- ...śpi - dokończyła Magda.

Grzegorz był w mniej bojowym nastroju.

- Spodziewaliśmy się... - omiótł wzrokiem przestrzeń, jak daleko się dało - czegoś innego.

Magda zeszła o stopień niżej. Podstawiła policzek do pocałunku, Grzegorz ją pocałował.

- Czego się spodziewaliście? - spytała zaczepnie. - Powywracanych ławek, rozkopanego podwórka i żółtych taśm policyjnych naokoło? Czy może od razu trumny i karawanu?

- Tak tu cicho - prawie szepnął.

- Bo było cicho. - Magda skrzywiła się, mówiąc te słowa, jakby ją coś zabolalo.

- Cicho i spokojnie - dodała Kamila.

- Tylko radio grało - wtrąciła Ramona.

Grzegorz i Artur jakby dopiero teraz ją dostrzegli. I stojącego obok mężczyznę.

- Kto to? - spytał Grzegorz bezceremonialnie.

Magda nagle straciła pewność siebie. Spojrzała za siebie na Marka, spojrzała na Grzegorza.

- To... to...

- To mój chłopak - rozległ się spokojny głos Ramony.

Stała bliżej Marka, wsunęła rękę pod jego ramię. Marek przyjął to obojętnie.

- Twój chłopak? - zdziwił się Grzegorz. - Jest chyba z dziesięć lat młodszy od ciebie...

- Osiem! - warknęła Magda.

Grzegorz puścił jej słowa mimo uszu, za to przez dłuższą chwilę taksował wzrokiem Marka, obojętnie obejmującego Ramonę. Po czym zapytał:

- Kiedy zamierzasz wrócić do domu, Magda?

Artur wzrokiem zapytał o to samo Kamilę.

Zaskoczyli je. Obie. Jakby myślały, że ich mężowie wpadli tu sobie ot tak, w drodze skądś dokądś, zapytać, jak się czują, jaką mają pogodę i czy im czego nie brakuje. Ich spojrzenia, ich konkretne słowa były tak samo nie na miejscu jak ich niespodziewana obecność. I jak się dogadali, jak zmobilizowali jeden drugiego do wspólnej wizyty. Wizyty! To wyglądało raczej na wizytację. Kamila i Magda patrzyły na swoich mężów z widoczną urazą, zastanawiając się, który namówił którego i jak długo zastanawiali się nad podjęciem decyzji. Grzegorz zabrał po drodze Artura, to pewne, ale wszystko inne pozostawało w sferze domysłów.

Jak to się stało, że zdecydowali się wkroczyć w ich świat: świat Julii, Ramony, Magdy i Kamili. Ich obecność była obca, irytująca.

- Jak to się stało... - zaczęła Magda, a Grzegorz od razu odpowiedział:

- Tyle dni cię nie ma.

- I co?

- Dziewczynki cię potrzebują.

Magda parsknęła śmiechem.

- Zabrakło im czystych ubrań? To już nie są dziewczynki, nie wiem, czy zauważyłeś...

- Zauważyłem.

- Na schodach walają się śmieci i nie mogą znaleźć drogi do swoich pokoi? I jakimś cudem brakuje obiadu na stole? Daj im na pizzę.

Agresja, z jaką Magda wyrzucała z siebie kolejne słowa, zdumiała nawet Kamilę.

- Dom - zaczął Grzegorz bez cienia złości - wygląda tak samo jak w dniu, w którym go opuściłaś...

Opuściłaś! Co za słowo. Magda aż się zatrzęsała.

- No, może prawie tak samo - uzupełnił ze skrucą Grzegorz. - To w ogóle nie o to chodzi.

- A o co? - natarła Magda.

- O to, cholera, że cię nie ma.

Magda nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy w życiu nie słyszała tyle emocji w jego głosie. A pewne słowa były jak dotąd w tej rodzinie zarezerwowane tylko dla niej. No proszę - kpiła w myślach - wystarczy zniknąć na parę dni, a cały świat staje na głowie. A może właśnie nie, może odwrotnie... Nie pękaj - przywołała się natychmiast do porządku retoryką swojego młodszego mężczyzny - to tylko słowa.

- Nie... nie zapytasz, jak się czuje Julia? - powiedziała niepewnie.

- Wiemy, jak się czuje Julia. Byliśmy w szpitalu.
- Potem w hotelu - dodał Artur.
- I dowiedzieliście się, że nas nie ma. - Kamila uznała, że to dobry moment, by zasygnalizować, że ona też tu jest. - Jakby nie można było zadzwonić.

- To nie był temat na telefon - powiedział spokojnie Artur.

- A jakie tematy są na telefon? - Kamila z satysfakcją przejęła pałeczkę. - Będę za dziesięć minut, nie będzie mnie za dziesięć minut, nie wrócę na kolację, jutro mnie nie będzie, pojutrze też, może już w ogóle?

- Iza czuje się dobrze - powiedział Artur, patrząc Kamili w oczy.

Kamila niepewnym gestem odgarnęła włosy z ramienia.

- Nie bierz mnie pod włos - ostrzegła Kamila. - Poświęciłam jej dostatecznie dużo czasu. Jeśli ma się opamiętać, to może właśnie teraz.

- Opamięta się. - Łagodność w jego głosie zdumiała Kamilę tak samo, jak przed momentem stanowczy ton Grzegorza Magdę.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy, po czym Artur ujął delikatnie jej ramię i poprowadził w głąb podwórza.

Magda stała przez chwilę z założonymi na piersiach rękoma i zaciętą miną na twarzy. Popatrzyła na męża, nic nie łagodniejąc, potem nagle odwróciła się, przyniosła ze stołu na werandzie szklanek wody i podając mu ją, usiadła na schodach. Grzegorz usiadł obok. Odezwał się cicho:

- Widzieliśmy Julię... Przez chwilę. Niesamowite wrażenie.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Jeśli chcesz jeszcze zostać...

- Chcę! - Dziewczynki...

- To już nie są dziewczynki!

- Nie są takie złe.

Magda odwróciła głowę w przeciwną stronę.

- Są przerażone - kontynuował, a Magda zrobiła gwałtowny gest, ale nie pozwolił sobie przerwać. - Nie bałaganem ani brakiem czystych ubrań. Jakoś sobie, możesz nie wierzyć, ale radzą. Twoja nieobecność... Pójdę sprawdzić płyn w chłodnicy.

Podniósł się i poszedł w stronę samochodu. Ramona usiadła natychmiast koło Magdy i posłała jej pytające spojrzenie.

- Co chcesz? - warknęła Magda. - Taki właśnie jest.

Patrzyły w milczeniu na Kamilę i Artura, przechadzających się z dała od nich, pod ogrodzeniem.

- Kamila ma takie miękkie włosy - odezwała się Ramona.
- Musi o nie bardzo dbać.

- No... - przytaknęła Magda. - Jak je spina, to nawet tego nie widać. W ogóle w tej sukience i boso wygląda jak nie Kamila.

- Widzisz, jak on na nią patrzy?

- Kto?

- Artur na Kamilę.

- Widzę. Jak?

- Jak zakochany chłopak na swoją dziewczynę.

- Ty Ramona jak coś palniesz... Od piętnastu lat są małżeństwem.

- Ale on się teraz w niej zakochał. Popatrz tylko...
Widzisz czy jesteś ślepa?

Magda spojrzała na Ramonę, potem na Kamilę i Artura.

- Widzę! Przestań się na nich gapić.

- Jakie to piękne!

Magda wzniosła oczy ku niebu, pokręciła głową. Zerknęła na Marka, zgarniającego ze stołu telefon i papierosy.

- Marek...

- Miałaś rację, to nie był dobry moment.

Grzegorz, wycierając ręce w papierowy ręcznik, wracał od samochodu. Nie patrząc na Marka, zapytał:

- Zabiera się pan z nami do Warszawy? Ramona stuknęła łokciem Magdę w bok.

- Jestem swoim autem. Ale dziękuję - odparł Marek, schodząc z werandy.

Grzegorz odruchowo zerknął na mercedesa stojącego za płotem.

- To pana? - I do Ramony: - Bogatego sobie znalazłaś chłopca, Ramona. Gdzie znajdę łazienkę?

- Tymi drzwiami przez salon i w prawo - wyrzuciła jednym tchem Ramona.

Gdy Grzegorz zniknął w domu, Marek delikatnym muśnięciem dłonią po ramieniu pożegnał Magdę i odszedł do samochodu. Kiedy wyjechał za bramę, Ramona odetchnęła z ulgą.

- „Zabiera się pan z nami do Warszawy?”... Magda, twój Grześ chyba nie dał się nabrać. To co powiedział...

- Gdyby tego nie powiedział - przerwała jej Magda - nasze małżeństwo byłoby skończone.

Ramona, chwytając się za głowę, powiedziała, że idzie się przejść nad rzekę, bo dla niej te ich małżeńskie sprawy to chyba za wiele.

*

Tuż przed wieczorem przyjechał Leski z dwoma ludźmi, co siedzące na werandzie Kamila z Magdą skomentowały: Chmura się jakaś oberwała czy co? Przez kilkadziesiąt minut kręcili się po krzakach, skąd prawdopodobnie padł strzał, po werandzie i ogródku z kwiatami, który cały rozgrzebali, szukając pocisku.

- Dlaczego tego nie zrobili wcześniej? - mruknęła Kamila do Magdy.

- Bo - podjął się wyjaśnienia kręcący się pod werandą Leski - pocisk miał być w cie... w ramieniu waszej koleżanki.

- Nie było go tam? - zainteresowała się Magda.

- Przynajmniej ja o tym nic nie wiem.

- Skąd pewność, że jest tu? - dopytywała się dalej. Leski spojrział na nią z niesmakiem.

- Musi gdzieś być.

- Skąd pewność - podjęła Kamila - że właśnie w ogródku? Dopiero co go podlałam.

- Zauważyłem - mruknął Leski, po czym wskazał ręką na fragment stylizowanego muru za ogródkiem. - Stąd, moje panie, że odbił się rykoszetem od muru... jest wyraźny ślad... i upadł - skierował rękę w dół - gdzieś tu! Jeśli pozwolicie, daruję sobie tłumaczenie, dlaczego i skąd o tym wiem. Kamila z Magdą łaskawie skinęły głowami.

- Nie wiem tylko, po co podlewałam ten ogródek - powiedziała Kamila i mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem, śledziła wzrokiem wracającą groblą Ramonę. - Co ona, u diabła, tam niesie?

Ramona kroczyła groblą, trzymając coś w dwóch palcach. Leski odruchowo spojrział w tamtą stronę i znieruchomiał. Kiedy weszła furką na podwórko, zobaczyły, że trzyma w dwóch palcach skierowany lufą w dół rewolwer.

- Patrzcie, co znalazłam! - zawołała. - Na spacerze! Leski chwycił się za głowę i zaklął.

- Po jakiego... Po co pani to ruszała! Proszę mi to oddać!

Wyjął z torby, leżącej na schodach werandy, foliowe opakowanie i podsunął je pod rewolwer. Ramona od razu, z nagłym strachem, go tam wrzuciła.

- Załatwiła sobie pani w ten sposób - dodał mściwie - po wieczne czasy obecność swoich odcisków palców w naszej kartotece.

- Już mam! - zawołała Ramona beztrąsko. Leski zerknął na nią z niedowierzeniem.

- Ma! - potwierdziła Magda. - Nie musi pan...

- Prosiłbym panie bardzo - przerwał jej Leski z hamowaną złością - żeby sobie gdzieś siadły i pozwoliły mi pracować. Bo się ściemnia! - Wlepił wzrok w Ramonę. - Gdzie to leżało?

- Nie leżało. Było wsunięte... Między stare gazety... Zaczęłam je przeglądać...

- Gdzie?! - ryknął jej w twarz Leski.

- W domku letnim - wyrzuciła z siebie Ramona.

Leski myślał, że już go tego popołudnia nic nie zaskoczy. Patrzył głupawo to na Ramonę, to na Kamilę i Magdę. Magda z Kamilą jak na komendę wzruszyły ramionami.

- Był tu dzisiaj pan Berg? - spytał Leski z niesamowitym spokojem.

- Pojechał gdzieś... - Do Kamili w jednej chwili dotarł sens znaleziska. - Chyba nie myśli pan, że Borys...

- To niemożliwe! - poparła ją gwałtownie Magda. Ramona bezwładnie oparła się o poręcz werandy. Na twarzy Leskiego pojawił się krzywy uśmiech.

- Szukaliśmy pocisku, znaleźliśmy broń...

- Ja znalazłam - nieśmiało wtrąciła Ramona. Leski ją zignorował.

- Znajdziemy pocisk, dopasujemy jedno do drugiego... Chłopaki, przyłóżcie się! - krzyknął w stronę policjantów. - To musi tam gdzieś być!

Ale tego tam nie było. Znalazły się stare, zardzewiałe grabki, kilka gwoździ i jedna moneta. Nic więcej.

Kiedy Borys wrócił i wszedł na podwórko, Leski zamachał mu przed oczyma torebką z umieszczonym w niej rewolwerem.

- Czy to pana broń, panie Berg? Borys tylko zerknął.

- Nie. To broń Julii.
 - Pani Dunin? Od jak dawna ją ma? Borys wzruszył ramionami.
 - Dokładnie nie wiem. Piotr, jej mąż, nalegał... Kilka lat... Pięć, sześć.
 - Miał pan do niej dostęp, panie Berg?
 - W każdej chwili.
- Szczerłość odpowiedzi Borysa nieco zdumiała Leskiego.
- Czy ktoś strzelał ostatnio z tej broni?
- Borys kiwnął głową.
- Kiedy? - dopytywał Leski.
 - W sobotę.
 - W ostatnią sobotę?
 - Zgadza się.
 - Wie pan może kto?
 - Wiem.
 - Kto?
 - Ja.

Magda potem powiedziała, że zawsze pociągała ją w Borysie ta jego niewzruszona, niezachwiana niczym konkretność. Borys nie nadużywał słów ani gestów, ograniczając jedno i drugie do maksymalnego minimum. Ale przynajmniej zawsze odnosiło się wrażenie, że to, co mówi i robi, jest pewne.

Jak teraz.

Świat stanął na głowie i nic nie było już pewne. Jeden strzał, jedna chwila i cały ciąg zachowań, który zmienił wszystko. Dawno wróciłyby do domu, do życia, jakie było, i trwałyby w nim jak dotąd do jakiegoś krytycznego momentu, do jakiejś chwili, która przyniosłaby opamiętanie i jakiś kres czegoś. Do końca życia mogły się spotykać i udawać, że żyją. Nawet sobotnie wyznania przed „tą chwilą” mogły zbagatelizować, zapomnieć, udawać, że chwila słabości i tyle.

Borys sprowadził konie do stajni i dopiero wtedy poszedł za Leskim pod czujną eskortą dwóch policjantów. Odjechali.

*

Spotkała psa na drodze leśnej, daleko od domu. Poszedł za nią, ale warczał. Za każdym razem, jak się oglądała. Przestała się oglądać i nie była pewna, czy idzie za nią. Dopiero w domu, kiedy się zobaczyli: ten pies i ten chłopak, wiedziała, że to będzie jego pies. Przyłgnęli do siebie, jedno nieszczęście do drugiego.

Jak ma na imię pies?

*

- Panie Berg - odezwał się Leski, siadając za biurkiem - nie proponuję panu kawy, bo chyba pan nie pije...

- Rzeczywiście - odparł Borys.

- Szkoda czasu na takie pierdoły.

- Szkoda.

- Kobieta śpi, a mogła nie żyć... Był pan w Jugosławii...

- Krótko.

- A w wojsku?

- Nie byłem.

- Tam by pana nauczyli strzelać.

- Może.

- Celnie.

- Do tej pory nie było mi to niezbędne do życia.

- Do jakiej pory? Do soboty?

- W ogóle.

- W ogóle co?

- Na cholerę mi to!

- To, że śpi, nie znaczy, że będzie żyć.

- Będzie.

- Nikt tego nie wie.

- Nie strzelałem do niej.

- A do kogo? Do którejś z nich?

- Do żadnej.
- Więc do czego pan strzelał?
- Do rzeki.
- Jak to?
- Zwyczajnie.
- Chciał pan ją zabić, strzelał pan do rzeki?
- Nie chciałem jej zabić!
- A jednak...
- Na cholere miałbym do niej strzelać, skoro miesiąc temu uratowałem jej życie!
- Julii? Julii Dunin pan uratował życie?
- A komu, kurwa?! Wierzbie płaczącej nad rzeką?

BORYS

Ostatniej wiosny było kurewsko ciężko. Nawet jak dla niego. Bank to była dla Julii ostateczność, jednak poszła tam. Parę miesięcy spokoju, jakaś nadzieja, a potem nóż w plecy. Bez ostrzeżenia. Nie wiadomo, co ją powaliło bardziej: zablokowana gotówka, bez której można było jeszcze jakimś cudem przeżyć lato, ale już nie jesień, czy intryga, którą wokół niej uknuto, by zagarnąć wszystko. Legalnie.

Nie powiedział jej, że w tym wszystkim tkwił jeszcze Wiktor Tański. Tak, ten Tański. Kumple ze szkoły. Jeden wart drugiego. Ten ostatni na tyle cwany, że grały w tym wszystkim tylko jego pieniądze i znajomości, dzięki którym niejedno dało się załatwić. Hotel Arkadia, równie pretensjonalny jak sama nazwa, z całą rosnącą z miesiąca na miesiąc infrastrukturą, stawał się idealnym interesem na przyszłość dla dwóch drani. Do pełni szczęścia brakowało tylko kilku hektarów pięknie położonych łąk nad rzeką. Jak je mogli wykorzystać? Choćby tak samo jak oni - jako zaplecze dla stadniny. Albo kort tenisowy... I na dziesiątki innych możliwości. Chyba w pewnym momencie przestało chodzić już o to, co z tego mogło być, tylko żeby to w ogóle mieć.

Skąd wie o Tańskim? Niektórych rzeczy można się domyślić, tylko patrząc. Piotr, mąż Julii, którego z premedytacją wciągnęli w długi, spędził tam trochę czasu na grze. Był naiwny jak dziecko, ale chyba nie aż tak, żeby nic nie widzieć i nie słyszeć. „Pomóż mi - powiedział kiedyś - bo chyba się z tego nie wykaraskam”. Poszedł więc tam, dokładnie wiedząc, z jakimi aroganckimi skurwysynami ma do czynienia, więc pewnie i tak guzik wskóra, ale przynajmniej dał im coś do zrozumienia. Oberwał od dwóch goryli na odchodne i tyle zyskał.

Co można było im udowodnić? Tański nie był tak głupi, żeby póki bawił się w politykę, zostawiać jakikolwiek ślad w tym interesie. Wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Jakimowski nie chciał ukraść ziemi Julii, tylko ją kupić. I nigdy przed nikim tych swoich zapędów nie ukrywał. Ich karłowate imperia, podobnie jak moralność, kwitły. Są ludzie, którzy muszą mieć wszystko. A nawet chyba i wtedy zdaje im się, że wszystko to za mało. Wtedy jest jakaś nadzieja, że nienasycona pazerność ich zgubi. Tylko kiedy?

Podniósł Julię z ziemi, gdy wróciła z banku, i zaniósł do domu. Chyba coś próbował tłumaczyć, pocieszyć. Nie chciała na nic patrzeć i nic widzieć.

Nie wie, jakim cudem udało mu się ją namówić na leczenie. Nie musiał być lekarzem, by widzieć, w jak głębokiej depresji się znajduje. Przez parę miesięcy funkcjonowała dzięki psychotropom. Kiedyś zauważył, że jest ich dziwnie mało. Nic wielkiego się nie działo, tylko była bardziej otumaniona niż zwykle. Nie wie, czy wzięła więcej tabletek, by się otumanić, czy sondowała, ile potrzeba do całkowitego zapomnienia, czy tylko przez pomyłkę. Wszystko jedno, nie wnikał. Odtąd trzymał leki przy sobie i wydzielał po tabletkę, dwa razy na dzień. Patrzyła mu w oczy z nienawiścią. Przyzwyczał się. Mogła sobie patrzeć. Byle

tylko była. Coś musiało się w końcu zmienić, w tę czy inną stronę.

I coś się zmieniło. W jej głowie.

Któregoś dnia wrócił z łąki po papierosy do domu i kiedy wszedł do salonu, zobaczył ją siedzącą na podłodze, tyłem do wyjścia; trzęsła się cała, łkając, szarpała coś nieporadnie. Podeszedł bliżej i wtedy zobaczył. Usiłowała odbezpieczyć rewolwer. Nikt jej wcześniej nie pokazał, jak to się robi, albo była zbyt roztrzęsiona, by wykonać prostą czynność - nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Nie miał też żadnych wątpliwości co do jej intencji. Jednym ruchem wytrącił jej broń z ręki. Krzyczała, że go nienawidzi i że i tak umrze.

- Nie umrzesz - powiedział.

Wziął ją ze sobą na łąkę, posadził na trawę, bo sam musiał suszyć siano, i powiedział, że jak zechce uciec, to i tak ją dogoni. Potem towarzyszyła mu w pojeniu koni i zaganianiu do stajni. I we wszystkim innym. Na koniec rozłożył kanapę w salonie, przyniósł z jej pokoju pościel, a ze stajni kawałek grubego sznura. Przywiązał jej lewą rękę do swojej prawej i tak spali. Jedną noc, drugą, dziesiątą... Nie ma pojęcia, ile nocy minęło.

Tak mu się to spodobało z tym sznurkiem, że na dzień przygotował dłuższy. Powiesił go na werandzie i powiedział, że jeśli się nie opamięta, to będzie ją na tym sznurku prowadził. Cały dzień. Było tyle roboty i tak mało czasu, żeby odwracać się ciągle i patrzeć, czy jest, czy siedzi na łące, czy w ogóle żyje.

Cały czas starała się być w zasięgu jego wzroku. Znała go chyba na tyle, by wiedzieć, że nie popuści. Chodziła jak łagodne źrebię, z nieprzytomnym wzrokiem, potykając się o kamień czy rzuconą deskę, ale nie złorzecząc. Ani na niego, ani na nic więcej.

Uspiała jego czujność tą łagodnością. Przestał się oglądać co sekundę i sprawdzać, co robi, bo przeważnie nie robiła nic, tylko siedziała i patrzyła przed siebie. Pomyślał wtedy, że w końcu spłynie z niej ta apatia i pewnego dnia obudzi się, zacznie mu pomagać, walczyć o to, co jeszcze zostało. Potrzebował tego bardzo, bo sam już zaczynał tracić wiarę w to, że jeszcze cokolwiek uratują. Zamiast tego usłyszał, jak siedząc tyłem do niego na werandzie, mówi: „Po co robisz to wszystko? Po co?”.

Tyle było pogardy w jej głosie i tyle beznadziei, że nie wytrzymał. Chwycił ją za włosy i zawlókł do samochodu. Rzucił na tylne siedzenie, tak że uderzyła głową o drzwi, i krzyknął jej w twarz, że daje jej ostatnią szansę, by się opamiętała i zaczęła o cokolwiek walczyć. Obraz dzieci umierających z głodu w Afryce na nikim już nie robi wrażenia. To tylko obraz. Płaski jak ekran telewizora. Podawany między prezentacją najnowszej kolekcji modnego projektanta przez niedożywione modelki a rewelacjami o ostatnich odkryciach genetyków i co z nich może wyniknąć jest tak samo nierzeczywisty jak jedno i drugie. Nie zabierze jej do Afryki, by w pełnych wymiarach dotknęła tragedii głodnych dzieci. Może jej pokazać co innego i to będzie ostatnia rzecz, którą chce jej pokazać. „Twoja sprawa, co z tym zrobisz” zakończył, kiedy dotarli do ośrodka hipoterapii, prowadzonego przez jego dobrą znajomą.

Zdziwiła się trochę na ich widok, ale kiedy ją poprosił, bez słowa wzięła Julię za rękę i zaprowadziła w głąb tętniącego życiem ośrodka. Dzieci z zespołem Downa tuliły policzki do szyi prowadzonych na wodzy koni. Śmiały się i pokrzykiwały, a Julia patrzyła na wszystko spode łba, niechętnie i z zaciętymi ustami, a jej oczy mówiły: No i co z tego. W pewnym momencie zobaczyła dziewczynę leżącą na wyścielanej ławce i to chyba wreszcie przykuło jej uwagę. W

poblizu ławki skubała trawę młoda klacz. Co chwila wyciągała szyję i muskała nozdrzami twarz dziewczyny. Za każdym razem oczy dziewczyny błyskały prawdziwym szczęściem. Klacz jakby doskonale zdawała sobie z tego sprawę, odsuwała się, skubnęła parę razy trawę, po czym zbliżała łeb do leżącej, porcjując dawki radości i szczęścia.

- To Basia - powiedziała właścicielka ośrodka. - Trzy lata temu miała wypadek. Całkowicie sparalizowana. Ojciec przywozi ją tu codziennie na godzinę, dwie. Latem oczywiście. Jesień i zima to dla małej cztery ściany i sufit. Jak ją położą, tak leży.

- Wolałabym umrzeć, niż tak żyć - wpadła w ton Julia.

Kobieta zerknęła na nią kątem oka. Chyba się domyśliła, po co Borys ją tu przywiózł.

- Umrzec jest najłatwiej - powiedziała. - Tylko co z tego.

Borys podszedł do dziewczyny. Pochylił się nad nią.

- Idziemy na spacer, mała?

Dziewczyna niezdarnie poruszyła głową, oczy jej się zaśmiały. Wziął ją na ręce i poniósł w łąki. Klacz poszła za nimi.

Julia niechętnym wzrokiem patrzyła, jak niesie ją, pochyla się nad nią i coś mówi, a ona śmieje się i piszczy z radości, jakby nie wiadomo jakie spotkało ją szczęście.

- Tylko Borys może to robić - skomentowała kobieta. - Tylko on jest wystarczająco silny.

W drodze powrotnej nic nie tłumaczył Julii, o nic nie pytał. Przed domem wysiadł z samochodu i poszedł do stajni. Ścieląc koniom świeżą słomę, całą siłą woli powstrzymywał się, by nie wyjść i nie sprawdzić, co robi. Udało mu się. Po godzinie, gdy skończył i wyszedł ze stajni, zobaczył, że zamiata werandę, a potem podlewa kwiatki pod werandą. Najwyższa pora - pomyślał i gwizdnął na psa, który węszył za czymś na grobli. Poszli razem nad rzeką do domu, najedli się i

wyspali. Pies też, zdaje się, czując niepokój pana, od tygodni nie spał tak dobrze.

Nie, wcale nie był pewien natychmiastowej przemiany Julii ani tego, że nagle po tym, co jej pokazał, zechce znów żyć. Dał jej wolną rękę, nic nie mówiąc, powiedział: rób, co chcesz, ja już nie mam siły, muszę się wyspać. Żyj lub nie. Zrobiłem wszystko. Reszta to już twój wybór.

Kiedy nazajutrz wrócił do niej, wypuszczała klacze ze źrebiętami do osobnej zagrody. Resztą on się zajął.

Żyła. Nie odzywała się do niego przez parę dni i on się do niej nie odzywał. Machinalnie wykonywała wszystkie czynności, jadła tyle, żeby nie umrzeć z głodu, a wieczorami siadała na werandzie w bujanym fotelu i bujając się w nim, przez godzinę, dwie, patrzyła w jeden punkt, a potem zrywała się nagle i szła spać.

Nie miał złudzeń - jeśli postanowiła żyć, to nie dlatego, że tego chciała, tylko że umrzeć po tym, co zobaczyła, było wstyd. Dawała mu to odczuć na każdym kroku, starając się bardzo, by nie okazać najmniejszej wdzięczności. Za nic.

Machnął ręką na jej nastroje. Postanowił przetrwać, z jej udziałem lub bez, do jesieni, kiedy pierwsze pieniądze pozwolą spojrzeć inaczej w przyszłość, a czas z dnia na dzień będzie leczył jej wewnętrzne rany. Taka jest rola czasu. W ostateczności będzie musiała sprzedać te łąki i też jakoś to przeżyć.

Z każdym kolejnym dniem coraz mniej było w niej niechęci do wszystkiego i coraz mniej machinalnie robiła to czy tamto, co pozwoliło odetchnąć jego cały czas napiętym, mimo wszystko, zmysłom. Kiedy więc w dniu przyjazdu Magdy, Ramony i Kamili wróciła o drugiej z zakupów, trzasnęła drzwiami auta i szła do niego z wściekłością na twarzy, zwątpił w swoją teorię terapeutycznego działania czasu.

- Daj mi rewolwer - zawołała z daleka - bo muszę coś zrobić!

Nie wierzył w to, co usłyszał. Poczuł w klatce piersiowej krótki, ostry ból i zawrót w głowie. Niewiele myśląc, wyjął rewolwer ze schowka, z pasją wystrzelał zawartość magazynka do rzeki i rzucił jej go pod nogi.

- Idź w cholere - powiedział - rób, co chcesz, zabij się, jeśli chcesz, jeśli nie potrafisz żyć, wstajesz tylko po to, żeby wstać, i kładziesz się tylko po to, żeby zasnąć.

Roześmiała mu się w twarz.

- Mam zapasowe...

- Dawno się ich pozbyłem!

Wtedy złagodniała w jednej chwili, usiadła na grobli i pochyliła głowę.

- Borys - szepnęła - nie bój się... To nie dla mnie. To dla nich. Za to, co jej zrobili.

W tej samej chwili dostrzegł wjeżdżające na podwórko auto, z którego wysiadła Magda.

Podniósł rewolwer i nie pamięta, co z nim zrobił. Pewnie tak, pewnie poszedł z nim do domku letniego i wsunął między gazety.

Nie ma pojęcia, o czym mówiła Julia. Mógł się tylko domyślać, że coś się wydarzyło, gdy była w mieście. Zawsze wracała z zakupami najpóźniej o pierwszej, a i tak nie mogła się pozbierać i prosiła nieraz, żeby jej pomógł zrobić to czy tamto, bo zaraz przyjadą dziewczyny, a ona jest w lesie.

Potem przyjechała Ramona i Kamila i w całym tym ich babskim zamieszaniu nie było ani czasu, ani okazji, żeby zapytać Julię, co się stało. Obrządził konie, pozamykał wszystko i o ósmej, jak zwykle, gdy były, odszedł z psem do swojego domu, pewny - po raz pierwszy od wielu miesięcy - że Julia nic głupiego nie robi. Tylko że gdy odchodził, zawołała za nim: „Borys, może byś dziś...”. Co? „Może byś

dzisiaj nie..." Nie mówiła nigdy nic takiego, więc mocny sen, jaki sobie na tę noc wymarzył, został tylko w marzeniach.

I tak jest do tej pory.

*

Pies leżał na drodze przed bramą i nie reagował na próby sprowadzenia go na podwórko. Zignorował także miskę z żarciem, którą wystawiły mu za ogrodzenie, kiedy dotarło do nich, że będzie leżał na drodze i czekał na pana, póki ten nie wróci.

Długo siedziały na werandzie, otulone swetrami, a kiedy mimo to zmarzły, weszły do domu i podchodziły co chwilę do okna, wyglądały, nasłuchiwały. Borys nie wracał.

O świcie zerwały się wszystkie i wyjrzały na drogę: pies ciągle tam leżał. Kiedy zaczęły się zastanawiać, czy i jak wypuścić konie ze stajni, usłyszały radosny skowyt psa i odetchnęły z ulgą. Po chwili zobaczyły Borysa idącego nie drogą tym razem, tylko od strony rzeki.

- Wczoraj w nocy wróciłem - wyjaśnił. - Nie chciałem was budzić.

Poszedł od razu do koni, zostawiając ich niewypowiedziane pytania bez odpowiedzi. Patrzyły za nim chwilę, po czym Magda wzruszyła ramionami.

- Skoro jest...

- No właśnie - dopowiedziała Kamila. - Nikt i tak by nie uwierzył... Nie on.

Przy śniadaniu zadzwoniła komórka Ramony. Wyszła z nią na werandę, ale i tak słyszały.

- Naprawdę jestem ci potrzebna? Nie żartuj... Tyle razy powtarzałeś, że... Ja wiem, wiem..., ale w końcu straciłam nadzieję, że kiedykolwiek... Że w ogóle przestaniesz mnie nienawidzić... Wrócę, tylko nie wiem jeszcze dokładnie... A ta pielęgniarzka, co przychodziła na początku? Nie może? Dobrze, pomyślę... Postaram się...

Kamila z Magdą posłały sobie znaczące spojrzenia.

- Jak myślisz - odezwała się cicho Kamila - czy Ramona trafiła na nową pijawkę?

Magda wzruszyła ramionami, ale kiedy rozpromieniona Ramona wróciła do stołu, spytała niewinnie:

- Ramona... jak ma na imię ten... ten facet, którym się opiekujesz?

Ramona zaczęła zamaszystymi ruchami smarować sobie masłem kromkę chleba i nie patrząc na nie, burknęła:

- Wiem, o co wam chodzi. Ale nic z tego. Nie jestem już taka głupia.

Potem nagle zdecydowała, że musi na chwilę wpaść do Łodzi, zobaczyć, jak sobie radzi ojciec i dziewczyna w księgarni. Zabierze się z nimi, jak będą jechać do Julii i stamtąd autobusem...

- Jak chcesz. - Magda lekceważąco machnęła ręką. - Jeśli odjedziesz teraz, to już pewnie nie wrócisz. Potem Kamila uzna nagle, że musi zobaczyć, co się dzieje w domu. Potem ja... Zostawimy ją samą. W końcu ją zostawimy.

Żadna nie przytaknęła, ale i nie zaprzeczyła.

Milczały całą drogę do szpitala. Tuż przed wjazdem do miasta Ramona powiedziała, że wróci. Na pewno wróci. Ale to prawda, że nawet jeśli Julia się nie obudzi, w końcu ją zostawią, bo każda ma swoje życie.

- Twój mąż, Magda - dodała na koniec - w kilku zaledwie słowach udowodnił, jak wiele dla niego znaczysz...

- Och - przerwała jej Magda ze złością - niech nie myśli, że przyjechał, powiedział parę słów i wszystko!

- Ani mój - wtrąciła Kamila - że spojrział... i też wszystko.

Obydwie - i Kamila, i Magda - zagryzły wargi, zmarszczyły czoła i patrzyły pochmurnym wzrokiem: Kamila w przednią, Magda w boczną szybę. Ramona, zerkając na profil Kamili, uśmiechnęła się nagle.

- A więc zauważyłaś?

- Co?!

- Jak na ciebie patrzył.

- A jak miał patrzeć?

Ramona puściła oko do Magdy.

- No wiesz...

- Nie wiem!

- Jak zakochany.

Kamila prychnęła pogardliwie.

- Mój mąż nigdy nie był we mnie zakochany.

- Może i nie był - włączyła się Magda - ale teraz jest.

- To już twoja sprawa - dorzuciła szybko Ramona, uprzedzając sprzeciw Kamili - co z tym zrobisz.

- Rzeczywiście moja! Znalazły mi się... uzdrowicielki życia rodzinnego! Zajmijcie się swoim popapranym życiem. Nigdy w życiu nie widziałam takich wariatek.

- Widziałaś - powiedziała pogodnie Magda. - Zaglądając dwadzieścia razy na dzień do lustra. Żeby sprawdzić, czy ci makijaż pasuje do bluzki.

- Albo jedno oko do drugiego - parsknęła Ramona. Kamila z politowaniem pokręciła głową, kiedy dusiły się oboydwie ze śmiechu.

W szpitalu pochyliła się nad Julią i powiedziała, że ma koleżanki, które zachowują się, jakby miały po siedemnaście lat, a mają po czterdzieści.

- Trzydzieści dziewięć - sprostowała Magda i wtedy Kamila parsknęła śmiechem.

Zatykały sobie usta i odwracały w drugą stronę, bo, jak powiedziała Kamila, nie wygląda to za dobrze ani przed pielęgniarkami, które kręcą się w tę i z powrotem, ani przed Julią. Wtedy dostrzegły pogodny grymas na twarzy Julii, ale już za chwilę go nie było. Ramona położyła ręce na twarzy.

- Widziałyście to?!

- Co?
- Jej uśmiech!
- Ja widziałam, ale to chyba nie to...
- Jak nie to?
- Może i to, ale to tylko... jakiś grymas.
- Ja też widziałam.
- Jak to grymas? Uśmiechnęła się!
- Może i tak... Nie wiem.

Weszła pielęgniarzka i zapytała, czy wiedzą, gdzie się znajdują. Skwapliwie przytaknęły i, wychodząc, pożegnały Julię uśmiechem.

*

Jak ma na imię pies?

*

Kiedy Ramona wróciła wieczorem, zdziwiły się bardzo. Ona też się zdziwiła, gdy zobaczyła bałagan w salonie: pootwierane szafki, poodsuwane meble, stosy papierów walające się po podłodze.

- Co tu robicie? - zawołała.
- Szukamy.
- Czego szukacie?

Kamila z Magdą wzruszyły ramionami. Tego, co tuż przed strzałem chciała im pokazać Julia, ale co to może być, nie mają pojęcia. Nawet w przybliżeniu. Mogły to już znaleźć dziesięć razy, a może dopiero znajdą...

- Wróciłaś... - stwierdziła z niemałym zaskoczeniem Magda.

- Mówiłam, że wrócę.
- Nie uwierzyłyśmy.
- Skąd wiecie, że to tu, w salonie?
- Nie wiemy - przyznała Kamila. - Skończymy salon, pójdziemy do sypialni.
- A potem do piwnicy - dodała Magda.

Ramona, jakby wróciła z innego świata, patrzyła na nie i kręciła głową. Nie podobało jej się to grzebanie w cudzych rzeczach i cały ten bałagan. Jeśli Julia zbudzi się i wróci...

- Jeśli Julia się obudzi - przerwała jej Kamila - wszystko inne przestanie mieć znaczenie. Przestań truć.

Przed północą usiadły pośrodku salonu na kanapie, zmęczone i zawiedzione. Może rzeczywiście to mogło być cokolwiek i nic nie znaczyć, a przynajmniej nie tyle, by trzeba było przewracać dom do góry nogami i zmarnować tyle godzin. Nie mogły pozbyć się wrażenia, że coś zawisło w martwym punkcie, że przyszedł kres ich oczekiwania i że nic się już nie zdarzy.

- To nie był uśmiech - odezwała się nagle Ramona.

- A co? - obojętnie spytała Magda.

- Jakiś cień...

Cień czy uśmiech... Co za różnica. Ramona oczywiście mogła mieć rację. Choć z drugiej strony mogła jej wcale nie mieć.

Nie spytały nawet, co w domu, u ojca, czy tego... jak mu tam... Dom, najbliżsi to kolejne pojęcia oderwane od rzeczywistości, w której się znalazły i od wielu dni, bez względu na skutki, trwały.

- Wracam do domu - odezwała się nagle Magda, wpatrzona dalej w ścianę naprzeciw.

Kamila z Ramoną też patrzyły. Dopiero po chwili Kamila powiedziała sennym głosem:

- Tylko najpierw tu posprzątaj.

Nazajutrz przed południem Magda byle jak powrzucała swoje rzeczy do torby, wsiadła do samochodu i odjechała. Kamila i Ramona, pijąc kawę na werandzie, odprowadziły ją milczeniem. Patrzyły, jak auto wyjeżdża z podwórka, a potem ginie tuż za nim, za kępą krzewów.

Ożywiły się dopiero, gdy po dwudziestu minutach samochód Magdy wjechał z powrotem na podwórko. Wstały jednocześnie, nie wiedząc, co myśleć ani co powiedzieć. Magda nie miała takich dylematów. Energicznie wysiadła z auta, śmiało wkroczyła na werandę.

- Wiem, gdzie to jest - powiedziała pewnym głosem, idąc w stronę radia stojącego na stoliku w kącie werandy. Uniosła je lekko i wyjęła spod niego średniej wielkości kopertę. - Przypomniałam sobie w samochodzie, że jak Julia wynosiła zakupy z bagażnika, to coś jej wypadło, a ona szybko to gdzieś wsunęła.

Kamila z Ramoną niecierpliwie patrzyły, jak Magda z wielką niecierpliwością rozrywa kopertę.

- Po prostu - mówiła drżącym głosem - stanął mi przed oczami cały obraz.

- Tak ni stąd, ni zowąd? - zdziwiła się Kamila. Magda odpowiedziała z przekonaniem:

- Widocznie przyszła na niego pora. I po co było robić tyle bałaganu, nie wiem.

- Wyjmij wreszcie to, co tam jest - warknęła Kamila - i nie gładź. Bo nie wytrzymam.

Magda jednym ruchem wyciągnęła z koperty złożoną na cztery kartkę, zerknęła na nią, po czym kolejnym ruchem rozłożyła. Zerknęła raz, drugi i trzeci, jakby chcąc do granic możliwości spotęgować w Ramonie i Kamili napięcie. Potem jeszcze raz przeleciała całość wzrokiem i powiedziała z niedowierzaniem:

- Marzanna M.? To niemożliwe...

To Julia pierwsza zaczęła ją tak nazywać. „Marzanna Majewska - mówiła - to jakieś nieporozumienie dla istoty tak zjawiskowej, niepospolitej i niezwykłej. Marzanna M. - tak może być. Nie za mało i nie za wiele".

Mało kto, a już na pewno nie koleżanki Julii, podzielał ten podziw dla smukłej, oderwanej zupełnie od ich dziewczęcych spraw nastolatki.

- Nie w tym rzecz - tłumaczyła Julia za każdym razem, kiedy zgłaszały pod adresem Marzanny jakieś „ale”, przeważnie jako kontrargument wobec jej bezkrytycznych zachwyty nad „tą małą” - że ma zupełnie niesamowitą, chłopięcą figurę...

- Bo jest od nas młodsza o dwa lata, gówniara - wtrącała Magda. - Przeskoczyła w podstawówce dwie klasy, nim się zbuntowała... To jeszcze nie w pełni rozwinięty dzieciak.

- ...ani o to - ciągnęła Julia - że wie więcej niż my wszystkie razem wzięte.

- Tylko o co? - pytały, udając, że je to w ogóle interesuje.

- O tę jej absolutną ignorancję, jeśli chodzi o pojęcie zła. Albo się z nim nigdy w życiu nie zetknęła - choć przecież musiała o nim słyszeć - albo zło do niej nie dociera, albo ma w sobie coś... Nie wiem co... co je natychmiast z jej świata eliminuje.

- Rzeczywiście - Magda nie dawała się przekonać - to może być najzwyklejsza w świecie ignorancja.

- Ale w ogóle nie rozumiecie, o czym mówię - denerwowała się Julia.

Rzeczywiście, nie rozumiały.

- W gruncie rzeczy - kontynuowała - chodzi mi tylko i wyłącznie o to, że Marzanna M. nie jest w ogóle zdolną do wyrządzenia komukolwiek jakiegokolwiek, nawet najmniejszego zła. Czy któraś z nas z czystym sumieniem może coś takiego o sobie powiedzieć?

- Ja na pewno nie - przyznała szczerze Magda. - Niech mi ktoś spróbuje dokopać. Odwdzięczę się z nawiązką. A jeśli chodzi o Marzannę, to może po prostu jest ograniczona.

W kwestii Marzanny M. ostatnie słowo zawsze należało do Julii:

- A może to po prostu anioł.

Zapytały Borysa, czy nie wie, gdzie mieszka matka Marzanny M. Wiedział. Wy tłumaczył im dokładnie, po czym oddalił się z psem, nie pytając, dlaczego chcą wiedzieć. Znowu zauważyły, że nie pamiętają, by Borys kiedykolwiek o coś pytał. Mogły się tylko dziwić, że nie pyta nawet o Julię. Ani razu. Gdyby siedziały beczynn timer na werandzie, pijąc kawę, pewnie by się zdziwiły. Teraz nie miały na to czasu - wsiadły do samochodu Kamili i odjechały spod domu.

Przez pół godziny jechały wśród zagubionych w lasach małych wiosek, aż w końcu trafiły do tej właściwej.

- Jakie piękne domki! - zachwyciła się Ramona drewnianymi, pomalowanymi na różne kolory chatkami. Na niektórych były jeszcze strzechy.

- W którymś z nich urodził się anioł - mruknęła posepnie Magda.

Kiedy wchodziły na otoczone drewnianym płotem podwórko, najpierw zwróciły uwagę na setki różnokolorowych astrów, które rosły wszędzie, dopiero potem zauważyły starą kobietę na ganku.

Przedstawiły się, dukając, jedna po drugiej, a kobieta nie przestawała się uśmiechać - ani kiedy się przedstawiały, ani kiedy im tłumaczyła drogę do córki. Do końca wsi, potem leśną drogą trzy kilometry do leśniczówki...

- Jak to? - nie wytrzymała Kamila. - Marzanna nie wyjechała?

- Do Chicago? - dorzuciła Magda.

- Julia też - kobieta uśmiechała się cały czas - się zdziwiła. W zeszłą sobotę... Byłam z sąsiadką na zastrzyku w mieście. Jak wracałyśmy, zatrzymała się przed sklepem i Julia akurat wyszła...

Domyśliły się już, że Julia była tu przed ich przyjazdem. Sądziły tylko, że spotkała się z matką; teraz, patrząc na tę prostą kobietę, zastanawiały się, jak też mają o tym wszystkim z nią rozmawiać. Gdy dotarło do nich, że Julia tamtej soboty spotkała się z Marzanną, mimo wszystko odetchnęły z ulgą. Magda, odczuwając jakiś niedosyt, zapytała, jak to się stało, że Marzanna i Julia przez dwadzieścia lat nie spotkały się nigdy. To w końcu tylko dwadzieścia parę kilometrów, są pewnie jakieś wspólne miejsca, w których ludzie, siłą rzeczy, w ciągu tylu lat muszą się spotkać.

- Marzanna nigdy nie wyszła dalej jak parę kilometrów od tego domu i leśniczówki - usłyszały.

Ale chyba nie przez dwadzieścia lat?!

Kobieta nic już nie powiedziała. Odwróciła się i weszła do domu.

Wyobrażały sobie nieraz, że Marzanna M., ale tylko w szkole - bo potem nigdy o niej nie rozmawiały - skończy jakąś tam paleontologię na uniwersytecie w Chicago, na którym, tak jej pisał wujek, jest jeden z lepszych ośrodków paleontologii w kraju, wyjdzie za mąż za roztargnionego naukowca, najpewniej z tej samej branży, i oderwani od rzeczywistości będą przetrząsać tony piachu w Kenii w poszukiwaniu skamieniałości brakującego ogniwa. Sama Marzanna M. w to chyba najbardziej wierzyła. I właściwie o niczym innym, kiedy była z nimi, nie mówiła.

Zobaczyły najpierw dwóch smukłych nastolatków i pięćdziesięciokilkuletniego na oko mężczyznę przed otoczoną dębina i sosnami leśniczówką. Wszyscy trzej z zapalem układali kłody pod szopą.

Matka dwóch chłopców, żona leśniczego w oderwanej od świata leśnej samotni - to była zbyt śmiała wizja. Kiedyś by nie uwierzyły. Teraz nie miały wyjścia.

Marzanna M., smukła i dziewczęca jak dwadzieścia lat temu, wyszła przed dom, gdy tylko podjechały. (Powietrze tu jest cudne - zdążyła zauważyć Ramona). Patrzyła przez chwilę z zaciekawieniem, a kiedy podeszły bliżej, odezwała się z niedowierzaniem:

- Magda...? Ramona...

Usiadła na schodach i na chwilę schowała twarz w dłoniach.

- Co się dzieje? - zaskamlała jak osaczone zwierzę. - Tydzień temu była tu Julia...

- Julia śpi - przeszła od razu do rzeczy Kamila. - Nie słyszałaś nic?

- Jak to śpi?

- Jest w sypialni.

Marzanna pokręciła przecząco głową. Kiedy zobaczyła kopertę wystającą z kieszeni kurtki Magdy, od razu skierowała się ścieżką w las. One poszły za nią. Po drodze powiedziały jej, co się stało, a ona nie przestawała kręcić głową. Kiedy oparła się na polanie o konar zwalonego drzewa, zobaczyły w jej oczach rozpacz. Nigdy w życiu nie wyobrażały sobie zrozpaczonej Marzanny M.

Ramona delikatnie objęła ją ramieniem.

- Marzanna... Przecież nic nie wiedziałyśmy - powiedziała łagodnie.

- Jak można było przez dwadzieścia lat nic nie wiedzieć! - W głosie Kamili zabrzmiało bardzo wyraźnie samooskarżenie.

Magda tylko zamrugła oczami. Wtedy Marzanna M. odgarnęła włosy z czoła i po raz pierwszy spojrzała na nie otwarcie.

- Po co miałyście wiedzieć - powiedziała. - Po co miałyście wiedzieć - powtórzyła po chwili i zabrzmiało to jak jej własne, dalekie echo. Gdyby chciała, to zatrzymałaby je wtedy, gdy stanęły w drzwiach, krzyknęła, zrobiła jakiś gest.

Zabolało ją tylko spojrzenie Julii, ale zaraz tak właśnie pomyślała: Po co ma wiedzieć? Dopiero po czasie przyszło jej do głowy, że jej samej byłoby łatwiej przeżyć kolejnych kilka lat, ale wtedy nie myślała o niczym. Tylko jak się stamtąd wydostać. Wydostała się, licząc do stu, żeby nie myśleć o niczym innym.

Jak im się udało ją tam sprowadzić? Bardzo łatwo. Kiedy szła na autobus ze świadectwem maturalnym, szczęśliwa, że ma już ten konieczny etap edukacji za sobą i to, co najlepsze, dopiero będzie, Wiktor z Ryszardem stanęli przed nią. Byli zdyszani, jakby biegli i dopiero co się zatrzymali. Powiedzieli, że Julii coś się stało, jest u Wiktora. Dali jej klucze, pokazali który blok, prosząc, by zajrzała tam, nim sprowadzą pomoc. Nie namyślała się nawet przez chwilę.

Ledwo zdążyła otworzyć drzwi, byli za nią. Wepchnęli ją w głąb mieszkania, usłyszała tylko, jak Wiktor mówi: „Przegrałeś zakład. Przyszła”. I w jednej chwili umarł świat.

Umarło wszystko.

Rozległe równiny Etiopii i Tanzanii.

Na koniec sama umarła. To i tak, przyszła jej wtedy jedyna sensowna myśl, dopiero dwadzieścia tysięcy lat po ostatnim neandertalczyku.

Teraz nie jest pewna, czy to było takie sensowne.

Kiedy dotarła do domu, matka tylko spojrzała na nią i wiedziała wszystko. Powiedziała wtedy matce, że nigdy w życiu nic nie powie na ten temat i nic nie chce słyszeć.

- Słyszysz, mamgo?! Nigdy nic nie powiem. Nic!

Matka wiedziała, że dla niej skończyło się wszystko. Nigdy dotąd jej córka nie kuliła się w najdalszym kącie mieszkania i nie pytała z taką rozpaczliwą obojętnością, czemu nie urodziła jej sto tysięcy lat temu. Wtedy byli inni ludzie. Matka nie wiedziała, że wtedy byli już ludzie.

- Byli... Oni dali początek mnie i tobie.

- I temu, który ci to zrobił. Wolę wierzyć w swojego Adama i Ewę.

- Co za różnica, mamó?!

- Może i żadna.

Poszła do sąsiada, który miał samochód, i poprosiła, żeby zawiózł je na komendę. Ale nie do N., tylko do wojewódzkiej. Nie zależało jej, co sąsiad sobie pomyśli i ile z tego wyjdzie na wieś.

Na komendzie młoda funkcjonariuszka, świeżo po szkole, dla której to był pierwszy przypadek gwałtu, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest Marzanna, nie pozwoliła nikomu się do niej zbliżyć i o nic pytać. Była obecna nawet przy badaniu lekarskim. Przez trzy godziny usiłowała wydobyć z Marzanny nazwisko sprawcy. Pięć lat później być może w podobnym przypadku powiedziałyby: Rób, co chcesz, dziewczyno, nie chcesz mówić, to nie mów, twoja sprawa. Wtedy jednak była jeszcze nieskażona rutyną, świeża, tragedia jeszcze była tragedią, a łzy łzami. Kiedy więc wreszcie dotarło do niej, że ofiara postanowiła zamknąć się w milczeniu, by to zdarzenie wlokło się za nią jak najkrócej, zrobiła rzecz niezwykłą. Wystukała na maszynie oświadczenie, że ta i ta, w dniu tym i tym została brutalnie zgwałcona. Poniżej, w jej obecności, ale tylko dla swojej wiedzy, ofiara ujawnia nazwisko sprawcy. Złożyła na kartce swój czytelny podpis, przybiła wszystkie możliwe pieczętki, jakie znalazła w pokoju, po czym podsunęła ją Marzannie. „Napisz - powiedziała. - Za miesiąc, dwa świat może wyglądać zupełnie inaczej. Świadomość, że zło, które cię dotknęło, nie jest bezkarne, pomoże ci". Dodała jeszcze, że nie wypuści jej, póki tego nie zrobi. Marzanna w jednej chwili nabazgrała na dole kartki dwa nazwiska i spojrzała milicjantce ze strachem w oczy. Tamta od razu zorientowała się, że to były dwa nazwiska. Znieruchomiała na

moment, ale dotrzymała słowa. Złożyła kartkę, wsunęła do koperty i podała Marzannie.

Ani za miesiąc, ani za dwa świat się dla Marzanny nie zmienił. Kilka miesięcy spędziła w szpitalu psychiatrycznym. Kilka następnych w swoim pokoju, nie oglądając świata ani go nie słysząc. Potem bardzo powoli zaczęła wracać do życia. Jeśli coś jeszcze bardzo bolało, to tylko umierające z każdym dniem marzenie o karierze naukowej, o wiedzy, której nie zdobyła i już nigdy nie zdobędzie. Po kilku latach wszelki ból minął.

- Po kilku latach? - wtrąciła Magda. - To ile lat mogłaś mieć? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Mogłaś spokojnie zacząć studia.

Może i mogła. Wujek z Chicago ciągle pisał, że marnuje swoją życiową szansę. Odechciało jej się szukać brakującego ogniwa na równinach Afryki. Znalazła brakujące ogniwo w człowieczeństwie - to jej wystarczyło.

Potem zaczęła być szczęśliwa.

Dotąd starały się na nią nie patrzeć, rozumiejąc, jakie to dla niej trudne i bolesne. Teraz wszystkie skierowały na nią szeroko otwarte oczy.

- Szczęśliwa? - wykrztusiła Kamila. - Jak to szczęśliwa?

- Zwyczajnie. - Marzanna niepewnie wzruszyła ramionami, jakby sama nie była pewna, jak to się stało. - Przyszedł do naszego domu mężczyzna i zapytał, czy chcę być żoną leśniczego, bo właśnie dostał propozycję... Sam nie zamieszka w lesie, bo zdiczeje i być może nigdy nie przyjdzie mu odwaga, by mnie zapytać... Od razu się zgodziłam.

Od razu? Jak to od razu? A świat nauki, który stał przed nią otworem? Kariera!

- Naukowcy - ciągnęła spokojnym głosem Marzanna M. - bywają złośliwi, zawistni, skostniali w swych naukowych

teoriach i, co może się wydawać absurdalne, o bardzo ograniczonych horyzontach. Jedni wciąż chcą burzyć stare teorie, inni odwrotnie - za wszelką cenę trwać przy starych. To nie jest wcale jakiś tam idealny świat. Dużo czytam, to wiem. W dziedzinach, które mnie interesują, dzięki Internetowi jestem na bieżąco. I jakoś nie tęsknię. Nie wyrzucam sobie, że popełniłam życiowy błąd.

- No tak... tak... - Do Kamili wciąż coś nie docierało. - Ale chciałaś coś osiągnąć... Inaczej żyć.

- Coś osiągnęłam - odparła Marzanna. - Skąd miałam wiedzieć, mając siedemnaście lat, jak chcę żyć? Nieraz myślę, że trzeba umieć rezygnować z pewnych planów, marzeń... Trzeba umieć odnaleźć się w tym, co jest.

- Jeśli jest dobre - uzupełniła posepnym głosem Kamila.

Patrzyły na nią tak, jakby nie mogły się pogodzić, że po takim przejściu można odnaleźć w sobie tyle pogody ducha, pokory i zadowolenia z tego, co jest.

- Życie jest dobre - Marzanna na to. - I mądre. Jeśli uciera nam nosa, to powinniśmy wyciągać z tego jakieś wnioski.

- Nie przypominam sobie - odezwała się Magda z pewnym nadąsaniem w głosie - żebyś zamierzała studiować również filozofię.

Marzanna rozłożyła ręce.

- Przecież to żadna filozofia.

Ramona, której większa część życia upłynęła w aurze mniej lub bardziej oderwanych od świata marzeń, bardzo szanowała Marzannę M. za jej wielkie i sprecyzowane marzenia.

Kto by przypuszczał, myślały, patrząc na Marzannę M., że właśnie z jej ust padną pewne słowa. Diabli wzięli jej wielkie plany, wielkie oczekiwania nie tylko jej, bo w liceum przecież nawet woźna wiedziała, że Marzanna M., która zna

odpowiedzi na wszystkie pytania, zajdzie tak daleko, jak nikt dotąd w N.

Czuły się trochę urażone, bo jadąc w ten las, gdy wiedziały już od matki, że Marzanna nie jest żadną gwiazdą na firmamencie nauki amerykańskiej, a z pojedynczej kartki papieru - co ją spotkało, były przekonane, że wiozą jakieś wybawienie, wytchnienie przynajmniej od potworów przeszłości. Padną sobie w ramiona, one jej powiedzą: Nie wiedziałyśmy, ona im: Nie jest źle... Jakoś przeżyłam. Podniosą ją na duchu, przy okazji siebie, że zrobiły dobry uczynek, że coś wyjaśniły: za siebie, za Julię, za cały świat...

Ona tymczasem mówi im, że jest szczęśliwa. Najzwyczajniej w świecie szczęśliwa.

- A twój mąż... - odezwała się nagle Magda. - Powiedziałaś mu?

- Mój mąż to ten sąsiad, do którego matka poszła wtedy po pomoc. Nic mu nie mówiłam, on nic nie powiedział i nigdy o nic nie pytał...

- No dobrze - przerwała jej Magda. - A po latach... Nie chciałaś się zemścić?

- Masz pojęcie - dodała Kamila - jak oni sobie teraz żyją? Jak bezczelnie i bezkarnie idą przez życie, nie licząc się z niczym? Gdyby jeszcze to był tylko ich szczeniacki wybryk... Ale to nie był wybryk, oni cały czas tacy są.

Gdyby szukała zemsty, musiałaby o tym myśleć. A nie chciała myśleć, tylko zapomnieć. Od samego początku. Kiedy myśli same pchały się do głowy, liczyła - jak wtedy, gdy stamtąd wychodziła - do stu, do dwustu, a czasem do tysiąca. Mogą nazywać sobie to, jak chcą, nawet tchórzostwem. To był jej jedyny sposób, żeby zapomnieć. Nie chciała, by ich nazwiska wlokły się za jej życiem. W żaden sposób. Od razu kartkę schowała. Ból się wypalał. Z roku na rok. Jedyne, co ją bolało od czasu do czasu, to wzrok Julii.

- Julia chciała wtedy wrócić - przerwała jej Ramona. - Zatrzymała się przed blokiem i powiedziała, że coś było nie tak w twoich oczach.

- Wiem - odezwała się cicho Marzanna - powiedziała mi to w zeszłą sobotę. Mówiła, że z upływem lat coraz mniej wierzy w moją winę i to nie daje jej spokoju. Pomyślałam, że ta kartka, tyle lat przechowywana nie wiadomo po co, może właśnie powinna trafić do Julii. Więc dałam ją jej. Przeleciała wzrokiem i zbladła. Spieszyła się... Ścisnęła mnie tylko za rękę i mówiąc, że wróci, odjechała.

- Nie powiedziałaś jej tego wszystkiego, co nam dzisiaj - domyśliła się Magda. - Na przykład tego, że jesteś szczęśliwa. Dlatego taka wściekła i złamana siedziała na grobli, gdy przyjechałam.

- Nawet nie wiemy - wtrąciła Ramona - co zamierzała zrobić.

- Wiemy natomiast, co my zrobimy! - powiedziała stanowczo Kamila, a kiedy dostrzegła niepewność w oczach Marzanny M., dodała: - Nie bój się.

*

Leski znalazł się na Komendzie Miejskiej w Tomaszowie w niedzielne przedpołudnie, w dwie godziny po telefonie, jaki stamtąd otrzymał. Poprzedniego dnia koło północy zatrzymali bandziora, który na działkach pod miastem zastrzelił młodego mężczyznę, świętującego w gronie bliskich swoje urodziny przy ognisku. Na sąsiedniej działce policjant robił grilla dla kolegów z pracy z okazji jakiegoś awansu. Nie dali bandycie szans. Byli dopiero po pierwszym toście i nie zastanawiali się nawet sekundy, gdy usłyszeli w pobliżu strzał.

Zatrzymany - usłyszał przez telefon Leski - przyznał się do podobnej akcji dokładnie tydzień temu pod N.

A jednak - pomyślał Leski - pierwsza myśl, która tydzień temu przyszła do głowy: przypadkowy strzał szaleńca. Jakie to proste.

Kiedy jednak obejrzał na miejscu nagranie z przesłuchania, podczas którego zatrzymany przyznawał się do zabicia pół roku temu kobiety pod Rzeszowem i postrzelenia mężczyzny na początku lata w okolicach Radomia i jeszcze kilku innych (wszystko w sobotni wieczór, gdy ofiary uczestniczyły w imprezie na powietrzu) mniej lub bardziej skutecznych akcji, w pewnej chwili zbladł. Dokładnie w chwilę po tym, jak bandzior na pytanie: „Czy był pan tydzień temu koło północy w gospodarstwie rybnym pod N.”, odpowiedział: „Byłem”. A na następne: „Czy strzelał pan do kobiety, biorącej udział w spotkaniu towarzyskim, na tarasie przed domem”, odpowiedział: „Strzelałem”.

- Cholera jasna! - zaklął. - Sam powinien powiedzieć, gdzie był i do kogo strzelał.

- Nie ma sprawy - uspokoił go komendant. - Mamy jego broń.

- Ale ja nie mam pocisku. - Jak to?

- Tak wyszło. - Leski zaśmiał się histerycznie. Komendant lekceważąco machnął ręką.

- Wystarczy, że się przyznał.

- Zobaczymy - powiedział Leski. - Mogę z nim pogadać? Po paru minutach wszedł do pokoju przesłuchań, gdzie przyzwyczajony wyglądający mężczyzna po trzydziestce podniósł na niego chłodne spojrzenie. Leski od razu przeszedł do rzeczy:

- W pierwszą sobotę sierpnia nad zalewem koło Sulej owa został zastrzelony przy ognisku mężczyzna...

- Byłem tam - nie dał mu dokończyć bandzior. - Ja go zastrzeliłem.

Leski patrzył mu przez chwilę w oczy, po czym odwrócił się i szedł do drzwi. Tuż przed wyjściem zatrzymał się.

- Dlaczego pan strzela do ludzi, którzy w weekend, po całym tygodniu, siedzą sobie przy grillu, ognisku czy zasłużonej lampce wina?

- Niech nie myślą - odpowiedział tamten od razu - że zawsze będą tak siedzieć.

Leski bez słowa wyszedł.

- Nie wiedziałem nic o zdarzeniu nad Zalewem Sulejowskim - powiedział komendant.

- Bo takiego zdarzenia nie było.

- Aha... - Komendant podrapał się odruchowo po głowie.

- To jedno ma tak udokumentowane, że w żaden sposób się nie wykreści. Gdyby dodatkowo udało mu się udowodnić parę innych zabójstw...

- Żeby tylko tych parę innych nie zaczęło działać na jego korzyść - przerwał mu Leski zmęczonym głosem - jeśli przyjdzie mu na przykład ochota strugać wariata. Pierwszy lepszy adwokat wykaże bez większych trudności brak jakiegokolwiek związku między poszczególnymi zdarzeniami.

A przy okazji - kontynuował w myślach, idąc do wyjścia - paradoksalnie przerażającą logikę w działaniach chorego umysłowo człowieka, któremu na przykład w przeszłości w jakiś sobotni wieczór utonęła żona lub dziecko na oczach biesiadujących przy ognisku kobiet czy mężczyzn, czy jednych i drugich. Nie zrobili nic, nie uratowali jego żony, dziecka albo może tylko psa. Niech nie myślą, powie, że zawsze będą tak siedzieć...

Tak czy siak niewiele go to już obchodzi. Wariat czy nie wariat, jakie to ma teraz w ogóle znaczenie. Nikt go nie widział w N., nie zostawił po sobie żadnych śladów. Gdyby był pocisk, który dałoby się dopasować do broni zabójcy lub

ją kategorycznie wykluczyć, coś by przynajmniej wiedział. A tak dalej nie wie nic. Jest zmęczony.

Ten pocisk, którego nie ma, to małe coś zaprzętnęło jego myśli na całą powrotną drogę. Za każdym razem, kiedy pomyślał, że ten śmiercionośny drobiazg dałby mu podobną wiedzę w stosunku do osoby Borysa Berga, zaciskał mocniej ręce na kierownicy i kłął w myślach.

Uwierzył w słowa Berga, a może bardziej w cały wypływający z tych słów dramat. Wszystko inne, zwłaszcza jego wina lub niewinność, to wciąż sprawa otwarta. Historia z Julią, którą Berg przez wiele nocy przywiązywał do siebie postronkiem, żeby nie odeszła, była prawdziwa, bo takiej historii nie da się wymyślić. Uwierzył więc w nią od razu i może nawet by go wzruszyła, gdyby nie to, że ta historia w żaden sposób nie wykluczała Berga z udziału w zbrodni. Wręcz odwrotnie: budowała w całym swym dramatyzmie potężny emocjonalny motyw. Uratował jej życie - nie było powodu, żeby mu nie wierzyć. Jednak logika tej historii równie dobrze mogła go doprowadzić do momentu, w którym chciał już tylko ją zabić.

Inni aktorzy tej sceny: Gabriela Zając ze swą skrywaną przez lata zawiścią (mogłoby być jeszcze coś), odrzucony właściciel sklepu ze swą urażoną dumą, a nawet Wiktor Tański i Ryszard Jakimowski z ich zapędami bezwzględnych posiadaczy - wydawali mu się mali, jeśli nie zwyczajnie śmieszni.

Najprawdziwszym aktorem tego dramatu był Borys Berg.

Tylko jego wina mogła przynieść ulgę.

*

Ramona, Magda i Kamila pewnym krokiem weszły do hotelu Arkadia wczesnym przedpołudniem. W recepcji zapytały wydekoltowaną blondynkę o pokój Wiktora Tańskiego. Posła Wiktora Tańskiego, dodały z naciskiem, a

kiedy ta wymieniła numer, odruchowo wskazując kierunek, skierowały się tam natychmiast, nie zważając na protesty dziewczyny.

Otworzyły z rozmachem drzwi do pokoju numer siedemnaście. W przestronnym, z gustem urządzonym apartamencie zwróciły najpierw uwagę na dwie walizki stojące na środku salonu.

- Chyba w samą porę - mruknęła pod nosem Magda. - Ktoś tu szykuje się do drogi.

- Po zasłużonym wypoczynku - dodała Kamila.

Z głębi apartamentu wyszedł Wiktor Tański. Popatrzył na nie zdziwiony. Uśmiechnęły się jak na komendę. W tej chwili stanął za nimi w drzwiach Jakimowski.

- Co tu... Kto... - zaczął bąkać wyraźnie zaskoczony obecnością trzech kobiet Tański. - Kim jesteście?

- Twoim komitetem wyborczym - odparła Kamila.

Jakimowski zamknął drzwi i nie spuszczać z gości wzroku, stanął koło Tańskiego.

- To te wariatki - wyjaśnił. - Papużki nierozłączki.

- One? - Tański dopiero teraz wydawał się prawdziwie zaskoczony.

Jakimowski przyglądał się im z ironią.

- Brakuje tylko jednej. Czego chcecie?

- Czeeeego chcemy? - odezwała się lekko wystraszonym głosem Ramona. - Mówiliśmy przecież...

- Chcemy wziąć udział w twojej kampanii wyborczej, Wiktor - dodała Magda.

Kamila rzuciła na stół kartkę papieru i uzupełniła:

- A to próbka materiału reklamowego. Zobacz, czy się nada. Teraz obaj mężczyźni byli lekko zbici z tropu. Jakimowski

mierzył je ponurym wzrokiem, jakby wyczuwając kłopoty. Tylko nie wiadomo jeszcze jakie. Nie spuszczać z nich

wzroku, Wiktor wziął kartkę, rozprostował ją i przeczytał. Na jego twarzy nie było żadnej reakcji. Przeczytał jeszcze raz, potem zbladł. Bez słowa podał kartkę Ryszardowi. Ten tak samo przeleciał tekst wzrokiem raz, potem drugi.

- Co to jest? - wycedził przez zęby.

- Dokument - śmiało odezwała się Ramona.

- To... to... to jakieś... - bąkał blady i spocony Wiktor. Jakimowski zrobił w powietrzu nieokreślony gest.

- Uspokój się! - warknął do Tańskiego, po czym zbliżył się do kobiet. One o tyle samo się odsunęły. - Odbiło wam?! Czego chcecie?!

- Jeśli powiemy - odezwała się Ramona - że sprawiedliwości, to wyda wam się to pewnie śmieszne.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i parsknęli nieprzyjemnym śmiechem. Jakimowski zmiął kartkę papieru i rzucił ją za siebie.

- To kopia. Powinniście się zorientować po wyglądzie pieczętek - odważyła się powiedzieć Ramona.

Jakimowski kopnął z wściekłością zmiętą kartkę.

- Wiecie, gdzie mamy wasze pieczętki? Zabierajcie się stąd w cholere! Co to w ogóle jest i jak, cholera, śmiecie...

- To jest - przerwała gwałtownie pewnym siebie głosem Kamila - dokładnie to, na co wygląda. Dokument sporządzony przez pewną policjantkę...

- Milicjantkę - poprawiła Magda. - To było dwadzieścia lat temu, Kamila.

- Milicjantkę - kontynuowała Kamila. - Jak Magda już powiedziała, dwadzieścia lat temu. Dokładnie w dniu, w którym to, co tam jest napisane, zrobiliście.

Jakimowski parsknął znowu śmiechem, już jakby mniej pewnym, ale wcale przez to nie mniej złowrogim.

- Dwadzieścia lat temu! Kto nam teraz coś udowodni. Popatrz, Wiktor, co te wariatki sobie wyobrażają. Przyłóż tu,

w spokojne i szanowane przez obywateli miejsce, zakłócają spokój... - Wyciągnął w ich stronę rękę ze wskazującym palcem. - Wiecie, czyj spokój zakłóacie i komu grozicie?

Kobiety cofnęły się znowu o krok, jakby groźnie brzmiącym głosem Ryszarda lekko wystraszone. Magda pierwsza się ocknęła.

- Dość tego! - powiedziała. - Nie przyszłyśmy tu, żeby się ciebie bać, Ryszard. Ani ciebie, Wiktor, tym bardziej. Nie mamy najmniejszej ochoty niczego wam udowadniać. Ktoś tego nie zrobił dawno temu, my nie czujemy się upoważnione.

- Nie musimy takim karykaturom w ogóle nic udowadniać - przejęła pałeczkę Kamila. - Wystarczy, że oryginał tego dokumentu dostanie się do prasy...

- I co?! - wrzasnął Wiktor Tański, teraz dla odmiany czerwony na twarzy. Wygląda - przemknęło przez myśl Kamili - dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy o mało nie zatłukł Julii za to, że mu plunęła w twarz.

- ...i jesteś skończony, Wiktor - spokojnie kontynuowała Kamila. - Pismaki rzucają się na taką gratkę jak hieny na padlinę. Przecież jesteś dość znanym posłem. Bez naszego udziału dotrą wszędzie, odnajdą tamtą milicjantkę, zrobią w N. prawdziwy bajzel, będą dzień i noc koczować pod drzwiami twojej schorowanej i samotnej matki.

- Dotrą i do Arkadii - włączyła się Ramona - jak tylko wywęszą, że masz tu prywatny apartament, wywloką na wierzch wszystkie twoje powiązania z tym interesem. Strzał w środku nocy do Julii to nic w porównaniu z tym, co tu się będzie działo. Przy okazji i ten temat może ich zainteresować.

Jakimowski w jednej chwili stracił całą pewność siebie. Oparł się o blat stołu.

- To ta suka, Wiktor - wykrztusił. - Ta mała wredna suka musiała im to dać.

- Kto?! O kim... Marza... Ona miała być w pieprzonej Ameryce!

- Tu jest! Ktoś mi mówił.

- Nie wyjechała?! - Tański aż się zatrząsł. - Dlaczego nic mi nie powiedziała?! -

- Złożyłbyś jej przyjacielską wizytę? - wtrąciła Ramona.

Jakimowski na sekundę zawiesił spojrzenie na Ramonie, po czym przeniósł je na Tańskiego.

- Mówiłem ci, że to się kiedyś odezwie.

- No i odezwało się - zakończyła Ramona.

Kamila poprawiła jakby od niechcienia torebkę na ramieniu. I jakby od niechcienia zaczęła spokojnym głosem:

- Z was dwóch to ty byłeś ten trochę mądrzejszy, Ryszard. Wiesz, że jesteście skończeni. Obaj. Tylko że jak już wspomnieliśmy, nie mamy zamiaru tracić swego cennego czasu na to, by was pogrążyć. Znaczący dla nas mniej niż przypadkowo rozdeptany robak. Jeśli jednak...

- Jeśli co?! - warknął Tański.

- W dniu, w którym się zorientujemy - kontynuowała starannie modulowanym głosem Kamila - że ty nie wycofałeś się ze swej ukochanej polityki... Nie wyobrażam sobie większej kary dla ciebie, Wiktor, a ty - przeniosła wzrok na Jakimowskiego - nadal rujnujesz życie Julii, zrobimy jeden ruch. Tylko jeden, takie małe, nic nas niekosztujące minimum: oddamy ten papierek prasie, to wszystko. Co tu dużo mówić.

- I do kogo? - uzupełniła Magda. - Chodźmy, dziewczyny.

Odwróciły się na pięcie i wyszły. Cicho zamknęły za sobą drzwi.

Trzymały się dzielnie, cały czas na prostych nogach, z wyrazem twarzy, który mówił, że zrobiły coś dobrego, słusznego i pożytecznego. Zwłaszcza ta świadomość, że zrobiły coś pożytecznego dla kogoś, kto był bezbronny jak

Julia albo Marzanna M., trzymała je do samego końca: dopóki nie weszły do samochodu. Tu wszystkie, jak na komendę, pochyliły głowy. Kamila zapaliła silnik, ale zaraz zgasł.

- Jedź - odezwała się cicho Magda.

- Nie mogę. Nogi mi się trzęsą. Ty jedź.

- Mnie też się trzęsą. Niech Ramona jedzie. Ramona wytrzeszczyła oczy.

- Przecież nie mam prawa jazdy.

- Jedź! - krzyknęła niespodziewanie Magda. - Przynajmniej udawajmy, że nas to w ogóle nie dotknęło.

Kamila ruszyła z piskiem opon. Dopiero gdy wyjechała z hotelowego parkingu na szosę, auto nabrało jakiejś takiej płynności.

- „Morze jest tak wysokie, a twoje serce tak nisko” - usłyszały za sobą cichy głos Ramony. Odwróciły się w jej stronę jak na komendę. Magda wyrzuciła z siebie nerwowo:

- Co ty pleciesz?

- To z „Zagłady potwora” Eluarda - wyjaśniła Ramona z melancholią w głosie. - Ulubiony wiersz Aureliana.

- To Aurelian miał jakieś ulubione wiersze? - szczerze zdziwiła się Magda. - Oprócz swoich własnych oczywiście.

Ramona nie odpowiedziała. Magda mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak „przepraszam”, po czym zapatrzyła się w krajobraz za szybą.

- Zawsze - zaczęła po chwili Kamila - takie sytuacje mnie dotykają. Kontakt z takimi ludźmi dotyka mnie do bólu. Do samych kości.

Magda otoczyła się ramionami, jakby chciała wreszcie opanować to drżenie.

- Mnie też, ale pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Wyobraźcie sobie teraz, jak musiała czuć się Julia, gdy prawda o tym człowieku do niej dotarła. Nigdy uczciwie na ten temat nie rozmawialiśmy.

- I nie musimy - powiedziała twardo Ramona. - W przeciwnym razie musiałybyśmy też się zastanowić, co czuła Marzanna M.

- Powiedziała ci przecież, co czuła: nic nie czuła. Bo umarła. Jedźmy do niej, powiedzmy, co zrobiłyśmy...

- Nie! - zaprotestowała Magda.

- Dlaczego?

- Bo ona nie chce nic wiedzieć, to był jej sposób, żeby tamto przeżyć - to po pierwsze. Jakbyś nic z tego wszystkiego, co mówiła, nie rozumiała, Kamila.

- Zrozumiałam! - zezłościła się Kamila. - Palnęłam po prostu, co mi ślina przyniosła na język. Okej? A po drugie?

- Co po drugie?

- Powiedziałaś: to po pierwsze. Więc pytam: a po drugie?

Magda na chwilę zmarszczyła czoło.

- Po drugie - odezwała się tak cicho, że musiały nadstawić uszu, żeby cokolwiek słyszeć - uwierzyłam w szczęście Marzanny. I dalej chcę w nie wierzyć.

- Masz jakieś wątpliwości? - spytała Kamila.

- W jednej chwili otrząsnęła się z rozpaczy i zaczęła być szczęśliwa? - Magda sprawiała wrażenie, że pyta samą siebie.

- To na pewno nie była jedna chwila - powiedziała Ramona.

- Mówię o wczorajszym dniu. O tym, jak się skuliła, gdy nas zobaczyła - tłumaczyła Magda. - Jak szła z nami w ten las skulona... A potem nagle zaczęła mówić o szczęściu. Och, nie denerwujcie mnie! Nie wiecie, o czym mówię?

Wiedziały.

- Tak naprawdę - zmieniła nagle ton Magda - prawie wcale jej nie znamy. Może nie umiemy czytać emocji na jej twarzy. Po tylu latach...

- Może - przyznała Kamila. - Nie pojedę tam, by się przekonać, czy Marzanna M. jest naprawdę szczęśliwa.

- Dajmy jej spokój - dodała Ramona. - Niech ma trochę swojego szczęścia. Choćby miało być nawet wymyślone.

- Wymyślone? - Kamila odwróciła się do Ramony. Ramona wzruszyła ramionami.

Wymyślone czy prawdziwe... Przez dwadzieścia lat nie rozmawiały o niej, jakby wierzyły, że milczeniem zagłuszą podświadome przeczucie swojej winy w tym wszystkim. Nie w tym, co ją spotkało, tylko jak ją tam zostawiły. Tylko Julia się zawahała, chciała wrócić. Znała ją lepiej, nie mogła uwierzyć. Powinny wrócić wtedy wszystkie. Może życie Marzanny wyglądałoby inaczej.

- Inaczej nie znaczy lepiej - mruknęła Ramona.

Zgodziły się. Również z tym, że wystarczyła chwila, w której pozwoliłyby jej coś powiedzieć, wyjaśnić, wtedy pomogłyby jej przez to wszystko przejść. A tak ją po prostu dobiły, zostawiając skuloną w sypialni tego potwora. Naprzeciw drzwi. Umarła - powiedziała - i dopiero teraz to rozumiały. W pewnym sensie one też się do tego dołożyły.

- Co mamy teraz zrobić? - spytała bezradnie Ramona.

- Nic - odparła Kamila. - Wszystko już zrobiliśmy.

- Właściwie nic nie zrobiliśmy - zaprotestowała Magda. - To teraz się nie liczy. Przypominam ją sobie, jak patrzyła, gdy odchodziłyśmy wczoraj, i zastanawiam się, czy był moment w jej życiu, w którym życzyła nam śmierci.

Kamila w jednej chwili zjechała na pobocze. Ramona zrobiła rękoma nieokreślony gest i skuliła się na tylnym siedzeniu.

Obok przejechał jakiś samochód, a jego pasażer odwrócił się i patrzył na trzy kobiety, siedzące w aucie na poboczu.

Milczały.

*

Od kilkunastu minut patrzyła w szary sufit i ściany, na których od czasu do czasu bawiły się ze sobą jakieś światła.

Ginęły nagle, a potem pokazywały się znowu. Bardzo długo usiłowała skupić uwagę na roztańczonych refleksach, nim zaczęła się zastanawiać, skąd się tu biorą i dlaczego tylko na jednej ścianie, a nie na wszystkich. Dopiero potem dostrzegła łóżka naprzeciw i to, że na dwóch z nich śpią ludzie. Nad ich głowami paliły się lampki dające słabe, punktowe światło.

Wtedy zobaczyła, że nad jej głową pali się taka sama lampka.

Pierwsza myśl, jaka jej zaraz potem przyszła do głowy, to to, że w bagażniku leżą zakupy, które należałoby wynieść i coś z nimi zrobić, bo lada moment przyjadą dziewczyny, zacznie się ten szum, zamieszanie, jedna będzie mówić to, druga tamto i jak zwykle nie zdąży przygotować jakiejś potrawy, którą specjalnie na ich przyjazd wymyśliła, żeby było trochę inaczej niż ostatnim razem, żeby mogły powiedzieć: Julia, skąd na to wszystko znajdujesz czas i jakie to dobre. I jeśli znowu tym razem nie zdąży, to im powie, same jesteście sobie winne.

Lampka nad głową nie dawała jej spokoju. Skąd to wszystko i dlaczego tu leży? Nic nie zdąży zrobić, jak tak dalej będzie leżeć, zakupy w bagażniku, w salonie bałagan... Wtedy znieruchomiały na sekundę jej myśli, bo ciało - zauważyła - było i tak nieruchome i tylko jedno przyszło jej do głowy: Ja chyba umarłam.

Biała postać stanęła u jej boku i znieruchomiała na sekundę tak samo jak przed chwilą jej myśli. Twarz tej postaci była młoda i w jednej chwili cała uśmiechnięta.

- Pani Dunin... - usłyszała. - Wreszcie się pani obudziła...

Julia nie wiedziała, co odpowiedzieć i czy w ogóle będzie w stanie, bo usta - zauważyła - były jak z ołowiu, a tamta ściszone, ale pełnym emocji głosem, krzając się przy jej łóżku, cały czas mówiła, że co noc tu jest, bo taki sobie rozkład wzięła na ten tydzień i patrzy, jak ona śpi, i już nie

mogła patrzeć, bo za każdym razem przypominała jej siostrę cioteczną, która tak samo po wypadku tyle czasu spała i spała, tyle że nie obudziła się już nigdy, szkoda, taka była młoda, jeszcze młodsza od pani, a jej narzeczony ani razu nie przyszedł, nie to co pani mąż, każdej nocy tu jest dwie albo trzy godziny, trzyma ją za rękę i czeka...

- To... to ja mam męża? - spytała z trudnością Julia, a tamta przytaknęła.

To nic, mówiła dalej, wszystko sobie pani przypomni, to normalne, amnezja pourazowa, to się zdarza, wszystko będzie dobrze, najważniejsze, że otworzyła oczy, wszystko inne wróci samo, z czasem. Z czasem wszystko wraca w swoje tryby, nawet jeśli się początkowo wydaje, że nie. To nieprawda, trzeba tylko wierzyć, że będzie dobrze, wtedy jest dobrze. Zaraz pójdzie po lekarza.

I kiedy wyszła, Julia pomyślała: No pewnie, jaka jestem głupia, przecież wyjęłam już te zakupy z bagażnika, zaraz przyjechała Magda i coś z tym wszystkim robiłyśmy, jak mogłam zapomnieć.

Potakiwała tylko głową, gdy mówiono jej, że jest poniedziałek, ale nie ten poniedziałek, pani Dunin, tylko następny. Wcześniej była niedziela i sobota, tylko następna, i tak po kolei, wszystko było następne, aż dotarli do soboty, tej właściwej, tego wieczoru, a potem popołudnia i czy pani pamięta, pani Dunin. Pamiętała popołudnie, bo było piękne. To nic, mówili jej, z czasem wszystko pani sobie przypomni, a nawet jeśli nie, to nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że się obudziła. Potem przyszedł ten mężczyzna i dla niego co innego było ważne.

- Ktoś do pani strzelał, pani Dunin. Może jest coś, o czym pani wie, coś, czego nie mogą wiedzieć inni.

Ktoś stał za płotem, w krzakach, w dawno przekwitłych krzewach dzikiego jaśminu i to właśnie stamtąd oddał strzał w

jej kierunku. Nie ma dowodu na to, że strzelał akurat do niej, a nie do innych. Na nic nie ma dowodu. On nie wierzy w przypadki, w żadne tam zrządzania losu. Wie na pewno, że ktoś, kto strzela, chce zabić, a to już nie są żarty. Obecność tamtych kobiet mogła być jedynie wykorzystana dla ukrycia prawdziwej przyczyny, dlatego skłonny jest myśleć, że przyczyna jest prosta i wystarczy tylko pomyśleć, zastanowić się chwilę. Czy pani wie, pani Dunin...

- Ale co? - spytała, jakby nic z tego, co mówił, do niej nie dotarło.

Milczał przez chwilę, badając ją wzrokiem. Potem powiedział, że jedna z jej przyjaciółek zeznała, że kiedy przyjechała, ona i Borys Berg byli na grobli. Odniosła wrażenie, że coś między nimi zaszło.

- Czy coś między wami zaszło, pani Dunin? - spytał niewinnym głosem. - Czy Berg zrobił coś... zrobił wcześniej? Coś dziwnego na przykład.

Julia potrząsnęła głową.

- Niech pani powie, co zrobił. To ważne - nalegał.

- Ja nic nie pamiętam z tego dnia.

- Jak to? - zdziwił się. - W ogóle? Chodzi mi tylko o potwierdzenie pewnego faktu. Czy Borys Berg tam nad rzeką...

- Nie pamiętam - przerwała mu z uśmiechem.

Pokiwał głową, życzył jej powrotu do pełnego zdrowia i wyszedł.

Kiedy chwilę potem przyszły Ramona, Magda i Kamila, niepewne, ale z każdą minutą coraz pewniejsze, śmielsze, i gdy napatrzyły się już, nawzdychały, że jak to dobrze, jak dobrze, że się obudziła, że patrzy na nie, a one na nią, i było wiadomo, że zaraz zaczną gadać jedna przez drugą, jak to one, aż wejdzie pielęgniarz albo lekarz i je uciszy, Julia powiedziała po prostu:

- Nie chcę wiedzieć.

- Czego nie chcesz wiedzieć? - wyrwało się Ramonie bez sensu, jak to Ramonie, ale Magda szturchnęła ją łokciem w bok, aż Ramona jęknęła.

Zrozumiały od razu, o co jej chodzi, choć udawały przez chwilę, że nie rozumieją. Julia nawet w pewnym momencie dostrzegła błysk ulgi w Kamili i Magdy oczach. Tylko Ramona zatrzepotała swymi nie tak długimi i nie tak romantycznymi jak kiedyś rzęsami, przenosiła zdziwione oczy z jednej na drugą, by w końcu się odezwać, że co się właściwie z nimi dzieje. Nie wiedziały, o co jej chodzi.

- O co ci chodzi, Ramona? - spytała delikatnie Magda.

- Dlaczego nagle nic nie chcemy wiedzieć... Ani tego, czy ktoś jest szczęśliwy, czy tylko udaje...

- Wiemy wystarczająco dużo - przerwała jej Kamila, przewidując, do czego zmierza. Nie była pewna, czy Julia musi naraz wszystkiego się dowiedzieć.

- Czy ktoś chciał nas zabić, czy tylko tak sobie strzelał... dla zabawy, dla żartu. Dlaczego nie chcesz wiedzieć, Julia? Dlaczego tchórzysz?

- Tchórzysz? - powtórzyła za Ramoną Julia. Jakoś nie bardzo to ją obeszło. Nie wyglądało na to, że zacznie się bronić albo coś tłumaczyć.

Kamila odezwała się w jej imieniu:

- A nawet jeśli, to co? Jej mózg cały czas pracował na pełnych obrotach. Tak samo jak ręce. Może teraz ma ochotę zwolnić. Wolno jej.

- Ale nie możemy nagle załatwiać naszych bolesnych spraw niepamięcią. Nasza świadomość...

- Zamknij się, Ramona! - burknęła bez złości Magda. - Myślałby kto, że ty przeżyłaś swoje życie w pełnej świadomości. Akurat ty!

- Byłam głupia.

Magda powiedziała, że nie ona jedna. Każda z nich w jakimś momencie swego życia nie grzeszyła mądrością. I co z tego? Co z tego? Nawet Kamila, której zdawało się, że taka jest mądra i tak ma wszystko poukładane, myślałby kto!

- Odczep się - odezwała się bez urazy Kamila.

- W ogóle nie wiem, o czym mówicie - powiedziała sennym głosem Julia.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Kamila. - My tak do końca też nie wiemy.

Zresztą, dodała po chwili, czy naprawdę zawsze trzeba wszystko tłumaczyć, wyjaśniać, nazywać po imieniu. Mają po czterdzieści lat (Trzydzieści dziewięć - sprostowała Magda) i może to jest ten moment, w którym powinny odrobinę zwolnić i przyjąć świat takim, jaki jest. Może to, co się stało w sobotnią noc, to było pierwsze ostrzeżenie. Dlaczego nie? Może nawet od samego Boga...

Spojrzały na nią zdumione - Kamila nigdy nie była zbyt pobożna i nigdy tyle lekkości nie było słychać w jej głosie. Ramona przez moment skubała mankiet swojej bluzki, po czym machnęła z rezygnacją ręką. Nie będzie się spierać, nie teraz, nie przy Julii, ale ona (tak, akurat ona!) nie ma zamiaru udawać, że jeśli coś jest, to tego nie ma.

- A co jest? Czego nie ma? - Magda machnęła lekceważąco ręką. - Daj spokój, Ramona, cieszymy się, że Julia do nas wróciła.

- Nie wiadomo nawet skąd - dokończyła Julia.

Na odchodnym Ramona ni z tego, ni z owego zapytała, czy przez ten czas, kiedy jej nie było... w tym śnie... czy myślała coś, czuła, czy wiedziała w ogóle, co się z nią dzieje. Julia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tylko jedno... - odezwała się po chwili. - Taka myśl... Nie wiem, czy cały czas, czy tylko w jakichś fragmentach... I

chyba dopiero pod koniec, tak mi się zdaje, świadomość jakiegoś zdarzenia, jakaś powracająca scenka i jedna myśl...

- Jaka myśl? - spytała Ramona.

- Jak ma na imię pies.

- Pies? Jaki pies?!

- Nie mogłam sobie przypomnieć, jak ma na imię.

Popatrzyły na siebie, dając jedna drugiej znać wzrokiem, że pora wyjść, zostawić Julię, niech odpoczywa.

- Przez to nasze głupie gadanie - zaczęła od razu za drzwiami Magda - coś jej się pokręciło.

- No i co z tego? - rzuciła lekceważąco Kamila. - Najważniejsze, że wróciła.

W drodze powrotnej zrobiły zakupy, żeby Julia nie musiała się o nic martwić, jak wróci ze szpitala, potem wysprzątały jej dom od góry do dołu, zamiotły werandę i zaczęły się pakować. Ustaliły, że najwyższa pora zajrzeć do swoich domów i zobaczyć, czy przynajmniej stoją na swoim miejscu. Julia jest w dobrym stanie, ale jeszcze jakiś czas potrzymają ją w szpitalu - to dobry moment.

W pewnej chwili dostrzegły Leskiego - chodził po grobli w tę i z powrotem, wolno, jakby z namysłem, albo tylko tak, żeby zwyczajnie pochodzić. Pozdrowiły go z daleka, a on zawołał, że jeśli pozwolą, to sobie tak tu pochodzi. Nie miały nic przeciwko temu. Ostatecznie jeśli ktoś tu mógł mieć coś do powiedzenia, to tylko Borys. Ale Borys wyładowywał z przyczepy worki ze zbożem i nic poza tym go nie obchodziło. Mruknął tylko coś pod nosem, przechodząc, że był telefon z banku. Zwolnili kredyt, to od razu pojechał, nakupił ziarna, bo i tak jest drogie, a będzie jeszcze droższe, zamówił deski w tartaku, bo potrzebne, może jeszcze coś z tego da się uratować. Może nawet wszystko (dostrzegły w jego ciemnych oczach coś więcej niż zwykłą radość - i nie mogły uwierzyć), bez konieczności sprzedawania łąk. Mogą jechać, poradzi

sobie - dodał, odchodząc z psem. Spojrzał na Leskiego, Leski na niego. Kobiety popatrzyły na siebie.

- Zbierajmy się - ponagliła Kamila. - Ramona, gdzie są moje klapki?

Ramona, zdejmując bluzkę i bieliznę ze sznurka, wzruszyła ramionami, że niby skąd ma wiedzieć.

- Bo chodziłaś w nich ostatnia, o ile sobie przypominam.

- Chodzi ci o to plastikowe coś z pustymi obcasami?

- Są bardzo wygodne. Wylazłaś w nich po kwiatki, jak podlałam ogródek... Gdzie one są?

- Rzuciłam je pod werandę, żeby potem umyć, bo w te obcasy nawłaziło błota... I zapomniałam.

Kamila, wyciągając brudne klapki spod werandy, mamrotała pod nosem, że najwyższa pora zmienić klimat, skoro takie rzeczy jak niedbalstwo (Ramona nazywała to roztargnieniem) Ramony potrafi ją wytrącić z równowagi. Trzepnęła ze złością jednym klapkiem o schody, potem drugim i nawet nie zwróciła uwagi na towarzyszący jednemu z tych uderzeń metaliczny odgłos. Dopiero kiedy dostrzegła w grudce zaschniętej ziemi mały owalny przedmiot, znieruchomiała. Ramona stała obok. Objęła się ramionami i patrzyła na Kamilę ze strachem w oczach. Magda, która skrupulatnie wycierała na werandzie zewnętrzne parapety, bo nie wiadomo jakim cudem podczas szorowania całego domu je przeoczyła, nic nie usłyszała. Zaniepokoiła ją jednak nagła cisza, więc rzuciła ścierki i stanęła nad nimi. Popatrzyły na siebie, pytając jedna drugą wzrokiem, co robić.

Leski z założonymi z tyłu rękoma chodził po grobli w tę i z powrotem, zerkając co chwila w ich stronę. Być może tylko odruchowo.

Co robić?

Kamila podniosła kulę i wyciągnęła rękę w stronę Ramony.

- Niech Ramona zdecyduje - powiedziała, a Magda natychmiast skinęła głową na zgodę.

- Oddam mu to - zdecydowała od razu Ramona, wskazując głową Leskiego na grobli. - To proste.

- Oddaj - zgodziły się, ale bez wielkiego entuzjazmu.

- Oddam - powtórzyła Ramona. - Niech się to raz wreszcie skończy.

Magda i Ramona nie odezwały się słowem, gdy Ramona szła w stronę furtki prowadzącej na groblę. Tuż przed nią zatrzymała się, stała chwilę, po czym wróciła. Mijając je, mruknęła pod nosem:

- To może i proste, ale życie niestety nie.

Nim zniknęła w domu, zawołały za nią:

- Co chcesz z tym zrobić?

Ramona odwróciła się w ich stronę i wtedy dostrzegły, jak bardzo jest zła: na nie, na siebie, na cały świat?

- A jak wam się wydaje? - burknęła. - Dołączę to do „pierwszych rzeczy” Julii. Jak wróci, może sobie przyczepi do tego kartkę z napisem: Moja pierwsza kulka.

Kamila z Magdą usiadły na schodach i pochylając głowy prawie do chłodnych płytek, trzęsły się z hamowanego śmiechu.

Leski stanął na wysokości podwórka i marszcząc w skupieniu brwi, przyglądał się, co też one robią. Dawno nikt tak jak te kobiety nie działał mu na nerwy. Lekko wciągnął powietrze w nozdrza i wypuścił je wolno. Powietrze tu było czyste, kojące. Co za ulga. Kiedy dotarł do niego śmiech, którego nie zdołały już powstrzymać, pomyślał: Niech się śmieją. I poszedł dalej.

*

Borys Berg zadzwonił do Magdy w pewien czwartkowy wieczór i powiedział, że nazajutrz Julia ma być wypisana ze

szpitala. Nie wie, co one tam kombinują, ale prosiły, żeby zadzwonił, to dzwoni.

- Nic nie kombinujemy - Magda na to. - Odbierzemy ją ze szpitala, przywieziemy do domu i tyle.

Nie miał nic przeciwko temu. To może nawet lepiej - powiedział na koniec. - On zajmie się końmi...

Jakby rzeczywiście mu o konie chodziło, przyszło Magdzie na myśl. A może o to, że woli nie być sam, gdy Julia wróci, zacznie mówić, pytać, a on będzie musiał odpowiadać. Może nie wie, jak ma ją powitać, gdzie stać, jak się zachować w ogóle. Wybawią go z kłopotu, co tam, nie o to w sumie chodzi. Tylko o to, żeby być z nią, kiedy wróci do domu, tak jak były, gdy go opuszczała.

To dziwne - mówiły potem - że Julia ani razu nie zapytała o dom, o gospodarstwo, gdy ją wiozły ze szpitala, tylko patrzyła na świat za oknem samochodu, jakby tylko świat za oknem istniał. Gdyby nie to, że uśmiechała się do każdej z nich od czasu do czasu i od czasu do czasu do którejś się po prostu przytuliła, pomyślałyby, że coś z nią nie tak.

Pies biegał po podwórku, gdy na nie wjechały, i wtedy Magda zapytała głośno:

- Właściwie to jak ma na imię ten cholerny pies?

Borys wyszedł ze stajni, stanął parę metrów przed nią i tak stał. Julia pogładziła psa, a potem poszła do Borysa. Szła do niego z uśmiechem tak lekkim i prawie niewidocznym, jak jej kroki. Bo kiedy patrzyły za nią, zdawało im się, że wcale nie odrywa nóg od ziemi, i zastanawiały się, co powie na powitanie, bo coś musi powiedzieć.

Ale ona nie powiedziała nic. Stała przed Borysem i położyła głowę na jego piersi i chyba uznała, że to za nisko, bo zaraz stanęła stopami na jego stopach i teraz jej głowa sięgała prawie do jego szyi. Chyba uznała, że to wystarczy, bo w tym momencie wtuliła się w niego, a on (patrzyły w

kamiennym milczeniu) nawet jej nie przytulił, tylko położył, jakby od niechcienia, rękę na jej plecach, jakby to było jakieś normalne, powszednie, jakby zawsze się tak w niego wtulała. A wiedziały przecież - nie wtulała się w niego nigdy.

Nic nie kombinowały. Po prostu chciały to zobaczyć. Tylko się nie spodziewały, że zobaczą właśnie to. Patrzyły więc w przedłużającym się milczeniu, jak ci dwoje tam stoją przed tą stajnią, w końcu Borys, przytrzymując plecy Julii, żeby ją utrzymać na stopach, zaczął iść z nią w kierunku werandy. Nie powiedzieli do siebie słowa, najcichszego szeptu (usłyszałyby!), tylko tak chodzili po podwórku w tę i w tamtą stronę, aż doszli do werandy. Ale i tu Julia nie oderwała się od niego ani nie zeszła z jego stóp. A Borys ani się nie dziwił, ani nic, tylko tak z nią stał, jakby (myślałby kto) zawsze tak stali, jakby to było jakieś normalne.

- Dobre sobie - odezwała się głosem pełnym urazy Kamila. - My tu siedzimy, martwimy się, odwiedzamy ją, stajemy na głowie, żeby pewne sprawy, nie tylko swoje, pozłatwiać, a ona wraca i zarzuca Borysowi ręce na szyję.

- Borysowi, który być może do niej strzelał - dodała Magda.

Kamila przytaknęła skwapliwie,

- No właśnie. Może to on. To niewykluczone.

- Przecież miało to nas już nie obchodzić - wtrąciła nie bez satysfakcji Ramona.

Magda wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi nas, póki nie znamy konkretnych faktów. Gdybym miała dowód, że Grześ na przykład chciał mnie zabić, a Kamilę Artur... Gdyby Julia wiedziała, że to Borys...

- Wybaczyłaby mu - Ramona na to. - Tylko on mógł to zrobić z miłości. To można wybaczyć.

Kamila i Magda pokręciły głowami, wymieniły całą gamę wymownych spojrzeń. Na koniec Kamila powiedziała:

- Z chorej miłości. Chora miłość to nie jest miłość.

- Tak?! - zaatakowała Ramona. - To co powiesz o mnie i Aurelianie?

Kamila zmierzyła Ramonę wzrokiem.

- Twoja miłość nie była chora. Tylko ślepa.

- Albo głupia - dodała Magda. - Ile oni będą tak stać? Stali jeszcze chwilę, po czym Julia zeszła ze stóp Borysa, gwizdnęła na psa i poszła z nim nad rzekę.

Nie mogły uwierzyć. Nie zajrzała nawet do domu. Tak jakby wyszła z niego przed chwilą.

Potem, przy kolacji, którą dla niej przygotowały, wytłumaczyła się, że ten pies wiele dla niej znaczy. Głupia myśl niedająca spokoju być może sprowokowała jej mózg do wysiłku, powodując w końcu wybudzenie. Być może, mówiąc, kładąc dłoń na karku Borysa (nigdy tego nie robiła), uratował ją ten pies.

- Tak naprawdę - odezwała się Magda, przeżuwając leniwie kawałek chleba - uratował cię ten detektyw... Jak mu tam...

- Leski - odpowiedziała Ramona.

- No właśnie.

- W jaki sposób? - zainteresowała się Julia. Magda skrzywiła się.

- Nie wiem, czy chciałabyś wiedzieć...

Chciała wiedzieć. Powiedziały jej więc, że gdyby facet nie był tak niecierpliwy, jak jest, i nie wysłał znajomego patologa w niedzielny poranek do prosektorium...

- Byłam w prosektorium?! - wykrzyknęła Julia bez cienia grozy. - To prawie tak, jakbym była w piekle!

Prawie, zgodziły się łaskawie. To może już nie będzie. Może. Ale kto to wie. Człowiek budzi się rano i nie wiadomo, jaki będzie miał wieczór, więc o czym tu mówić. Pewnych rzeczy nie da się uniknąć ani ich przewidzieć.

Z narastającym zdumieniem przyglądały się Julii, na twarzy której nie znalazły żadnego śladu, że dotknęło ją piekło, zło w najgorszej postaci. Uśmiechała się do nich i wodziła wzrokiem za Borysem, jakby nie mogła się na niego napatrzeć, chociaż patrzyła na niego całe życie.

Ucieszyła się, kiedy jej powiedział, że w tym czasie, gdy spała, wyprostowały się odrobinę ich sprawy finansowe, była to jednak radość umiarkowana. Poprawiając jasną chustkę na głowie, powiedziała, że w takim razie warto było spać. I nie tylko dlatego, dodała po chwili, również po to, żeby proste sprawy zrozumieć, jak to na przykład, że coś jest, a za chwilę może tego nie być. Dlatego powinni zrezygnować na razie z takich pomysłów jak szkółka jeździecka i pozwolić, żeby podobne plany ziszczały się same, kiedy przyjdzie na nie pora, a nie na siłę. Na to, co już jest, poświęcili całe życie, wszystkie popołudnia i nieprzespane noce. I wczesne ranki, jeśli tam tego mało. Teraz przyszła pora na głęboki oddech i spacer z psem wzdłuż rzeki.

Słuchając jej, nie mogły pozbyć się wrażenia, że w jednej chwili opadła z niej aura za długiego snu, dotyku śmierci, która sprawiała, że zachowywała się, poruszała i mówiła tak, jakby jeszcze nie do końca wróciła z tamtego świata. Tylko ten spacer z psem ni przypiął, ni przyłatał trochę im nie pasował, ale wszystko inne miało cechy logicznej, konstruktywnej i co najważniejsze świadomej wypowiedzi.

Jednak już po chwili i wiele dni później, jak dowiedziały się z relacji Kamili, Julia znowu poruszała się, zachowywała i mówiła tak, jakby jeszcze była między snem a rzeczywistością, życiem a śmiercią i - widziały to - czuła się z tym dobrze, jeśli nie wyjątkowo, przywołując co chwila łagodny, choć nierealny, uśmiech na twarz, nadając swym ruchom i gestom nierealną lekkość, miękkość, jakby

zmęczona ostatecznie swą wieczną powagą, rozsądkiem i nieustającym potokiem zmartwień.

Kiedy powiedziały jej, że w szufladzie komody leży kula (Ta kula? Ta), którą znalazły przypadkiem i nie wiedząc, co z nią zrobić, tam ją po prostu położyły, może z nią zrobić, co zechce, jeśli nie teraz, to może za miesiąc, za dwa albo za kilka lat, może z nią także nic nie robić, odpowiedziała: „To dobrze”.

O wiele bardziej interesował ją w tej chwili Borys, zagrabiający słomę w gospodarczej części podwórka. Chłoneła jego widok, jakby za chwilę miało go na zawsze nie być. Mimo to pozwoliła mu odejść, kiedy skończył pracę, zawołał psa i obaj poszli w stronę jego domu nad rzeką.

Zdziwiły się, ale potem, kiedy Magda z Kamilą wyszły na papierosa na werandę (Magda tylko dla towarzystwa), Kamila powiedziała, że być może Julia zawsze tak patrzyła na Borysa, tylko duszą. Teraz wreszcie ma odwagę wyrazić wszystko oczami i robi to, a im się zdaje, że zmieniła się, że jest inna, nawet może trochę obca. Nikt nie zmienia się przecież z dnia na dzień lub z tygodnia na tydzień, nawet po tak dramatycznym przeżyciu, traumie, tylko zmieniają się okoliczności, warunki, coś traci na znaczeniu, a coś innego zyskuje. Dlatego lepiej jej pozwolić zachowywać się, jak się zachowuje (choć nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób miałyby jej czegoś zabronić), i cieszyć się tym, że znalazła w sobie aż tyle odwagi.

- Ja - ciągnęła Kamila, patrząc w mrok za płotem, gdzie majaczyły złowrogim cieniem krzaki jaśminu - zostanę tu parę dni...

- Zostajesz? - zdziwiła się Magda. - Nie wracasz z nami do domu?

- Nie jestem jeszcze gotowa - wytłumaczyła Kamila mętnie.

- Na co?

- Nie wiem na co! Zawsze musimy wszystko wiedzieć?

Magda wzruszyła ramionami. Wszystko nie, ale ona akurat o czymś chciałaby się przekonać, przyjrzeć z bliska sprawom, które skutki tamtej sobotniej nocy zawiesiły w jakimś sensie w powietrzu. Ma nadzieję, że jeśli to zrobi, będzie wiedzieć tyle, ile potrzeba, żeby zdecydować się na coś w życiu. W jej obecnym życiu. Na pewno to nie będzie wszystko, ale też i nie nic. Chce wiedzieć tyle ile trzeba, wrócić do domu i powiedzieć, że teraz już ostatecznie wróciła. Co nie znaczy, że w ogóle w nim zostanie. Żeby jednak zostać albo odejść, musi pewne rzeczy wiedzieć.

- Tobie jest w tej chwili potrzebne to, a mnie co innego - powiedziała Kamila wolno i z naciskiem. - Rozumiesz to?

- Rozumiem - odparła Magda z uśmiechem. - Zawsze rozumiałam.

*

Każdego wieczora, wychodząc po kolacji na werandę z papierosem, Kamila dzwoniła do Magdy lub Ramony i mówiła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, nawet można by powiedzieć: pięknie. Parę dni padało i w powietrzu czuć już pierwszy oddech jesieni, ale znowu się wypogodziło, liście zaczynają żółknąć, a na groblach fruwały nitki babiego lata.

Ona siedzi w domu, przygotowując prawdziwe śniadania, obiady i prawdziwe kolacje. Wszyscy troje siadają do stołu, a pies leży przy drzwiach na werandę. Julia uśmiecha się do niej, uśmiecha się do Borysa i do psa. Jest wdzięczna Kamili za to, że jest, i Kamila chyba nawet wie dlaczego: bo może więcej czasu spędzać z Borysem, może chce się jego obecnością nasycić, nim zostaną sami i jedno będzie musiało robić to, a drugie tamto. Chodzi więc za Borysem wszędzie tam, gdzie on idzie, cały czas dwa kroki za nim, jakby łączyła

ich niewidzialna linka, z pogodą w oczach i lekkim uśmiechem w kącikach ust. Nie rozmawiają prawie ze sobą, jeśli już, to chyba tylko o sprawach, które dotyczą gospodarstwa albo pogody: czy będzie padać, czy nie.

Kamili zdaje się, że oni nie muszą ze sobą w ogóle rozmawiać, w przeciwnym razie powtarzaliby tylko to, co wyrażają sobą, a tego byłoby już za dużo. Chociaż mogłoby się wydawać, że tylko Julia wszystko sobą wyraża, a Borys tylko jest.

Ale to nieprawda, Borys zawsze był taki sam jak teraz, nie ma powodu, żeby dodatkowo okazywał coś ponad to. To jego trwanie przy Julii było zawsze dowodem bezgranicznego oddania. Zresztą, czy którakolwiek z nich wyobraża sobie Borysa szczerzącego zęby do Julii i śliniącego jej szyję w namiętnych pocałunkach? W życiu!

Czy on wiedział, że ona go zawsze kochała, że był przy niej cały czas i bez względu na wszystko? Czy może, żeby przy niej być, wystarczyło mu, że sam ją kocha?

Kiedy Kamila widzi, jak normalnie, bez uniesień po tym wszystkim, co się stało, zaczęli obok siebie żyć, już jej nie dziwi i nawet nie drażni zachowanie Julii. Okazała mu to, co, być może, powinna okazać dawno temu, i wreszcie jest w pełni sobą. Nie musi niczego udawać i niczego ukrywać. Co za ulga i co za szczęście, że można sobie na pełną naturalność pozwolić.

Każdego wieczora Julia mówi, że jutro albo pojutrze pojedzie do Marzanny. Potem, tak jakby zapominała, mija kolejny dzień i kolejny, a ona cały czas powtarza:

- Dziś nie było czasu... Jutro może pojedę. Albo pojutrze. Nic nie mówią, ani Borys, ani Kamila. A ona, wydaje się, żadnych komentarzy nie oczekuje. Każdego wieczora, sprzątając po kolacji lub czesząc psa na werandzie, składa sobie jedną i tę samą obietnicę.

Można by się zastanowić, czy kiedykolwiek ją spełni.

- Przepraszam, że ci przerywam - usłyszała Kamila w słuchawce głos Ramony, do której akurat dzwoniła, by się pewnymi spostrzeżeniami na temat zachowania Julii podzielić.

- Przyszła jakaś kobieta... Zdaje się w sprawie mieszkania po ciotce Lukrecji.

- Wynajmujesz mieszkanie po ciotce Lukrecji?

- Tyle czasu stoi puste. Pieniądze się przydadzą...

- Nie wynajmuj tego mieszkania! - zarządziła Kamila i wyłączyła telefon.

*

Na dnie zostało jeszcze trochę wódki, ale nie chciało im się już pić. Otoczenie nie było zbyt ciekawe, bezceremonialnie zachowujące się towarzystwo przy sąsiednim stoliku też. Muzyka byle jaka i za głośna. Wszyscy starali się przekrzyczeć wszystkich. Żadna przyjemność, marudził Leski, siedzieć tu i wlewać w siebie to świństwo (a miało być z górnej półki) w podejrzanym towarzystwie, którego połowę można byłoby spokojnie z miejsca aresztować. Jeśli o niego chodzi, to większą przyjemność sprawiłoby mu wypicie tej flaszki w jakiegokolwiek bramie.

- Nie zrzędz, ponuraku - odezwał się patolog, obracając w palcach paczkę papierosów. - A propos - parsknął krótkim śmiechem - podobno masz w wojewódzkiej nową ksywę?

- No - ponuro mruknął Leski. - Romeo.

- E, to ładnie - pochwalił patolog z udawaną powagą. - Bardzo ładnie. Koledzy wymyślili?

- Debile.

- No ale jak to: tak sobie wymyślili? Bez niczego? Leski rozlał resztkę wódki do kieliszków.

- Nie kpj, dobra? Wystarczy, że cała komenda się śmieje.

- A z czego tu się śmiać - patolog z trudem powstrzymywał śmiech. - Z bukiecika kwiatków od jakiejś Julii? To stąd ten Romeo?

- Bukiecik? Przestań. To było bukiecisko większe od mojego biurka, na którym ci idioci go postawili z bilecikiem: Dziękuję. Julia. Tak żeby każdy widział! - Wypił jednym haustem zawartość kieliszka, prychnął ponuro: - Mnie kwiaty! Sam bym boki zrywał, gdybym nie był tak wkurzony.

Żeby choć wiedział, kontynuował po chwili, za co mu dziękuje. Chyba za to, że nie przymknął tego jej gacha. Powinien to zrobić, przynajmniej na czterdzieści osiem, może coś by w facecie pękło. Ale tylko może. Raczej by się zdziwił. Może na początku, od razu należało go przycisnąć, kiedy był jeszcze trochę taki rozmemłany, przerażony. Wtedy jeszcze coś gadał. Potem za cholere! Zamknięty w skorupie skurczybyk. Do którego nikt nie ma dostępu. Prawie nikt.

- Szanuję takich skurczybyków - zakończył. - Nie to, żebym lubił, ale szanuję.

Kiedy po chwili stanęły obok ich stolika dwie kobiety: jedna obok Leskiego, druga obok patologa, Andrzej Leski odchylił głowę i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Kobieta położyła ręce na jego barkach i lekko się nad nim pochyliła.

- Już? Macie dość? - spytała łagodnie.

Obaj kiwnęli głową. Mają dość, drętwo tu. Kobiety wymieniły spojrzenia. Wiedziały, że tak będzie, jedna i druga proponowała kameralną kolacyjkę w jednym czy drugim domu, z wódką wyjętą z lodówki i dyskretną muzyką w tle. Ale niech ktoś spróbuje przekonać takich dwóch twardzieli, że byłoby odrobinę przyjemniej. Może nawet wódka by im smakowała.

- Wódka nam smakowała - zaproponował patolog, mrugając do Leskiego. Leski natychmiast przytaknął.

Wstając od stołu, Andrzej Leski otarł, jakby tak od niechcienia, przypadkiem, głowę o ramię żony.

- Dzieci śpią? - spytał.

- Powinny - odparła. - Ale kto je tam wie.

- Jedźmy już - poprosił cicho, łagodnie.

- Na pewno jesteś bardzo zmęczony. - Usłyszał w jej głosie ciepłą ironię. Przytaknął. Wtedy pomogła mu włożyć płaszcz i poprawiając go na nim jak na dziecku, dodała już bez ironii: - W domu odpoczniesz. Jak zwykle.

- Gdybym nie miał takiej nadziei... - powiedział, zawieszając głos w gęstym od dymu powietrzu.

Objął ją i wyszli.

*

Na początku grudnia Ramona przyjechała do Magdy. Bez żadnych zapowiedzi, bez planów. Tak ją coś naleciało, tłumaczyła Magdzie, jakiś impuls, krótka chwila, zero namysłu - wsiadła do pociągu i przyjechała.

- Ale nie tłumacz się. - Magda obłożona na środku salonu stertą czasopism uśmiechnęła się do Ramony. - Cieszę się, że wpadłaś.

- Naprawdę?

- No pewnie. Nawet myślałam tu któregoś dnia, że chętnie bym z kimś pogadała. Tak od serca.

Ale z kim można pogadać tak od serca, mówiła dalej, wygrzebując się ze sterty kolorowych czasopism - tylko z którąś z nich. Uświadomiła sobie wtedy, że są jedynymi osobami na świecie, którym może powiedzieć wszystko. Trochę dziwne, że nigdy przedtem tak nie myślała, nie czuła potrzeby dzielenia się z nimi problemami bieżącego życia. Wystarczyło, że spotkały się raz na pięć lat... Teraz nie może się pozbyć wrażenia, że tamte spotkania były jak fragmenty obcego świata.

- Ja też - odparła Ramona. - Ale gdyby ich nie było... Co robisz?

- Tak przeglądam różne rzeczy. Może bym gdzieś coś spróbowała... Choćby z doskoku, raz na jakiś czas. Jakiś felieton, krótki reportaż... Cokolwiek, żeby zająć czas, zmusić się do jakiejś aktywności, wiesz, o co mi chodzi. - Podniosła oczy na Ramonę. - Myślisz, że nie jest na to za późno?

- Za późno? No coś ty. Próbuj, może akurat gdzieś się odnajdziesz.

- Mam za dużo czasu - tłumaczyła się trochę Magda, robiąc miejsce na kanapie dla Ramony, zrzucając po prostu część prasy na podłogę.

Nigdy nie miała tak wiele wolnego czasu. Kiedy zdała sobie w pewnym momencie z tego sprawę, przeraziła się. Co tu robić, zastanawiała się, chodząc od okna do okna, żeby się nie dać, nie zgnuśnić, nie skarłowacieć w nudzie codzienności. Już zaczęła spać do południa, a potem obkładać się kolorową prasą i czytać same powierzchowne głupoty. Na szczęście szybko się ocknęła. Część kolorowych pism wyniosła do ogrodu i spaliła. Zostawiła tylko to, co trzyma jakiś taki poziom. A teraz w tym, co zostaje, próbuje znaleźć jakieś miejsce dla siebie. Nic na siłę, oczywiście. Przygotuje parę rzeczy, pokaże komuś. Może coś zagra. A jeśli nie, to trudno, będzie próbować czegoś innego. Najważniejsze, że zdała sobie w porę z pewnych rzeczy sprawę, w odpowiednim momencie włączyła się jakaś lampka alarmowa. Tak mało brakuje czasem, żeby usiąść przed telewizorem lub przy oknie, patrzeć, a nic nie widzieć, i umartwiać się, że czas mija, życie mija i wszystko, co miało się w nim zdarzyć, już się zdarzyło. Zawsze może zdarzyć się więcej. Wystarczy tylko w zdarzenia uwierzyć i pozwolić im zaistnieć.

- Jest tyle niesamowitych możliwości. - Uśmiechnęła się do Ramony z wypiekami na twarzy. - Nie można bezkarnie marnować czasu.

- Skąd nagle masz go tak wiele? - zagadnęła Ramona. - Ciągłe ten sam duży dom, ta sama duża rodzina...

No tak, ale wiele się zmieniło. Grześ po jej powrocie od Julii postawił całą rodzinę na baczność w salonie i powiedział, że dalej tak być nie może. Wszyscy w tej rodzinie są dorośli (bliźniaczki też niech się za takie uważają, o nic innego nigdy im nie chodziło), a dorośli ludzie mają konkretne obowiązki. To, jak się z nich wywiązują, określa, czy rzeczywiście są dorosłymi czy tylko gówniarzami.

- Wasza matka, mówił - kontynuowała Magda po krótkiej przerwie - poświęciła wam całe życie i nic z niego nie miała.

- No... - wtrąciła mimochodem Ramona. - Nie powiedziałabym, że Marek to takie znowu nic.

Magda nie usłyszała albo udawała, że nie słyszy.

- Koniec z tym, powiedział takim tonem, że sama się wystraszyłam, koniec tego wymigiwania się od swoich obowiązków, koniec z tym udawaniem, że coś się robi, kiedy nic się nie robi. Każdy w tym domu musi na swoje miejsce zapracować. A jego guzik obchodzi, w jaki sposób to sobie wszystko zorganizują, ile głupawych seriali przegapią i ilu wirtualnych przyjaciół nie poznają. Bliźniaczki mają się zachowywać jak piętnastolatki, a matka jak matka, a nie jak gospoia. Koniec!

- Żartujesz?! I co wy na to?

- Nic. Żadna nie miała odwagi się odezwać. Ja też. Potem z dnia na dzień wszystko samo zaczęło się układać. Nie powiem, że bez żadnych zgrzytów. Dziewczyny pewnych spraw musiały się dopiero uczyć.

Zresztą, machnęła ręką, wielkie mi sprawy, sprzątnąć po sobie, zainteresować się zakupami, obiadem... Dziewczynom

ta jej sierpniowa nieobecność bardzo się przydała, miały taki mały przedbieg wszystkiego. Przede wszystkim zrozumiały, że nic samo się nie robi. Życie też samo się nie układa. Przestały z dnia na dzień oczekiwać, wymagać, żądać. Przez krótki czas, kiedy jej nie było, pojęły w tych swoich rozleniwionych mózdkach, że nic nie jest dane raz na zawsze. Znalazły się w sytuacji, w której nigdy nie były, i z dnia na dzień musiały się w niej odnaleźć.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę wydobyły się z bezpiecznych, niedających jednak szansy na jakikolwiek rozwój, kokonów. Spojrzały na inny świat i zobaczyły, że inny świat w ogóle istnieje. Nauczyły się mówić inaczej, chodzić inaczej i żyć.

Nie było w tym wszystkim jej wielkiej roli. To życie jakoś zadziało, przypadek, strzał z ciemności, strach, że raz dana szansa może się nie powtórzyć.

Dwadzieścia lat temu widziała zupełnie inny obraz swojej rodziny, ale teraz, kiedy mu się przygląda, raz z tej, raz z innej strony, zaczyna jej się coraz bardziej podobać, odnajduje w nim bliskie sobie elementy i widzi swoją rękę w niektórych fragmentach. To nie jest obraz mistrza, nie ma co ukrywać, ma wyraźne braki, niedociągnięcia widoczne na pierwszy rzut oka, ale jej się podoba.

- Co u ciebie, Ramona?

Ramona wzdrygnęła się, rozlewając odrobinę kawy na spodek, a ze spodka na ławę. Rozejrzała się za jakimś ręcznikiem, chusteczką, ale Magda machnęła ręką. Zostaw. To nic.

- Mój obraz też nie jest idealny - powiedziała, chowając po kątach oczy, jakby się czegoś wstydziła. Nie wiadomo: obrazu ze skazami czy samego wyznania. - Nawet więcej niż nieidealny Nie to, że kiczowaty czy coś w tym stylu...

- O! To już wiele - podniosła ją na duchu Magda. - Im więcej rys, tym więcej prawdy. No dobra, dość tych górnolotnych wniosków, zaczynam gadać jak jakaś nawiedzona. Mów po prostu, co się dzieje. Ojciec zdrowy?

- Jak nigdy. Odkąd mieszka u nas Kamila...

- Kamila?! Kamila u was mieszka?!

- No, to znaczy niezupełnie. Wynajmuje mieszkanie po ciotce Lukrecji.

- Odbiło jej? A Artur, Iza...? A dom idealnie urządzone, w którym wszystko pasuje do wszystkiego?

No właśnie, Ramona nerwowym gestem założyła kosmyk włosów za ucho, o to samo ona zapytała, gdy Kamila pewnego dnia przyjechała z walizkami i zaczęła je wnosić do dawnego mieszkania ciotki. W jej domu, mówiła, tylko rzeczy pasują do siebie, a to chyba za mało. Może niektórym to wystarczy, ale nie jej, nie w tym czasie i nie po tym wszystkim. Izie jej nieobecność w okresie, gdy były u Julii, bardzo pomogła. Nie ma co nadmiernie psychologizować, ale prawda jest taka - prosta i banalna - że sama stała się przyczyną choroby córki. Te jej wymagania, te upominania, to rób, tamtego nie rób... Nie ma co się roztkliwiać i wchodzić w temat. Kiedy wróciła od Julii, zobaczyła, że Iza jest innym dzieckiem.

Bardziej otwartym, swobodnym, normalnie je, bo jak może nie jeść czegoś, co z taką łagodnością i niezmaconym spokojem podaje jej ciotka. Zjedz, jeśli masz ochotę, aniołku. To Iza je. Tak, ciotka, którą na siłę wyrwała z jej małego domku w N., której prawie nie było widać w ich idealnym domu, zaistniała w momencie, w którym powinna zaistnieć. Przyszła na nią pora. Świetnie rozumieją się z małą, bardzo pozytywnie wpływają na siebie. Chyba mają jakąś aurę odpowiednią do aury drugiej. Dlatego właśnie zostawiła córkę, aby dać jej więcej czasu bez siebie, bo widzi, że czas bez niej jest dla Izy dobrym czasem. Żadna terapia tego nie

zastąpi - tak jej to wytłumaczyła, kiedy pomagała matce się pakować, ze łzami w oczach, że ona jest przyczyną i że czuje się winna. Nie jesteś niczemu winna, powiedziała jej, nigdy nie byłaś i nie będziesz, my z ojcem nie tak zagraliśmy, jak trzeba, i to my jesteśmy winni, obecność ciotki jest w tej chwili dla ciebie najlepsza. Musisz za nią robić wiele rzeczy i być cierpliwa, bo jest wolna jak żółw, ale za to ma dobre serce, jej tolerancja dla wszystkich i wszystkiego, to nienarzucanie się z niczym, nawet z dobrocią, są ci teraz najbardziej potrzebne. Dla mnie, powiedziała jej na koniec, najważniejszą rzeczą na świecie jest to, żebyś wyzdrowiała. Ty dla mnie jesteś najważniejsza.

- Dość specyficzne okazanie komuś miłości i troski przez opuszczenie go - wtrąciła Magda, ale po zastanowieniu dodała: - Mam wrażenie, że Kamila wie, co robi.

- W tym wypadku tak - zgodziła się Ramona. - Kamila nigdy nie opuściłaby swojej córki, gdyby nie była pewna, że to jej w jakiś sposób pomoże. Iza, mam wrażenie, jest bardzo dojrzała jak na swój wiek i doskonale to rozumie. Zresztą, nie zostawiła jej na łasce losu, tylko pod opieką ciotki, może raczej w obecności ciotki, bo Iza jest bardzo samodzielna, jak Kamila w jej wieku, i sama potrafi o siebie zadbać. Najważniejsze, że w najtrudniejszym momencie z nią była, nikt nie powie, że była czy jest wyrodną matką.

- Stara się chyba być mądrą matką - uzupełniła Magda. - Na pewne sprawy nigdy nie jest za późno. No dobrze, a Artur?

- O! - Ramona zrobiła w powietrzu nieokreślony gest. - To już całkiem inna sprawa. Niech sobie idzie, powiedziała, do tych... tych... no...

- Kurew?

Ramona skrzywiła się, ale przytaknęła.

- Niech się z nimi wyszaleje, wyromansuje, niech zobaczy, przekona się, może coś do niego dotrze, a jeśli nie, to trudno.

- To Kamila - dopytywała ze zdumieniem Magda - używa takich słów?

- Zdarza jej się, ale brzydkie słowa to nie największy problem Kamili.

Magda zajrzała w twarz niepewnej, zmęczonej jakby własną niepewnością Ramony, z wielkim znakiem zapytania.

- Ale kiedy on w ogóle nie chodzi na żadne te... Może kiedyś wdawał się w romanse takie czy inne. Tu trzeba, zdaje się, uwierzyć Kamili na słowo, ale teraz według mnie sprawa wygląda inaczej.

Ramona zupełnie nie wie, co jest grane, kiedy teraz patrzy na Kamilę. Kamilę, która kiedyś nie wyszła po bułki do sklepu, jeśli nie włożyła butów idealnie pasujących do reszty lub nie dokończyła starannego makijażu. Kamila przesiaduje teraz popołudniami, wieczorami w kuchni z jej ojcem, grają w karty i palą papierosy. Ma na sobie jakąś luźną bluzkę, spodnie od dresu (wprawdzie są to dresy Reeboka) i niedbały makijaż. Grają w karty, kłócą się, obrażają, jeśli jedno zbyt długo przegrywa.

Patrzy na nią, jak się niczym nie przejmuje, jak jej dobrze w tej kuchni z ojcem, przy jakiejś dziecinnej grze w wojnę albo durnia, i zastanawia się, czy Kamila jest normalna. Tak ją kiedyś zapytała: Czy ty jesteś normalna, Kamila? A ona: Odczep się, gram z Hiacyntem w karty, nie przeszkadzaj nam.

- Z Hiacyntem?! - wyrzuciła Magda bez tchu.

Zgadza się, są z ojcem po imieniu. Ojca jakoś przestały boleć plecy nogi i w ogóle wszystko, co go kiedyś bolało. Oboje zachowują się jak nienormalni, prawdę mówiąc; żeby Magda widziała, jak chichoczą w tej kuchni z byle czego, jak sobie szykują kanapeczki (Tobie też posolić pomidora,

Hiacyncie?) i parzą herbatki. A najlepiej, jak się pokłóca i nie odzywają przez parę godzin, to wtedy przynajmniej Ramona ma spokój i w spokoju może poczytać. Co się będą przejmować, mówi Kamila (spokój Ramony, niestety, nie trwa nigdy dostatecznie długo), tym czy tamtym, robię to, co mi się podoba, i nikomu nic do tego, ani tobie Ramona - pilnuj swego nosa - ani Arturowi.

Artur, którego firma zmusza do przesiadywania w Łodzi, przychodzi prawie codziennie i prosi Kamilę o rozmowę albo żeby z nim wyszła na kolację, a do Ramony mówi, że Kamilę bardzo kocha, i Ramona mu wierzy.

- Co na to Kamila?

- Nie wiesz? Niech sobie idzie na kolację z tymi... no... Nie kończ! i nie zawraca jej głowy. Myślałby kto, że po tylu latach pustki, życia obok, nagle się w niej zakochał, akurat mu uwierzy. Wtedy jej tłumaczę, że to prawda, on cię kocha, Kamila, a wtedy ona: Nie! bo ciągle mnie zdradza.

- Z kim ją zdradza, na Boga?

- Według niej?

- No choćby...

- Z nią.

- Z Kamilą? - Magda pokręciła głową. - Zdradza Kamilę z Kamilą?

- Sama widzisz, że nie jest normalna. Bo według niej on zakochał się w Kamili, która nie była sobą, tam u Julii nad rzeką, w tej sukience jak mgiełka, z rozpuszczonymi włosami i bosej...

Tylko, kontynuowała Ramona po wypiciu pół szklanki wody mineralnej, ona widzi tu pewien fałsz, żeby nie powiedzieć paradoks. Bo Kamila nie wróciła już do dawnej Kamili, coś z niej chyba tam u Julii po tym wszystkim opadło, coś się w niej skończyło, wypaliło i diabli wiedzą co jeszcze. Może zapomniała drogi do siebie sprzed, a może

najzwyczajniej w świecie nie chce jej odnaleźć. I paradoksalnie znowu, nie chcąc go znać, widzieć, nie dając mu się zbliżyć, sama przecież fizycznie i świadomie zbliżyła się do niego, wynajmując mieszkanie po ciotce Lukrecji. W Łodzi, gdzie jej mąż od lat kupuje i sprzedaje nieruchomości i przemieszkuje tu częściej niż w swoim własnym domu, bo interesy go do tego zmuszają. Podsyła jej też co rusz jakieś zlecenie na zaprojektowanie wystroju mieszkania komuś, kto sam nie ma na to czasu albo się nie zna i ma za dużo pieniędzy. Żeby była niezależna. Bo Kamila jest teraz niezależna. Mam na to, na tamto, mówi, po co mi mąż. I zaraz pyta: Był dzisiaj? Był, odpowiada Ramona, ale powiedziałaś, że nie masz czasu, nie pamiętasz? Pamięta, tylko jej się zdawało, że to było wczoraj. Wczoraj też był.

- Ja zwariuję - Ramona dramatycznym gestem chwyciła się za głowę - z nią i ze swoim ojcem. Dobrze, że chociaż ty jesteś normalna, bo jeśli chodzi o mnie, to też już sama nie wiem... Tyle dobrze, że mam teraz więcej czasu dla siebie, nie muszę się ciągle opiekować ojcem, który, jak się okazało, wcale tej opieki nie wymagał...

- Przecież ci niejednokrotnie mówił - przerwała jej Magda. - Sama chyba wyolbrzymiałaś pewne sprawy.

Ramona jakby wcale tego nie słyszała.

- I dla mężczyzny - ciągnęła - któremu coś jestem winna.

- Och - westchnęła Magda. - Jakby się tak dobrze przyjrzeć, też by się może okazało, że dawno ten dług spłaciłaś.

Ramona pokręciła głową.

- Nie w tym wypadku. On mnie potrzebuje.

- Kochasz go? - spytała znienacka Magda.

- Co takiego? Nie... Nie! Daj spokój, Magda, ja już swoje kochałam.

Magda patrzyła przez chwilę w milczeniu na Ramonę. Uśmiechnęła się na koniec, pogłaskała ją po włosach.

- To dobrze, Ramona, to dobrze, że ktoś cię potrzebuje, ktoś czeka na ciebie, że przyjdiesz i oddasz mu kawałek swojego życia. Co ty byś zrobiła, gdyby nie to? Co ty byś zrobiła?

MARZANNA M.

Wszystkie ścieżki w tej części lasu były jej. Sama je wydeptała. Powiedziała mu na samym początku: Nie chodź tam, żebym miała pewność, że nikt obcy tam nie chodzi. A jeśli już będziesz musiał, to idź po moich ścieżkach.

Oddał jej ten kawałek lasu, kawałek swojego domu i po kawałku wszystkiego. Więcej nie chciała.

Dwadzieścia lat wcześniej nie marzyła nawet o tym. Właściwie nie marzyła o niczym. Wszystko umarło w jedno popołudnie: przyszłość i teraźniejszość. Zostały jakieś skrawki przeszłości, którymi karmiła się, dokąd mogła - kilka dni. Siedząc przy kuchni węglowej i dokładając do niej drwa, bo ciągle było jej zimno, próbowała zamknąć się w dzieciństwie. Albo kuliła się na południowej ścianie domu, gdzie słońce operowało najmocniej, i zamykała oczy. Pod powiekami miała dwanaście lat i z każdym dniem coraz mniej. Myślała, że uda jej się dotrzeć do dnia narodzin albo jeszcze dalej - do postaci embriona, który jeszcze nic nie czuje. Wtedy oderwano ją od tej południowej ściany i wyleczono z dzieciństwa. Ktoś jej tam powtarzał sto razy na dzień, że świat się nie kończy na jednej ludzkiej tragedii. A na ilu tragediach świat się może skończyć? - pytała, gdy już umiała pytać. Takiej odpowiedzi nie ma - słyszała za każdym razem i za którymś z kolei udała, że to rozumie. Wtedy pozwolono jej wrócić do domu.

Nie dla siebie, tylko dla matki wróciła do swoich osiemnastu lat. Jeśli jeszcze siadała jak skała na południowej ścianie domu, to na krótko. Wtedy wspominała wakacje

sprzed dwóch czy trzech lat, kiedy Julia przyjeżdżała do niej i już od połowy wsi słychać było dzwonek przy jej rowerze i wyzwiska, które rzucała ujadającym za nią kundlom. Szły do lasu na grzyby albo na jagody, zależy na co była pora, odnajdywały w nim najstarsze drzewa i pytały je, co tu było przed nimi. Jedna była drzewem, druga człowiekiem. Póki im się nie znudziło i nie skończyła wyobraźnia, bawiły się w pytania i odpowiedzi. Kiedyś powiedziała Julii, że drzewa mają krótką przeszłość, co innego kamienie. Wtedy wyszukiwały w okolicy największe kamienie i nękały je, jak wcześniej drzewa, pytaniami o przeszłość. Jedna była człowiekiem, druga kamieniem.

Julia nigdy nie próbowała przywieźć tu swoich przyjaciółek: Ramony, Magdy i Kamili.

- Z nimi jest inaczej - przyznawała szczerze. - Wyśmiałyby nas, gdyby usłyszały, że rozmawiamy z kamieniami.

- Nie ma nic złego w rozmowie z kamieniami - broniła się Marzanna.

- W tobie nie ma nic złego. - Julia patrzyła na koleżankę z podziwem. - To niesamowite.

Marzanna wzruszała ramionami. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by uważać siebie za coś nadzwyczajnego. Julia wybiegała w przyszłość.

- Z nimi będę się widywać zawsze, kiedy tylko przyjdzie nam na to ochota. Ty odjedziesz, nie wiadomo nawet, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. - Po chwili pytała z urazą: - Czego szukasz w tych swoich afrykańskich równinach?

- Początku - odpowiadała Marzanna bez namysłu. Nie odnalazła początku, tylko ostateczny koniec.

Bolało wszystko, nawet skóra. Najbardziej jednak bolało spojrzenie Julii. Krótka chwila i najdłuższe, najbardziej bolesne spojrzenie, które wracało sto razy na dzień. Ale świat

nie kończy się na jednej ludzkiej tragedii - przypominała sobie wtedy słowa lekarza i jeśli nie dla siebie, to dla matki starała się w nie uwierzyć. Szła z matką w pole, które było na uboczu, i kopała z nią kartofle. Siadała z nią w kuchni i robiła przetwory na zimę. Tylko mi nie każ - mówiła, kiedy matka wzdychała, że powinna pojechać w świat i uczyć się, skoro takim talentem Bóg ją obdarzył - patrzeć na obcych ludzi.

Nikt do nich nie przyjeżdżał, dom był na samym krańcu wsi pod lasem - nie widziało się tu prawie wcale obcych. Marzanna była gotowa taki świat znieść - spokojny jak kamienie w polu. Z podwórka, przytulonego do samotnych sosen, widywała tylko sąsiada z naprzeciwka, jego młodą żonę i dwójkę małych dzieci. Byli elementem jej dobrego świata bez obcych.

Kiedy którejś zimy tę młodą kobietę zabrano na jakąś drobną operację do szpitala i w wyniku powikłań po tej prostej operacji umarła, Marzanna usiadła przy oknie w kuchni i zapłakała nad jego bólem. To były jej pierwsze w życiu prawdziwe łzy.

Wiosną przyjął posadę w leśniczówce oddalonej o trzy kilometry, schowanej głęboko w lesie, i wtedy zniknął z jej krajobrazu.

W jakiś czas później pojawił się skoro świt w ich domu z pytaniem, czy Marzanna nie zgodziłaby się kilka godzin popilnować jego dzieci. Do tej pory woził je do matki, jak miał coś do załatwienia, ale niedawno przechodziły grype, pogoda jest, jaka jest, wolałby ich nie ruszać z domu.

Matka Marzanny spojrzała na nią lękliwie, bojąc się może gwałtownej odmowy, lecz Marzanna skinęła szybko głową.

- W porządku, mamó, pójdę.

Odtąd wystarczyło, że przyjechał z rana i powiedział, a wsiadała na rower i jechała trzy kilometry w las, żeby zająć się jego synami. Byli tak spokojni i cisi jak ich ojciec. Wiele

razy, patrząc na nich, myślała, że to niemożliwe, by tyle spokoju było w tak małych chłopcach. Któregoś popołudnia, odchodząc do domu, odwróciła się i zobaczyła w ich oczach cichy lęk. Zrozumiała wtedy, że to strach, kiedy odchodzi za każdym razem i nie wiadomo, czy jeszcze wróci, tak jak nie wiedzieli, czy wróci jeszcze kiedykolwiek matka, która wyszła któregoś dnia z domu, a oni tego nie zrozumieli. Byli za mali, żeby zrozumieć.

Wróciła tego dnia od drzwi, została z nimi do zmroku; nie odpowiadając na zdziwione spojrzenia ich ojca, ułożyła ich do snu i poczekała, aż zasną.

Jak łatwo było łagodzić ich ból. Przyłgnęli do niej w jednej chwili, właściwie już pierwszego dnia, kiedy przyszła na kilka godzin. Potem za każdym razem przylegali do niej coraz bardziej, nie fizycznie - w przytuleniach, gestach - lecz w spojrzeniach oczu, którymi wodzili za nią na każdym kroku.

Wiele miesięcy jeździła do nich z samego rana, czy ich ojciec ją o to poprosił, czy nie, by budzili się bez lęku, że jej nie ma i nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek będzie. Ani razu nie przyszło jej do głowy, by im zastępować matkę (sama wyglądała jeszcze jak dziecko i gdyby nie tamto zdarzenie, jeszcze by nim była), w rezultacie jednak na to wyszło.

Jeszcze na początku, gdy zastawał ją przy ścieraniu stołu z resztek jedzenia lub paleniu pod węglową kuchnią, mówił, że nie musi nic tu robić, bo nie jest służącą. Ona tylko wzruszała ramionami i robiła swoje. Z czasem zaczął prosić, by zrobiła to czy tamto, z naturalną swobodą, bez zażenowania. Wtedy pomyślała, że on też, podobnie jak dzieci, ma ją za coś więcej niż sąsiadkę, kilkugodzinną opiekunkę.

Przestraszyła się, że zabrnęli za daleko. Siedząc wiele godzin na schodach przed leśniczówką, gdzie o każdej porze roku było pięknie, zastanawiała się nad swoim miejscem w życiu tego mężczyzny i jego dzieci. Wtedy wyszli z głębi lasu,

gdzie ich uczył rozpoznawania drzew, wszyscy trzej, a ona poczuła radość na ich widok. Chłopcy przybiegli do niej, dzieląc się nazwami, które już następnego dnia mieli zapomnieć, a on szedł powoli i patrzył na nią. Nazajutrz znowu zabierze ich tam i powie, to jest takie drzewo, a to takie, aż w końcu zapamiętają. Nauczą się tych drzew na pamięć.

Ten mężczyzna, te dzieci i ten las wyrwali ją z otchłani bólu, który miał się nigdy nie skończyć.

Poszła do domu i wróciła wieczorem z kilkoma rzeczami na przebranie. Następnym razem przyniosła coś jeszcze, potem znowu coś, aż w końcu przeniosła wszystkie swoje rzeczy i wiedziała już, że zostanie tu na zawsze. Pokazując ręką na las za domem, powiedziała mu, że ta część lasu będzie jej i żeby tam nie chodził, a jeśli już, to niech chodzi po jej ścieżkach, by miała pewność, że nie ma tu obcych.

- Nigdy nie ma tu obcych - uspokoił ją.

- Wiem - odparła - ale gdyby się pojawili, będę wiedzieć.

Kilkanaście lat chodziła po bezpiecznej stronie lasu, wpierw z chłopcami na jagody, grzyby, w śnieżne zimy taszcząc worki z sianem dla wygłodniałych saren, potem, gdy dorośli, sama.

Pierwszej wspólnej zimy chłopcy dostali tak ciężkiej grypy, że lekarz chciał ich zabrać do szpitala. Ich ojciec powiedział: „Nie” i była mu wdzięczna za to, bo wiedziała, że zrobił to tylko z jednego powodu. Z jej powodu. Nie odwiedziłaby ich w szpitalu, a oni tam bez niej nie wiadomo jak długo dochodziliby do zdrowia. Czuwała przy nich wiele nocy, a gdy kolejnej przyszedł i powiedział: „Idź, odpocznij, teraz ja poczuwam”, poszła do jego pokoju. Innych nie było w leśniczówce. Kiedy nad ranem usłyszała, że zmęczony wraca do swego łóżka, nie odeszła. Została z nim.

Następnego dnia powiedział, że wezmą ślub.

- Nie musimy...

- Wiem.
- Więc dlaczego?
- To z szacunku dla rodziny, dla naszych synów...
- Dla naszych synów?
- Oni nie pamiętają innej matki.

Ale ty pamiętasz inną żonę - chciała powiedzieć, ale w tej samej sekundzie pomyślała, że to niepotrzebne. Rozejrzała się po domu, który był tak skromny: dwa pokoje, kuchnia, proste meble... Niektórzy wiele by dali, żeby ich życie było proste. Wzięli ślub.

Tamtej soboty poszła na spacer, jak co dzień, żeby sprawdzić swoje ścieżki, i od razu dostrzegła obcy ślad. Przerażona objęła się ramionami, obejrzała i zobaczyła na skraju lasu Julię. Niepewność i zdziwienie Julii, że widzi ją tu i że była tu przez wszystkie lata, przyjęła z milczącym zrozumieniem.

Oto chwila, pomyślała Marzanna M., żebyśmy może uratowały coś z naszej młodości, żebyśmy sobie powiedziały to, co od razu powinnyśmy sobie powiedzieć.

- Cały czas miałam wątpliwości, w coś nie wierzyłam, zupełnie nie wiedząc w co, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że aż tak potworna mogła być prawda tamtego popołudnia - powiedziała blada z wściekłości Julia.

Potem chwyciła tę kopertę i mówiąc, że dziś nie ma czasu, ale wróci tu, porozmawiają, odjechała.

Patrzyła za nią i nie mogła uwierzyć, że to się stało tak szybko.

Idąc w stronę domu bez tej kartki z opisem dalekiego zdarzenia, Marzanna M. czuła się tak, jakby zrzuciła z siebie ogromny ciężar. To nie może być takie proste, myślała. Ile mogła ważyć taka kartka? Fizycznie - ułamek grama... Duchowym ciężarem podzieliła się z Julią. Tylko że dla Julii,

póki w jej życiu nie wydarzy się coś dobrego, będzie to świeży i bolesny ciężar.

Może Julia, snuła dalej myśli, mijając leśniczówkę i wchodząc w nie swoją część lasu, nie powinna już mnie odwiedzać, żeby nie komplikować jej i moich spraw, skoro minęło tyle lat, to już chyba niewiele da się wskrzesić. Nawet na siłę. Zwłaszcza na siłę, poprawiła się w myślach. Lepiej wierzyć, że było coś dobrego, niż przekonać się, że czegoś mogłoby już nie być.

Dni są takie dobre i takie proste. Niech ona odnajduje codziennie na nowo swoje szczęście, a ja swoje. Ona swój dramat, ja swój. Po to się żyje, żeby w końcu coś w sobie odnaleźć. Jeśli nawet to miało być niemożliwe albo z innego świata.

W swojej części lasu poznała każde drzewo i wydeptała setki ścieżek. Tu, myślała, wchodząc w głąb nie swojego lasu, drzewa są takie same i wkrótce będzie każde znała na pamięć. To samo miękkie runo, podobne krzewy i te same zwierzęta, dla których nic nie znaczy ta czy tamta część lasu.

Jak okiem sięgnąć, bezpieczna ściana drzew, a za nią następna i następna.

I ani jednej rozległej po horyzont równiny. Żeby patrzeć.